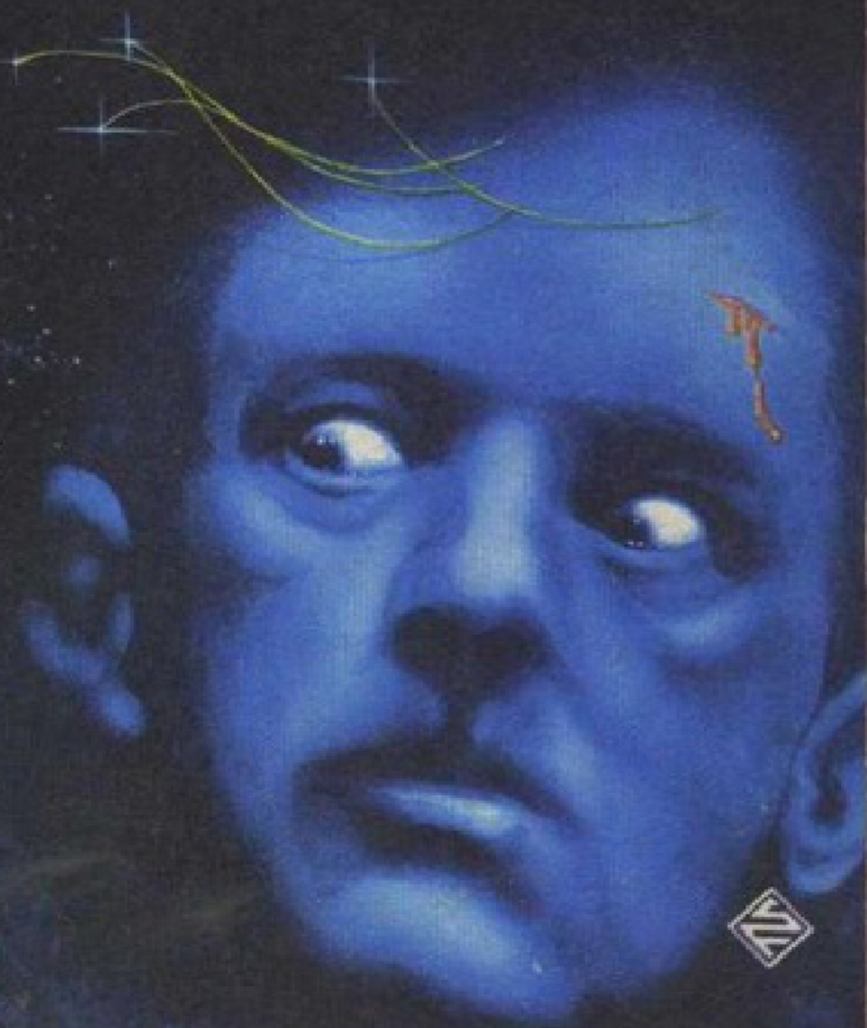
A. E. van Vogt

Slan



Slan

Alfred Elton van Vogt

Rosettabooks, LLC (1990)

Ocena:★★★☆☆

Etykiety:Fantastyka; fantasy; science fiction

The Slans, a superior race of telepaths, are isolated and persecuted by the "normal" humans. The young Jommy Cross's mother dies in a pogrom and he struggles to survive. With its obvious evocation of the Holocaust, this novel, first published in 1941, made an enormous impression. Van Vogt (1912-2000) was an SFFWA Grand Master.

A. E. VAN VOGT

SLAN

Tłumaczył: Stanisław Plebański

1

Zimna była dłoń matki, ściskająca kurczowo jego rękę. Szli pośpiesznie ulicą, a jej przerażenie kołatało do jego świadomości w postaci bezgłośnej pośpiesznej pulsacji płynącej wprost z jej mózgu. Setki innych myśli bombardowały jego umysł, myśli napływających od tłumów, które nadciągały z obu stron i z wnętrz mijanych budynków. Ale tylko myśli matki były klarowne, spójne i… przepojone trwogą.

- Oni nas śledzą, Jommy - przesyłał jej mózg. - Nie są pewni, ale coś podejrzewają. Przyjeżdżając do stolicy zaryzykowaliśmy już zbyt wiele, a miałam nadzieję, że właśnie dziś zdołam ci pokazać stare wejście slanów do katakumb, w których ukryta jest tajemnica twego ojca. Gdyby zdarzyło się najgorsze, Jommy - wiesz, co masz robić. Ćwiczyliśmy to wystarczająco często. I nie bój się, Jommy, nie denerwuj. Masz tylko dziewięć lat, ale inteligencją dorównujesz każdemu piętnastoletniemu człowiekowi.

Nie bać się. Łatwo powiedzieć, pomyślał Jommy i ukrył przed nią tę myśl. Będzie niezadowolona z tego ukrywania, z tej zakłócającej bariery pomiędzy nimi. Ale tamte myśli koniecznie musiał zataić. Ona nie może wiedzieć, że on też się boi.

A było to coś zarazem nowego i podniecającego. Odczuwał podniecenie za każdym razem, gdy z cichego przedmieścia, gdzie mieszkali, przyjeżdżał do serca Centropolis. Olbrzymie parki, ciągnące się kilometrami wieżowce, zgiełk tłumów - wszystko to zawsze wydawało się jeszcze cudowniejsze niż obrazy malowane w wyobraźni - choć przecież po stolicy świata można się było spodziewać rozmachu. Tu mieściła się siedziba rządu; gdzieś tu mieszkał Kier Gray, absolutny dyktator całej planety. Dawno temu - przed setkami lat - slani władali Centropolis podczas swego krótkotrwałego panowania.

- Czujesz ich wrogość, Jommy? Potrafisz już wyczuwać rzeczy na odległość?

Wytężył się. Jednostajna fala nieokreśloności nadpływająca od cisnących się wszędzie wokół tłumów urosła do rozmiarów wiru myślowego jazgotu. Skądś dobiegła oderwana smużka myśli:

- Podobno mimo wszystkich środków zapobiegawczych w tym mieście

ciągle są żywe slany. Obowiązuje nakaz strzelania do nich bez ostrzeżenia.
- Ale czy to nie ryzykowne? - nadbiegła inna myśl, najwyraźniej zadane na głos pytanie, z którego Jommy przechwycił tylko myślowe wyobrażenie. - Chodzi mi o to, że przez pomyłkę może zginąć zupełnie niewinna osoba.
- Właśnie dlatego rzadko strzelają bez ostrzeżenia. Starają się łapać ich, a potem badają. Slany mają inne niż my narządy wewnętrzne, kapujesz, a na głowach…
- Jommy, czy ty ich czujesz, mniej więcej o jedną przecznicę za nami? W dużym samochodzie. Czekają na posiłki, które mają nam odciąć drogę z przodu. Działają szybko. Potrafisz złapać ich myśli, Jommy?
Nie potrafił! Nie potrafił, mimo że ze wszystkich sił sięgał myślą w przestrzeń, napinając się i pocąc z wysiłku. Na tym polu w pełni wykształcone umiejętności matki górowały nad jego nad wiek rozwiniętymi instynktami. Umiała pokonać myślą znaczną odległość i wyplątać spójny obraz spomiędzy odległych wibracji.
Miał ochotę odwrócić się i spojrzeć, ale się nie odważył. Przebierał małymi, choć jak na jego wiek dość długimi nóżkami, na poły biegnąc, by dorównać jej pośpiesznym krokom. Czuł się okropnie - taki mały i bezradny, młody i niedoświadczony, kiedy życie wymagało od niego siły i czujności dojrzałego slana.
Myśli matki przebiły się przez jego refleksje: - Kilku jest już przed nami, Jommy, a inni przechodzą przez ulicę. Będziesz musiał już pójść, kochanie. Nie zapomnij tego, co ci mówiłam. Masz tylko jeden cel: umożliwić slanom normalne życie. Myślę, że będzie trzeba zabić naszego największego wroga, Kiera Graya, nawet gdybyś musiał wejść do Wielkiego Pałacu, żeby go dostać. Pamiętaj - zaraz zaczną się tu krzyki i zamieszanie, ale zachowaj spokój. Powodzenia, Jommy!
Dopiero gdy po króciutkim uścisku puściła jego dłoń, zdał sobie sprawę, że tenor jej myśli się zmienił. Zniknęła trwoga. Z mózgu matki popłynął kojący spokój, uciszając wrzenie jego rozdygotanych nerwów i spowolniając bicie obu jego serc.
Wśliznąwszy się za zasłonę stworzoną przez idących za nimi kobietę i mężczyznę Jommy ujrzał kątem oka dwóch mężczyzn zbliżających się do wysokiej postaci matki, wyglądającej bardzo zwyczajnie i bardzo ludzko w luźnych dżinsach, różowej bluzce i ciasno zawiązanej na włosach chustce. Ubrani po cywilnemu mężczyźni przechodzili przez ulicę; na ich twarzach malowała się niechęć spowodowana koniecznością wykonania nieprzyjemnego zadania. Owo bijące z ich myśli obrzydzenie, a zwłaszcza połączona z nim nienawiść, zionęły z taką siłą, że Jommy’ego aż to uderzyło. Zdumiało go to nawet w chwili, gdy skupiał się na ucieczce. Dlaczego koniecznie musiał umrzeć? On i jego cudowna, wrażliwa i inteligentna matka! To było

okropnie niesprawiedliwe.
Samochód błyszczący w słońcu niczym długi klejnot zahamował ostro przy krawężniku. Ochrypły męski głos wrzasnął za Jommym:
- Stać! Dzieciak jest tam! Nie dajcie mu uciec! Łapać tego chłopaka!
Ludzie przystawali i zaczynali się rozglądać. Wyczuł w ich myślach pewną dezorientację. A potem skręcił za róg i popędził Aleją Stołeczną. Od krawężnika ruszał jakiś samochód. Stopy Jommy'ego zatupotały z olbrzymią szybkością. Nadnaturalnie silnymi palcami chwycił za tylny zderzak. Gdy samochód wśliznął się w labirynt ruchu ulicznego i zaczął nabierać szybkości, chłopiec podciągnął się i zawisł przy bagażniku. Skądś z tyłu dobiegła do niego myśl:
- Powodzenia, Jommy!
Od dziewięciu lat przygotowywała go na tę chwilę, ale gdy odpowiedział: - Powodzenia, mamo! - coś ścisnęło go za gardło.
Samochód jechał strasznie szybko, strasznie szybko połykał kilometry. Strasznie wielu ludzi zatrzymywało się na ulicy i gapiło na małego chłopca w osobliwy sposób uczepionego błyszczącego zderzaka. Jommy odczuwał intensywność ich spojrzeń, myśli, które strzelały im do głów i układały usta do przenikliwych okrzyków. Okrzyków do kierowcy, który nic nie słyszał.
Potem podążyły za nim chmary myśli ludzi wbiegających do budek telefonicznych i dzwoniących na policję, by donieść o chłopcu uczepionym zderzaka…
Jommy skulił się i już przygotowywał na widok wozu patrolowego, który zbliży się z tyłu i sygnałem nakaże kierowcy zatrzymać auto. Zaniepokojony, dopiero teraz skoncentrował umysł na ludziach w samochodzie.
Z wnętrza pojazdu sączyły się ku niemu wibracje dwóch mózgów. Uchwyciwszy je Jommy zadrżał i gotów puścić zderzak osunął się bliżej jezdni. Nawierzchnia ukazała się mu jako przyprawiająca o zawrót głowy nieostra smuga, rozmyta przez szybkość pojazdu.
Pokonując wstręt jego umysł ponownie dogrzebał się kontaktu z mózgami mężczyzn w samochodzie. Uwaga kierowcy skupiała się na prowadzeniu pojazdu. Tylko raz pomyślał przelotnie o rewolwerze w kaburze pod pachą. Nazywał się Sam Enders; był kierowcą i gorylem siedzącego obok niego mężczyzny - Johna Petty'ego, szefa tajnej policji wszechwładnego Kiera Graya.
Tożsamość szefa bezpieki poraziła Jommy'ego niczym wstrząs elektryczny. Powszechnie znany łowca slanów siedział odprężony, obojętny na szybkość samochodu, psychicznie nastawiony na leniwy, kontemplacyjny nastrój.
Nadzwyczajny umysł! Nic nie dało się z niego wyczytać oprócz mgiełki powierzchniowych pulsacji. Nie wyglądało na to, myślał zdumiony Jommy, żeby John Petty mógł świadomie bronić dostępu do

swej psychiki. A jednak istniała w niej bariera równie skuteczna w ukrywaniu prawdziwych myśli, co ekran mentalny dowolnego slana. Była wszakże pewna różnica. Na zewnątrz wydostawały się pojedyncze wibracje świadczące o okrucieństwie charakteru i znakomicie wykształconym, błyskotliwym mózgu. Nagle pojawił się koniuszek myśli wyrzucony na powierzchnię spazmem wściekłości, który zburzył spokój mężczyzny: - Muszę zabić tę slankę, Kathleen Layton. To jedyna metoda osłabienia pozycji Kiera Graya.
Jommy rozpaczliwie próbował podążyć za ową myślą, ale ta już znikła w cieniach, poza jego zasięgiem. Tym niemniej sens pochwycił: miano zabić slankę nazwiskiem Kathleen Layton, by osłabić pozycję Kiera Graya.
- Szefie - nadleciała myśl Sama Endersa - może pan przekręcić tamtą gałkę? To czerwone światełko, co się włączyło, to alarm ogólny.
Umysł Johna Petty'ego pozostał obojętny.
- Niech sobie alarmują. To sprawy dla pętaków.
- Nie zaszkodzi sprawdzić, co to jest - odparł Enders.
Kiedy sięgał w odległy koniec tablicy rozdzielczej, samochód minimalnie zwolnił, a Jommy, który przesunął się ryzykownie na koniec zderzaka, rozpaczliwie wyczekiwał okazji do zeskoczenia na jezdnię. Zerkając ponad zderzakiem do przodu widział tylko długą nieprzyjemną krechę betonowej nawierzchni, twardej i odpychającej, i ani śladu trawiastych pasów zieleni. Skok teraz oznaczał zmiażdżenie o beton. Porzuciwszy więc ten zamiar przywarł mocniej do karoserii i w tym momencie dotarła do niego burza myśli Endersa, gdy mózg tego ostatniego odebrał treść komunikatu o alarmie ogólnym.
- …wszystkie wozy na Stołecznej i w pobliżu: szukać chłopca, który może być slanem, synem Patrycji Cross, a nazywa się Jommy Cross. Jego matka została dziesięć minut temu zabita na rogu Głównej i Stołecznej. Według zeznań świadków chłopak wskoczył na zderzak samochodu, który szybko odjechał.
- Pan posłucha, szefie - powiedział Enders. - Jesteśmy na Stołecznej. Lepiej zatrzymajmy się i przyłączmy do poszukiwań. Za slany dają dziesięć tysięcy dolarów nagrody.
Pisnęły hamulce. Samochód zwolnił z impetem, który brutalnie cisnął Jommym o tył karoserii. Wytężywszy siły pokonał przeciążenie, odepchnął się od blachy i na moment przed zatrzymaniem samochodu zeskoczył na jezdnię. Z miejsca ruszył biegiem. Przemknął obok starej baby, która próbowała go zatrzymać; z jej umysłu emanowała chciwość. A potem był już na pustej parceli, poza którą wznosił się długi rząd poszarzałych ceglano-betonowych budynków, stanowiących początek dzielnicy fabryczno-magazynowej.
Z samochodu strzeliła za nim kąśliwa myśl: - Enders, czy ty wiesz, że ruszyliśmy z rogu Stołecznej i Głównej dziesięć minut temu?! Ten

chłopak… O, tam jest! Strzelaj, idioto!
Wrażenie wyciągania przez Endersa rewolweru dotarło do Jommy'ego tak żywo, że poczuł w mózgu tarcie metalu o skórę. Nieomal widział, jak mężczyzna celuje - tak wyraźne było myślowe wrażenie pokonujące dystans dzielących ich pięćdziesięciu metrów.
W momencie, gdy rewolwer wypalił z głuchym „plop", Jommy uskoczył w bok. Prawie nie poczuł uderzenia; w chwilę potem wspiął się po kilku schodkach i wpadł przez otwartą bramę do wielkiego, słabo oświetlonego magazynu. Ż tyłu dobiegły go niewyraźne myśli:
- Pan się nie martwi, szefie, pogonimy go, to zaraz spuchnie.
- Ty baranie, żaden człowiek nie da rady zmęczyć slana! Wyglądało na to, że Petty zaczął rzucać rozkazy przez radio:
- Trzeba otoczyć kwartał przy 57 ulicy. Skierujcie tu wszystkie wozy policyjne i ściągnijcie wojsko…
Jakie wszystko zrobiło się zamglone… Jommy przepychał się przez omroczony świat, świadom tylko, że pomimo swych nie ulegających zmęczeniu mięśni, biegnąc najszybciej, jak potrafi, nawet w najlepszym przypadku może rozwinąć najwyżej połowę prędkości osiąganej przez dorosłego człowieka. Przepastny magazyn stanowił mroczny świat wyzierających zewsząd kanciastych kształtów i podłóg ginących w odległym półmroku. Dwukrotnie zderzyły się z jego psychiką myśli ludzi przesuwających skrzynki gdzieś na lewo od niego. Ale w ich mózgach nie znalazł świadomości zewnętrznej wrzawy ani swojej obecności. Daleko na przedzie, trochę w prawo dojrzał jasny otwór - drzwi. Ruszył w tamtą stronę. Dotarł do drzwi, zdumiony swym wyczerpaniem. Coś mokrego i lepkiego przywierało mu do boku, a mięśnie jakby zdrętwiały. Umysł działał wolno i ociężale. Jommy stanął i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.
Miał przed oczyma ulicę zupełnie inną niż Aleja Stołeczna. Był to obskurny zaułek o potrzaskanej jezdni; po jego przeciwnej stronie stały domy zbudowane z plastyku przed stu lub więcej laty. Jakkolwiek wzniesiono je z materiałów praktycznie niezniszczalnych, o wiecznotrwałych kolorach, w zasadzie równie świeżych i jasnych, jak w dniu zakończenia budowy, tym niemniej czas odcisnął na nich swe piętno. Kurz i sadza przywarły jak pijawki do lśniących powierzchni. Trawników nie pielęgnowano, a naokoło walały się sterty śmieci.
Uliczka była najwyraźniej opustoszała. Mglista niczym szept myśl snuła się od strony obskurnych budynków. Jommy był zbyt wyczerpany, aby się upewniać, że myśli dobiegają tylko od strony zabudowań.
Zsunął się z krawędzi rampy magazynowej i opadł na twardy beton leżącej poniżej jezdni. Fala bólu zalała mu bok; ciało nie miało zwykłej sprawności, ani śladu normalnej sprężystości, która podobny

zeskok czyniłaby dziecinnie łatwym. Wstrząs spowodowany uderzeniem o beton szarpnął nim do szpiku kości.
Kiedy przebiegał przez ulicę, świat pociemniał jeszcze bardziej. Potrząsnął głową, by odzyskać ostrość widzenia, ale nic to nie pomogło. Był tylko w stanie umykać dalej na nogach jak z ołowiu, miedzy lśniącym, lecz przybrudzonym sadzą dwupiętrowym budynkiem a wyniosłym blokiem mieszkalnym o opływowych liniach, w kolorze morskiego błękitu. „Nie zauważył kobiety stojącej ponad nim na werandzie, ani nie wyczuł jej, aż do momentu, kiedy zamachnęła się nań szczotką. Szczotka chybiła, bo kątem oka uchwycił jej cień w samą porę, by dać nura w bok.
- Dziesięć tysięcy dolarów! - wrzasnęła za nim. - Radio podało, że dziesięć tysięcy! On jest mój, słyszycie? Niech nikt nie waży się go dotknąć. Jest mój; pierwsza go zobaczyłam.
Mętnie uświadomił sobie, że wrzeszczała do innych kobiet, które wynurzały się z mieszkań. Bogu dzięki, że mężczyźni byli w pracy!
Groza chciwych umysłów ścigała go, gdy wystartował z mocą kogoś gnanego przerażeniem, wzdłuż wąskiego chodniczka pod ścianą bloku mieszkalnego. Skulił się pod naporem złowrogich myśli i zadrżał, gdy dogonił go najstraszliwszy dźwięk świata: piskliwy jazgot rozpaczliwie biednych ludzi, rojących się ciżbą idącą w dziesiątki, w pogoni za bogactwem przechodzącym najśmielsze nawet senne wizje skąpca.
Opanowało go przerażenie, że zostanie zmasakrowany szczotkami i obcasami, że rozwalą mu głowę, połamią kości i zmiażdżą ciało. Zatoczywszy się, okrążył tylny narożnik czynszówki. Szemrzący tłum wciąż deptał mu po piętach. W nadpływających od nich nabrzmiałych myślach wyczuwał zdenerwowanie. Nasłuchali się o slanach opowieści, które niespodziewanie omalże przyćmiły żądzę posiadania dziesięciu tysięcy dolarów. Ale gęstość ciżby dodawała odwagi jednostkom. Tłum napierał.
Wpadł na maleńkie podwórko, z jednej strony zagracone stosami pustych skrzynek. Sterta wznosiła się wysoko: ciemna bryła, nieostra nawet w blasku słońca. W jego skołowanej głowie zaświtał pomysł i w jednej chwili Jommy już się wspinał na spiętrzone skrzynki.
Ból spowodowany wysiłkiem ciął niczym kły zapuszczone w jego bok. Pobiegł ostrożnie po szczycie stosu skrzynek; po chwili na poły zsunął się, a na poły spadł w przestrzeń między dwoma starymi pojemnikami. Przestwór sięgał aż do ziemi. W prawie całkowitym mroku jego oczy wypatrzyły głębszą ciemność w plastykowej ścianie budynku. Wyciągnął ręce i przesunął dłońmi po krawędziach dziury w ścianie, poza tym całkiem gładkiej.
Błyskawicznie przecisnął się przez otwór i padł wyczerpany na wilgotną ziemię poza nim. Odłamki kamieni wpijały mu się w bok, ale na razie był zbyt wycieńczony, by się poruszyć; leżał tylko z zapartym

tchem, podczas gdy poszukujący go wściekle tłum szalał na zewnątrz.
Ciemność działała kojąco niczym myśli matki chwilę przedtem, nim kazała mu odejść. Ktoś wchodził po jakichś schodach, dokładnie nad nim, i to wyjaśniło mu, gdzie się znajdował; w niewielkiej klitce pod kuchennymi schodami. Zdziwił się, jak mogło w ogóle dojść do strzaskania twardego plastyku.
Leżąc tak i drżąc z przerażenia pomyślał o matce - teraz już martwej, jak podało radio. Martwej! Ona oczywiście wcale się nie bała. Wiedział aż za dobrze, że tęskniła do dnia, gdy będzie się mogła połączyć ze swym zmarłym mężem w spokoju grobowca. „Ale najpierw muszę cię wychować, Jommy. To byłoby takie łatwe, takie przyjemne - przystać na śmierć. Ale muszę utrzymywać przy życiu ciebie, dopóki nie wyrośniesz z wieku dziecięcego. Ojciec i ja poświęciliśmy całe dane nam życie pracując nad jego wielkim wynalazkiem i wszystko to poszłoby na marne, gdyby zabrakło ciebie, żeby to kontynuować." Odpędził od siebie tę myśl, bo od tych wszystkich rozważań poczuł bolesne skurcze gardła. Jego umysł nie był już taki zaćmiony. Krótki odpoczynek najwyraźniej dobrze mu zrobił. To jednak sprawiło, że kamienie, na których leżał, zaczęły mu bardziej doskwierać, co było trudniej wytrzymać. Spróbował się przesunąć, ale nie starczało miejsca.
Odruchowo położył dłoń na ziemi i dokonał odkrycia. Leżał nie na kamieniach, a na odłamkach plastyku, które wpadły do środka, kiedy mały fragment ściany został strzaskany i powstała dziura, przez którą się wczołgał. Głupie uczucie: tak myśleć o niej i nagle uświadomić sobie, że jeszcze ktoś - ktoś na zewnątrz - myśli o tej samej dziurze. Szok wywołany ową niewyraźną myślą z zewnątrz jak płomień przeszył Jommy'ego na wskroś.
Przerażony spiął się, by wyizolować ową myśl i umysł, w którym się zrodziła. Ale dookoła było zbyt wiele innych umysłów, zbyt wiele zamieszania. Żołnierze i policjanci roili się na ulicy, przeczesując każdy domek, każdą kamienicę, każdy kwartał. Raz ponad zamieszaniem szumu umysłowego uchwycił zimną, wyraźną myśl Johna Petty'ego.
- Mówicie, że tu widziano go po raz ostatni?
- Skręcił za róg - powiedziała jakaś kobieta - a potem zniknął!
Drżącymi palcami począł wydłubywać z wilgotnej ziemi odłamki skorup. Zmusił się do zachowania spokoju i szybko, ale starannie przesłaniał dziurę używając wilgotnej ziemi do łączenia kawałków plastyku. Miał bolesną pewność, że jego dzieło nie ujdzie uwadze bystrzejszych oczu.
Pracując, przez cały czas czuł ową myśl tamtej osoby na zewnątrz - chytrą, rzeczową myśl, niemal przygłuszoną dziką nawałnicą innych myśli bombardujących jego mózg. Ani na chwilę ów ktoś nie

przestawał myśleć o tej właśnie dziurze. Jommy nie potrafił rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta. Ale myśl trwała, niczym złowroga wibracja emanująca z chorego mózgu.
Myśl trwała cały czas, niewyraźna i złowieszcza, kiedy ludzie odrzucali skrzynki na bok i zaglądali między nie - a potem powoli oddaliła się, krzyki zaś ścichły, a koszmar mentalnej nawałnicy oddaliwszy się zelżał. Myśliwi zmienili teren łowów. Jommy słyszał ich jeszcze długo, ale w końcu zrobiło się spokojniej i wiedział, że zapada noc.
W pewnym sensie nastrój podniecających wydarzeń dnia wisiał jeszcze w powietrzu. Szept myśli wyciekał z domków i mieszkań w czynszówkach; ludzie myśleli i rozmawiali o tym, co się stało.
W końcu zdobył się na odwagę, by dłużej nie czekać. Gdzieś tam był umysł należący do kogoś, kto wiedział, że on jest w dziurze, lecz nic nie powiedział. Był to zły umysł, co napawało go diabelnie niemiłymi przeczuciami i uczuciem konieczności pilnego oddalenia się od tego miejsca. Drżącymi, lecz zwinnymi palcami usunął plastykowe skorupy. Potem, zdrętwiały od długiego czuwania, ostrożnie przecisnął się na zewnątrz. Bok zapiekł od ruchu, a umysł zalał przypływ osłabienia, ale nie odważył się zwlekać. Powoli podciągnął się na wierzch stosu skrzynek. Kiedy już spuszczał nogi na ziemię, nagle usłyszał pośpieszne kroki… i dopiero teraz poraziło go wrażenie obecności osoby, która na niego czekała.
Wychudła dłoń schwyciła go za kostkę i rozległ się triumfalny głos starej kobiety:
- Bardzo dobrze, zejdź do Babuni. Babunia się tobą zajmie, a jakże. Babunia jest cwana. Cały czas wiedziała, że mogłeś się przyczaić tylko w tej dziurze, a ci głupcy nic nie podejrzewali. Tak, tak, Babunia jest cwana. Poszła sobie, a potem wróciła, a dlatego że slany potrafią czytać w myślach, cały czas pilnowała, żeby rozum mieć spokojny, i myślała tylko o gotowaniu. I to cię zmyliło, no nie? Babunia wiedziała, że tak będzie. Babunia się tobą zajmie. Babunia też nie lubi policji.
Przerażenie zdławiło mu krtań, bo rozpoznał umysł starej chciwej baby, która usiłowała go schwycić, kiedy uciekał od samochodu Johna Petty’ego. Tamto przelotne doznanie utrwaliło w jego mózgu obraz złośliwej staruchy. A teraz zionęło od niej taką grozą, takie ohydne były jej zamiary, że pisnął cichutko i wierzgnął nogą w jej stronę.
Dopiero gdy ciężki kij trzymany przez nią drugą ręką spadł mu na głowę, zdał sobie w ogóle sprawę, że baba ma tę broń. Cios był ogłuszający. Mięśnie chłopca drgnęły spazmatycznie i Jommy osunął się bezwładnie na ziemię.
Czuł, że baba wiąże mu ręce, a potem na pół niesie, na pół ciągnie go dwa, trzy metry. W końcu został rzucony na stary, rozklekotany wózek

i przykryty szmatami, które cuchnęły końskim potem, naftą i śmietnikiem.
Wózek począł się toczyć po kiepskiej nawierzchni bocznej uliczki, a ponad klekotem kół Jommy słyszał skrzek starej baby:
- Jaka by Babunia musiała być głupia, żeby dać im cię złapać! Dziesięć tysięcy nagrody - phi! Ani centa bym z tego nie powąchała. Babunia zna życie. Kiedyś była sławną aktorką, teraz grzebie w śmieciach. Ani stówy by nie dali, a co dopiero stu setek, starej babie, co zbiera szmaty i flaszki. A miejcie sobie te swoje dolary! Już wam Babunia pokaże, do czego może się przydać młody slan. Babunia zrobi na tym diablęciu wielki majątek…

2

To znowu ten nieznośny chłopak. Kathleen Layton zastygła w obronnej pozie, a potem się rozluźniła. Z miejsca gdzie stała na blankach pałacu, na wysokości stu pięćdziesięciu metrów, nie mogła mu uciec. A po tych wszystkich latach, które spędziła jako jedyny slan pośród niezliczonych wrogów, nic nie mogło już jej przerazić, nawet Davy Dinsmore, lat jedenaście.
Nie odwróci się. W żaden sposób nie da po sobie poznać, że wie, iż on nadchodzi szeroką oszkloną galerią. Starannie unikała wniknięcia w jego myśli, utrzymując tylko czysto powierzchniowy kontakt, konieczny, by nie dać się zaskoczyć. Musi się skoncentrować tylko na patrzeniu na miasto, tak jakby chłopca tu w ogóle nie było.
Miasto rozpościerało się tuż pod nią - rozległy obszar zabudowany domkami i blokami; ich niezliczone odcienie przygasły teraz osobliwie i złagodniały za sprawą zapadającego zmierzchu. Zielona równina za miastem pociemniała, a zwykle niebieska i wartko biegnąca woda wypływającej z miasta rzeki wydawała się czarniejsza i matowa w owym niemal pozbawionym słońca świecie. Nawet góry na odległym, niewyraźnie majaczącym horyzoncie przybrały ponury odcień, sposępniały, co współbrzmiało z melancholią w jej własnej duszy.
- Taaa… Lepiej dobrze się przyjrzyj. To już ostatni raz.
Nieharmonijny głos szarpnął jej nerwami niczym zupełnie pozbawiony sensu zgrzyt. Aluzja zawarta w kompletnie niepojmowalnych dźwiękach była tak drastyczna, że przez chwilę znaczenie słów nie dotarło do jej świadomości. A potem, wbrew sobie, błyskawicznie odwróciła się do niego.
- Ostatni raz? Co masz na myśli?
Natychmiast pożałowała swojego odruchu. Davy Dinsmore stał mniej niż dwa metry od niej. Miał na sobie długie zielone spodnie z atłasu i żółtą koszulę rozpiętą pod szyją. Chłopięca twarz z tym wyrazem „jestem twardziel” i usta wykrzywione szyderczym grymasem przypomniały jej dosadnie, że nawet to, iż go w ogóle raczyła

zauważyć, stanowiło jego sukces. Ale co… co mogło go skłonić do mówienia takich rzeczy? Trudno było uwierzyć, że sam wymyśliłby takie słowa. Pod wpływem chwilowego impulsu na moment owładnęła nią chęć, by zbadać to głębiej w jego umyśle. Wzdrygnęła się i zrezygnowała. Wniknięcie do tego mózgu w jego obecnym stanie zepsułoby jej humor na miesiąc.

Upłynęło mnóstwo czasu, całe miesiące, odkąd zerwała mentalny kontakt że strumieniem ludzkich myśli, nadziei i nienawiści czyniących atmosferę pałacu piekłem. Teraz najlepiej będzie chłopaka zlekceważyć, tak jak to już nieraz robiła. Odwróciła się do niego plecami, a najdelikatniejsze z delikatnych połączenie z jego mózgiem przyniosło jej echo wściekłości, która w nim wezbrała na widok jej zachowania. A potem znowu rozległ się kłótliwy głos:

- Taaak… ostatni raz. Tak powiedziałem, bo tak myślę. Jutro są twoje jedenaste urodziny, no nie?

Kathleen nie odpowiedziała, udając, że go nie słyszy. Ale jej obojętność prysła, porażona poczuciem katastrofy. On się tym zbytnio napawał, zbyt pewnie brzmiał jego głos. Czy to możliwe, że podczas owych miesięcy, kiedy utrzymywała swój umysł w izolacji od myśli tych ludzi, działy się okropne rzeczy, ułożono okropne plany? Czy możliwe, iż popełniła błąd, zasklepiając się we własnym świecie? A teraz świat zewnętrzny strzaskał jej pancerz ochronny?

- Zdaje ci się, że jesteś cwana, co? - rzucił Davy Dinsmore. - Niech ci się zdaje, ale nie będziesz taka cwana, kiedy cię jutro zabiją. Może jeszcze tego nie wiesz, ale mama mówiła, że wszyscy w pałacu gadają teraz, że jak cię tu sprowadzili, pan Kier Gray musiał obiecać rządowi, że cię zabije w twoje jedenaste urodziny. I na pewno tak zrobią. Któregoś dnia zabili na ulicy slankę. Ciebie tak samo zabiją! I co ty na to, spryciaro?

- Jesteś… wariat!

Słowa same wyrwały się jej z ust. Ledwie sobie uświadamiała, że padły, bo wcale nie o tym myślała. Z jakiegoś powodu nie wątpiła, że powiedział prawdę. To pasowało do ich zbiorowej nienawiści. Było tak logiczne, że nagle odniosła wrażenie, iż zawsze o tym wiedziała.

Dziwne, ale jej umysł nurtowała wzmianka Davy'ego o tym, co powiedziała jego matka. I dlatego Kathleen sięgnęła pamięcią trzy lata wstecz, do dnia, kiedy ten chłopak rzucił się na nią pod łaskawym okiem swojej matki, z zamiarem sprania małej dziewczynki. Cóż to było za zaskoczenie, co za wrzaski i wierzganie z przerażenia, kiedy trzymała go w górze, dopóki jego rozwścieczona rodzicielka nie pośpieszyła mu z pomocą, ciskając groźby, czego to ona nie zrobi „z tą małą, wredną, podstępną slanka”.

A potem nagle pojawił się jak spod ziemi Kier Gray, posępny, wysoki i potężny, i pani Dinsmore płaszczyła się przed nim.

- Szanowna pani, na pani miejscu nie podnosiłbym ręki na to dziecko. Kathleen Layton jest własnością państwa i we właściwym czasie państwo się jej pozbędzie. Co zaś do pani synalka, to tak się złożyło, że widziałem całe zajście. Dostał dokładnie to, na co zasługuje każdy, kto się znęca nad słabszymi, i mam nadzieję, że zrozumiał tę nauczkę.
Ach, jak nią wstrząsnęła jego obrona! A potem, w swych myślach, zaliczyła Kiera Graya do innej kategorii niż pozostałe istoty ludzkie - bez względu na jego okrucieństwo, bez względu na przerażające opowieści na jego temat. Ale teraz znała już prawdę; wówczas myślał dokładnie to, co powiedział: „…państwo się jej pozbędzie…”.
Drgnąwszy ocknęła się z gorzkiej zadumy i spostrzegła, że w obrazie leżącego poniżej miasta zaszła zmiana. Całe olbrzymie skupisko zabudowań przywdziało nocny przepych miliarda mrugających jak okiem sięgnąć światełek. Rozpościerało się teraz przed nią cudowne miasto, olbrzymi, błyszczący klejnot, niewiarygodna baśniowa kraina budynków strzelających majestatycznie ku niebiosom, olśniewających wspaniale promienistym, nierealnym widokiem.
Jak ona zawsze pragnęła pójść do tamtego tajemniczego miasta i obejrzeć sobie te cuda, jakie stworzyła jej wyobraźnia. Teraz oczywiście nigdy go nie zobaczy. Cały świat wszelakich wspaniałości pozostanie nie zobaczony, nie posmakowany.
- Taaak… - dobiegł do niej znowu zgrzytliwy głos Davy’ego. - Dobrze się przyjrzyj. To już ostatni raz.
Kathleen drgnęła. Nie mogła znieść ani sekundę dłużej obecności tego… tego wstrętnego chłopaka. Bez słowa odwróciła się i weszła do pałacu, by tam, we wnętrzu swej sypialni, znaleźć samotność.
Choć było późno, sen nie chciał nadejść. Że jest późno, wiedziała stąd, iż przycichł jazgot zewnętrznych myśli i ludzie już dawno położyli się spać poza strażnikami, neurotykami i tymi, co się bawili.
Zabawne, ale nie mogła zasnąć. Szczerze mówiąc, czuła ulgę - teraz, kiedy już wiedziała. Okropne było to życie z dnia na dzień, w napięciu niemal nie do wytrzymania - z powodu nienawiści służby i prawie wszystkich pozostałych ludzi. W końcu zapadła chyba w płytki sen, bo brutalna myśl, która dotarła do niej z zewnątrz, powikłała fantastyczny sen, który śniła.
Kathleen poruszyła się niespokojnie. Czułki slana (cieniutkie pasemka jakby z polerowanego złota, połyskujące nikle w półmroku na tle ciemnej czupryny wieńczącej jej dziecięcą twarzyczkę o subtelnych rysach) podniosły się spomiędzy jej włosów i kołysały delikatnie, jak gdyby poruszane leciutkim wiatrem. Delikatnie, ale uporczywie.
Nagle złowieszcza myśl ściągnięta przez owe czułe anteny z wnętrza spowitego nocą pałacu Kiera Graya wtargnęła do jej świadomości. Kathleen przebudziła się, drżąc jak osika.
Owa myśl, otrząsnąwszy z niej sen niczym wiadro lodowatej wody,

przez moment trwała w jej umyśle, wyraźna, zimnokrwiście mordercza. A potem znikła, tak kompletnie, jakby nigdy nie istniała. Pozostała tylko niewyraźna gmatwanina obrazów myślowych, spływających nieprzerwanym strumieniem z niezliczonych pomieszczeń przepastnego pałacu.
Kathleen leżała zupełnie bez ruchu, a z głębi jej własnego umysłu wyłoniło się zrozumienie, co to wszystko miało znaczyć. Ktoś nie czekał do jutra. Ktoś wątpił, że jej egzekucja odbędzie się zgodnie z planem. I zamierzał postawić Radę wobec faktu dokonanego. A mogła być tylko jedna osoba dostatecznie potężna, by stawić czoło wszelkim konsekwencjom: John Petty, szef tajnej policji, fanatyczny przeciwnik slanów; John Petty, który nienawidził jej tak, że wyróżniał się drastycznie nawet tu, w jaskini antyslanów. Zamachowiec musiał być jednym z jego siepaczy.
Z trudem uspokoiła nerwy i wytężyła umysł, sięgając w przestrzeń aż do granic swych możliwości. Sekundy wlokły się, a ona wciąż leżała błądząc po omacku, szukając mózgu, którego myśli na mgnienie oka zagroziły jej życiu. Szept myśli zewnętrznych przekształcił się w ryk, a ten aż wstrząsnął jej mózgiem. Minęły miesiące od czasu, gdy ostatni raz badała ów świat nie kontrolowanych umysłów. Wydawało jej się, że obraz jego okropności nie wyblakł w jej pamięci. A jednak rzeczywistość była gorsza niż wspomnienia. Zawzięcie, z wytrwałością godną dojrzałego slana, trwała w tej nawałnicy wibracji myślowych, walcząc o wyizolowanie po kolei każdego indywidualnego wzorca. Dobiegło do niej zdanie:
- O Boże, mam nadzieję, że nie wykryją jego oszustw. Tych dzisiejszych, na warzywach.
To powinna być żona zastępcy szefa kuchni, biedna, pobożna kobieta, żyjąca w śmiertelnym przerażeniu, że nadejdzie dzień, kiedy drobne kradzieże jej męża wyjdą na jaw. Przez chwilę Kathleen współczuła kobiecinie leżącej gdzieś tam w ciemności przy boku męża. Współczucie nie było jednak zbyt gorące, jako że ongiś owa „kobiecina”, powodowana ordynarnym, złośliwym odruchem, zatrzymała się, gdy Kathleen mijała ją na korytarzu, i bez uprzedniego ostrzeżenia mentalnego wymierzyła jej mocny policzek.
Umysł Kathleen podążał dalej, wiedziony teraz narastającym uczuciem konieczności pośpiechu. Przez jej mózg przemykały kolejne obrazy, istny kalejdoskop, odpychane niemal w momencie pojawienia, jako niepotrzebne, nie związane z groźbą, która ją przebudziła. Oto cały świat pałacu, z jego intrygami, niezliczonymi tragediami osobistymi, bezwzględnością. Oto sny o implikacjach psychologicznych - marzenia napływające od niespokojnie śpiących ludzi. Oto wreszcie obraz innych, którzy siedzieli knując spiski do późna w nocy.
A potem nadbiegło nagle pasemko brutalnego zamiaru, silne

postanowienie, by j ą zabić! Natychmiast znikło znowu, niczym ulotny motyl, tylko w zupełnie inny sposób. Jego morderczość podziałała jak spięcie ostrogą nad krawędzią otchłani rozpaczy. Bo ów drugi błysk złowrogiej myśli zabrzmiał zbyt potężnie, by mogło to oznaczać cokolwiek innego niż bliskość, okropną, niebezpieczną bliskość.
Zdumiewające, jak trudno było go znowu odnaleźć. Jej mózg cierpiał, a ciało zalewały na przemian fale ciepła i zimna; potem zabłąkany motyw nadbiegł po raz trzeci - i teraz go miała. Teraz zrozumiała, czemu jego mózg tak długo ją zwodził. Jego bardzo starannie przemieszane myśli celowo rozbiegały się ku tysiącom rozmaitych spraw, robiąc wrażenie odprysków z plątaniny wszechobecnego myślowego szumu.
Musiał to trenować, ale mimo to daleko mu było do Kiera Graya czy Johna Petty'ego; każdy z nich potrafił trzymać się ściśle linii rozumowania bez choćby jednokrotnego wymknięcia się myśli poza maskującą barierę. Jej niedoszły morderca pomimo całego swego sprytu zdradził się. Kiedy tylko wejdzie do pokoju, ona…. Myśl nie dobiegła końca. Umysł Kathleen niemal się rozpadł pod udarem prawdy, która na nią spłynęła. Tamten człowiek był już w sypialni i właśnie w tym momencie skradał się na kolanach w stronę jej łóżka.
Leżącą w pościeli Kathleen ogarnęło wrażenie, że czas się zatrzymał. Zrodziło się z ciemności i tego, jak unieruchamiała ją kołdra, pokrywająca nawet ręce. Miała świadomość, że najmniejszy nawet ruch spowoduje szelest sztywnej pościeli. A wtedy on skoczy na nią, zanim ona zdoła się podnieść; przydusi kołdrą i będzie zdana na jego łaskę.
Nie mogła się poruszyć. Nie mogła nic zobaczyć. Mogła tylko wyczuwać, jak narastające podniecenie przenika drżeniem mózg zabójcy. Jego myśli biegły teraz szybciej; zapomniał, że ma je rozpraszać. Żar morderczego zapału gorzał w nim tak potężnie i ogniście, że musiała skierować w inną stronę część swego umysłu, bo zaczęła to odczuwać jak fizyczny ból.
A w zupełnie teraz jawnych myślach odczytała historię napaści. Ten człowiek był strażnikiem, którego postawiono pod jej drzwiami. Ale nie tym samym strażnikiem co zawsze. Dziwne, że tego nie zauważyła. Musieli dokonać zamiany, kiedy spała. Albo może za bardzo rozdrażniły ją własne myśli.
Pojęła jego plan działania, kiedy podniósł się na nogi i nachylił nad łóżkiem. Dopiero teraz, gdy jego ręka uniosła się do ciosu, jej oczy zarejestrowały nikłe lśnienie noża.
Jedno jedyne wyjście. Mogła zrobić tylko jedną rzecz! Szybkim pewnym ruchem zarzuciła kołdrę na głowę i ramiona zaskoczonego mężczyzny. I natychmiast ześliznęła się z łóżka, niknąc jak cień wśród cieni mrocznej sypialni.

Usłyszała za sobą słaby okrzyk, kiedy mężczyznę spowiła kołdra narzucona przez jej małe, nadzwyczaj silne ręce. W tym cichym okrzyku brzmiała konsternacja i zaczątek paniki na myśl, co by oznaczało odkrycie zamachu.
Pochwyciła jego myśli; słyszała ruchy, kiedy jednym skokiem przesadził łóżko i zaczął wymachiwać ramionami, przeczesując mroczny przestwór sypialni. Naszła ją osobliwa myśl, że nie powinna była umykać z łóżka. Jeśli i tak jutro ma nadejść śmierć, to po co ją opóźniać? Ale odpowiedź nadeszła sama, jako ogarniająca ją fala przypływu woli życia - i myśl, już po raz drugi, że ten gość o pomocy stanowił dowód, iż ktoś, kto pragnie jej śmierci, obawia się, że nie dojdzie do egzekucji.
Odetchnęła głęboko. Zdenerwowanie ustępowało wraz z pierwszą lekceważącą wypowiedzią o niezdarnych wysiłkach zamachowca:
- Ty głupcze! - odezwała się zionącym pogardą głosem, dziecięcym, a zarazem niezmiernie dorosłym przez kąśliwą logikę. - Czyżbyś naprawdę wierzył, że zdołasz pochwycić slana w ciemności?
To było wręcz żałosne: sposób, w jaki mężczyzna młócąc we wszystkie strony pięściami rzucił się w kierunku, skąd dobiegły jej słowa. Żałosne i przerażające, bo jego myśli stały się teraz aż groźne ze strachu. Było coś nieczystego w tym jego panicznym popłochu, który wprawił w drżenie Kathleen stojącą boso w przeciwległym końcu pokoju.
Raz jeszcze przemówiła swym wysokim, dziecięcym głosikiem: - Idź sobie lepiej, zanim ktoś usłyszy, jak się tu miotasz. Jeśli zaraz sobie pójdziesz, to nie poskarżę się na ciebie panu Grayowi.
Spostrzegła, że tamten jej nie uwierzył. Było w nim za dużo przerażenia, za dużo podejrzliwości i, o dziwo, sprytu. Zakląwszy pod nosem przestał jej szukać i raptownie rzucił się ku drzwiom, gdzie znajdował się wyłącznik światła. Wyczuła, że szukając przycisku wyciągnął jednocześnie pistolet. I pojęła, że wolał podjąć ryzyko ucieczki przed strażnikami, co nadbiegną na odgłos strzału, niż spotkać się ze swoim mocodawcą i przyznać do niepowodzenia.
- Ty głupi tępaku! - powiedziała.
Wiedziała, co musi zrobić, chociaż nigdy przedtem jeszcze tego nie próbowała. Wymacując drogę palcami bezgłośnie przemknęła wzdłuż ściany. Potem otworzyła ukryte w boazerii drzwi, prześliznęła się przez nie, zamknęła za sobą i pomknęła dyskretnie oświetlonym korytarzykiem ku drzwiom u jego końca. Pod jej dotknięciem otworzyły się ukazując duży, luksusowo umeblowany gabinet.
Przerażona nagle zuchwałością swego kroku Kathleen stała w drzwiach, zapatrzona na potężnie wyglądającego mężczyznę, który siedział za biurkiem, pisząc przy świetle stołowej lampy z abażurem. Kier Gray nie od razu podniósł wzrok. Już po chwili wiedziała, że

zdaje sobie sprawę z jej obecności, a jego milczenie dodało jej odwagi na tyle, by mu się przypatrzyć.
W owym władcy ludzi było coś wspaniałego, co wzbudziło jej podziw nawet teraz, kiedy lęk przed nim zalegał w niej niczym wewnętrzny ciężar. Ostre męskie rysy nadawały szlachetny wyraz obliczu, pochylonemu teraz w zadumie nad pisanym listem.
Gdy pisał, była w stanie śledzić jego powierzchowne myśli, lecz nic oprócz tego. Kier Gray bowiem, jak odkryła już dawno temu, dzielił z owym najbardziej znienawidzonym spośród ludzi, Johnem Pettym, umiejętność jednotorowego myślenia w jej obecności, w taki sposób, że czyniło to czytanie myśli praktycznie niemożliwością. Wymykały się tylko tamte powierzchniowe słowa, słowa pisanego listu. Ale jej zdenerwowanie i niecierpliwość przewyższały całe zainteresowanie jego listem. Wybuchła:
- W moim pokoju jest mężczyzna. Próbował mnie zabić!
Kier Gray podniósł wzrok. Jego twarz, teraz gdy zwrócił się całkiem w jej stronę, miała surowy wyraz. Szlachetne cechy profilu zagubiły się w zdecydowaniu i sile owej smukłej mocnej szczęki. Kier Gray, władca ludzi, zmierzył ją chłodnym wzrokiem. Gdy przemówił, jego umysł poruszał się z taką precyzją, a głos i myśli miał tak ściśle zgrane, że nie była pewna, czy w ogóle wypowiedział jakieś słowa.
- Zamachowiec, co? Mów dalej.
Opowieść popłynęła z ust Kathleen drżącym potokiem słów, zawierającym relację ze wszystkiego, co zdarzyło się od chwili, gdy Davy Dinsmore szydził z niej na blankach pałacu.
- A więc myślisz, że za tym stoi John Petty? - zapytał.
- Tylko on mógł to zrobić. Strażników, którzy mnie pilnują, nadzoruje tajna policja.
Powoli skinął głową, a ona wyczuła w jego myślach leciutkie napięcie. Mimo to były spokojne, głębokie i niespieszne.
- A więc już się stało - powiedział miękko. - Próba zdobycia władzy absolutnej przez Johna Petty'ego. Żal mi nieomal tego człowieka; jest tak zaślepiony, że nie dostrzega słabych punktów we własnych planach. Nigdy żaden szef tajnej policji nie cieszył się zaufaniem ludu. Mnie się boją, ale i uwielbiają; jego się tylko boją. I wydaje mu się, że to najważniejsze.
Brązowe oczy Kiera Graya spojrzały posępnie w oczy Kathleen.
- Zamierzał cię zabić przed terminem ustalonym przez Radę, bo gdyby to się stało, nie mógłbym już nic zrobić. A wiedział, że moja bezradność wobec niego obniżyłaby mój prestiż w Radzie.
Jego głos brzmiał teraz bardzo cicho, jak gdyby zapomniał o obecności Kathleen i myślał na głos.
- I miał rację. Rada by się tylko zniecierpliwiła, gdybym próbował siłą wprowadzić do porządku obrad sprawę śmierci slana. Co więcej, nie

przedsięwzięłaby żadnych działań, chcąc sprawdzić, czy się boję. A to by oznaczało początek końca. Dezintegrację, podział na grupy, stopniowo coraz bardziej wrogie wobec siebie, bo tak zwani realiści, oceniwszy sytuację, wytypowaliby prawdopodobnego zwycięzcę lub rozpoczęliby ową przyjemną zabawę znaną jako rozgrywka obu skrajności przeciwko centrum.
Zamilkł na chwilę, po czym podjął: - Jak widzisz, Kathleen, bardzo subtelna i niebezpieczna sytuacja. Bo John Petty po to, by zdyskredytować mnie wobec Rady, bardzo pracowicie rozpowszechniał opowieść, że mam zamiar pozostawić cię przy życiu. W związku z tym - i to jest szczegół, który cię zainteresuje… - tu po raz pierwszy ponurą twarz Graya rozjaśnił uśmiech - …w związku z tym mój prestiż i moja pozycja zależą teraz od tego, czy będę w stanie zachować cię przy życiu wbrew Johnowi Petty’emu.
Uśmiechnął się ponownie.
- I cóż? Co myślisz o naszej sytuacji politycznej? Kathleen pogardliwie wydęła wargi.
- On jest głupi, jeśli chce z panem walczyć, to sobie myślę. I będę panu pomagać, w czym tylko mogę. Mogę pomóc odczytując myśli i inne rzeczy…
Kier Gray uśmiechnął się szeroko, a uśmiech rozjaśnił całe jego oblicze, zacierając brutalność rysów.
- Wiesz, Kathleen - powiedział - my, ludzie, musimy czasami wydawać się slanom bardzo dziwni. Na przykład sposób, w jaki was traktujemy. Wiesz, dlaczego tak jest, prawda?
Kathleen pokręciła głową.
- Nie, panie Gray. Czytałam o tym w ludzkich umysłach i wygląda na to, że nikt nie wie, dlaczego nas nienawidzicie. Coś tam jest o wojnie między slanami i ludźmi, dawno temu, ale przedtem też zdarzały się wojny, a ludzie nie żywili potem do siebie nienawiści. No i są tam te wszystkie potworne historie, tak absurdalne, że mogą być tylko stekiem paskudnych kłamstw.
- Słyszałaś, co slany robią ludzkim dzieciom? - zapytał.
- To jest właśnie jedno z tych głupich kłamstw - odparła pogardliwie. - To są wszystko okropne kłamstwa. Kier Gray stłumił uśmiech.
- Widzę, że o tym słyszałaś. Może cię to zaszokować, ale takie rzeczy naprawdę zdarzają się dzieciom. Cóż ty wiesz o umysłowości dorosłego slana, którego inteligencja jest o dwieście do trzystu procent wyższa, niż inteligencja zwykłego człowieka? Wiesz tyle, że ty byś takich rzeczy nie robiła, ale jesteś tylko dzieckiem. W każdym razie tym się teraz nie przejmuj. Dla ciebie i dla mnie toczy się teraz walka o życie. Zamachowiec zapewne uciekł już z twojego pokoju, ale będziesz musiała wejrzeć w jego umysł, żeby go zidentyfikować. Teraz zaczyna się konfrontacja. Ściągnę tu Petty’ego i Radę. Nie spodoba im

się to wyrwanie ze słodkich snów, ale do cholery z nimi! Ty zostajesz tu. Chcę, żebyś czytała w ich umysłach, a potem mi powiesz, co myśleli podczas dochodzenia.
Nacisnął guzik na biurku i rzucił szorstko w stronę przyrządu w kształcie prostokątnego pudełka:
- Powiedz dowódcy mojej ochrony osobistej, żeby przyszedł do mojego gabinetu.

3

Jak trudno tak siedzieć w oślepiającym świetle włączonych lamp. Mężczyźni zbyt często na nią spoglądali, a w ich myślach niecierpliwość mieszała się z okrucieństwem i nikt jej nie żałował. Ich nienawiść tłumiła życie kipiące w jej nerwach i ciążyła na duchu. Nienawidzili jej. Chcieli jej śmierci. Kathleen pobladła; zacisnęła oczy, skierowała myśli w inną stronę i próbowała rozpłaszczyć się głęboko w fotelu, jak gdyby samym tylko wysiłkiem woli mogła uczynić swe ciało niewidzialnym.
Ale stawka była zbyt wysoka; nie śmiała uronić choćby pojedynczej myśli czy obrazu. Jej oczy i umysł rozwarły się szeroko i wszystko pojawiło się znowu: pokój, mężczyźni, cała złowieszcza sytuacja.
John Petty poderwał się gwałtownie na nogi i powiedział: - Sprzeciwiam się obecności tej slanki na posiedzeniu, w związku z tym, że jej niewinny, dziecięcy wygląd może wzbudzić litość w niektórych z nas.
Kathleen patrzyła nań ze zdumieniem. Szef tajnej policji był masywnie zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu, a jego twarz, o rysach raczej kruczych niż orlich i cokolwiek zbyt mięsista, nie zdradzała ani śladu dobroci. Czy on naprawdę w to wierzył? Czy ktokolwiek z tych ludzi okaże litość, z jakiego bądź powodu?
Spróbowała coś odczytać pod jego słowami, ale umysł Petty’ego był celowo zmącony, a posępna, potężna twarz - bez wyrazu. Przechwyciła ledwo wyczuwalny odcień ironii i zdała sobie sprawę, że John Petty doskonale rozumie sytuację. To była jego próba zdobycia władzy; utrzymywał w pogotowiu całe ciało oraz umysł, śmiertelnie groźne przez ogrom wiedzy, jaką dysponował.
Kier Gray zaśmiał się oschle i nagle Kathleen pochwyciła błysk magnetycznej osobowości tego mężczyzny. Przywódca miał w sobie coś z tygrysiej drapieżności; otaczała go płomienna aura znamionująca żywotność i tylko on ze wszystkich obecnych w sali posiedzeń posiadał tę cechę.
- Nie sądzę - odezwał się - byśmy musieli się obawiać, że… że nasze szlachetne odruchy zdominują zdrowy rozsądek.
- Całkiem słusznie - powiedział Mardue, minister komunikacji. - Sędzia musi zasiadać w obecności oskarżonego. - Tu przerwał, ale w myśli

ciągnął zdanie: - ...szczególnie gdy sędzia wie z góry, że wyrokiem jest śmierć. - Zachichotał po cichu do siebie, a oczy miał zimne.
- W takim razie żądam, żeby ją wyprowadzono - warknął Petty - ponieważ jest slanka i na Boga, nie zgodzę się, żeby slan przebywał w tym samym pomieszczeniu co ja!
Przypływ zbiorowych emocji, odpowiedź na ów ograny slogan, poraził Kathleen niczym fizycznie odczuty cios. Podniosły się rozwścieczone-głosy:
- Racja, do cholery!- Wyrzucić ją!- Masz piekielny tupet, Gray, skoro budzisz nas w środku nocy, żeby... - Przecież Rada ustaliła to już jedenaście lat temu. Do niedawna nawet o tym nie wiedziałem.
- Wyrok brzmiał „śmierć", czyż nie tak?
Grad słów wywołał posępny uśmieszek na ustach Petty'ego. Rzucił spojrzenie w stronę Kiera Graya. Spojrzenia obu mężczyzn skrzyżowały się niczym rapiery przed śmiertelnym zwarciem. Kathleen z łatwością zorientowała się, że Petty usiłuje zagmatwać sprawę. Ale jeśli nawet przywódca czuł, że przegrywa, z jego beznamiętnej twarzy nie dało się tego wyczytać ani w jego myślach nie zagościł cień zwątpienia.
- Panowie, tkwicie w błędnym przekonaniu. To nie jest rozprawa przeciwko slance Kathleen Layton. Ona jest tu, by świadczyć przeciw Johnowi Petty'emu, i doskonale rozumiem jego chęć pozbycia się jej z tej sali.
Kathleen oceniła, że zdumienie Johna Petty'ego w tym momencie było nieco przedobrzone. Jego umysł pozostał zbyt spokojny, lodowato czujny, podczas gdy głos przybrał siłę ryku bawołu:
- No nie, to już jest cholerna bezczelność! Wyrwałeś nas wszystkich ze snu, żeby o drugiej nad ranem wytoczyć mi niespodziewany proces - i to na podstawie świadectwa slana! Mówię ci, Gray, masz cholerny tupet. I natychmiast powinniśmy raz na zawsze rozwiązać problem prawny, czy zeznanie slana można w ogóle traktować jako dowód.
I znowu to samo: unik, obliczony na odzew prymitywnej nienawiści. Kathleen zadrżała pod naporem fal emocji, jakie nadpłynęły w odpowiedzi od pozostałych mężczyzn. Nie miała tu żadnych szans, żadnej nadziei; czekała ją pewna śmierć.
Kiedy Kier Gray się odezwał, jego głos brzmiał nieomal flegmatycznie:
- Zdaje mi się, Petty, że powinieneś pamiętać, iż nie mówisz teraz do bandy wieśniaków o umysłach urobionych propagandą. Twoi słuchacze są realistami i pomimo tych jawnych prób zagmatwania sprawy mają świadomość, że ich polityczne i zapewne także fizyczne życie jest stawką w tym kryzysie, który ściągnąłeś na nas ty, nie ja.
Posępne, pociągłe rysy jego twarzy stwardniały od napięcia mięśni, a głos zabrzmiał teraz brutalnie:
- Mam nadzieję, że każdy z tu obecnych otrząśnie się do reszty ze snu,

emocji czy zniecierpliwienia, żeby uświadomić sobie jedno: John Petty prowadzi tę rozgrywkę, aby odsunąć mnie od władzy, i niezależnie od tego, który z nas zwycięży, kilku z was nie dożyje świtu.
Teraz nikt już na nią nie patrzył. Wszyscy nagle zamilkli i Kathleen miała wrażenie, że nadal jest obecna, lecz już niewidzialna. Odczuła to tak, jakby z jej umysłu usunięto ciężar i dopiero teraz mogła widzieć, czuć i myśleć z normalną wyrazistością.
W sali wyłożonej elegancką dębową boazerią zapadła cisza, zarówno mentalna, jak i akustyczna. Przez chwilę myśli mężczyzn były zamazane, mniej intensywne; odczuła to tak, jak gdyby pomiędzy jej a ich umysłami wyrosła raptownie przegroda, bo mózgi tamtych pracowały głęboko, głęboko w swych wnętrzach, badając, oceniając szansę, analizując sytuację, spinając się wobec nagle uświadomionego śmiertelnego zagrożenia.
Nagle świadomość Kathleen zarejestrowała wyrwę w kłębowisku myśli: jasne, wyraźne, adresowane do niej polecenie mentalne: „Przesiądź się na krzesło w narożniku, gdzie nie będą cię mogli widzieć bez odwracania głowy! Szybko!”.
Kathleen posłała jedno spojrzenie w stronę Kiera Graya. Ujrzała, że nieomal łuna bije ku niej z jego oczu, tak intensywny był ich blask. Potem ześliznęła się bezgłośnie z fotela, wykonując polecenie.
Mężczyźni nie spostrzegli jej nieobecności; nawet nie zauważyli, co zrobiła. A Kathleen poczuła, że dostaje wypieków, pojąwszy, że nawet teraz, w momencie ostrego spięcia Kier Gray rozgrywa karty nie przeoczając najdrobniejszej choćby, subtelności.
- Oczywiście egzekucje nie są absolutnie konieczne - powiedział głośno - pod warunkiem, że John Petty raz na zawsze wybije sobie z głowy niepoczytalne pragnienie, by mnie zastąpić.
Teraz gdy mężczyźni uważnie wpatrywali się w Kiera Graya, ich myśli nie dało się odczytać. Na moment każdy się skupił, wszyscy tak zapanowali nad swymi umysłami, jak Kier Gray i John Petty, całą świadomość koncentrując na tym, co powinni powiedzieć i co zrobić.
Gray mówił dalej; w jego głosie brzmiała ledwie wyczuwalna nuta gniewu: - Mówię „niepoczytalne”, bo jakkolwiek może to wyglądać na zwykłą utarczkę pomiędzy dwoma ludźmi, jest to coś znacznie poważniejszego. Człowiek, który ma władzę absolutną, reprezentuje stabilność i porządek. Ten, kto chce to osiągnąć, gdy zdobędzie władzę, musi zabezpieczyć swoją pozycję. Oznacza to egzekucje, zesłania, konfiskaty, uwięzienia, tortury - wszystko to wymierzone oczywiście przeciw tym, co mu się przeciwstawili, lub tym, którym on nie ufa. Poprzedni przywódca nie może tak po prostu zstąpić do roli podwładnego. W rzeczywistości jego prestiż nigdy nie zanika - świadczą o tym postaci Napoleona i Stalina - i dlatego pozostaje ciągłym zagrożeniem. Ale aspiratora do roli przywódcy można po

prostu ukarać i pozostawić na zajmowanym dotąd stanowisku. I taki jest właśnie mój plan co do Johna Petty'ego.
Kathleen spostrzegła, że dyktator gra na ich instynktownej ostrożności, na strachu przed tym, co mogła przynieść zmiana. Jej myśli się rozpierzchły, gdy John Petty poderwał się na nogi.
Przez moment nie panował nad sobą, ale miotała nim tak wielka wściekłość, że odczytanie jego myśli było równie niemożliwe, jak wtedy, gdy w pełni kontrolował swój umysł.
- Myślę - wybuchnął - że nigdy mi się nie zdarzyło słyszeć równie niesłychanego oświadczenia z ust człowieka rzekomo poczytalnego. Oskarżył mnie o gmatwanie sprawy. Panowie, czy zauważyliście, że on jak dotychczas nie przedstawił żadnej sprawy, żadnych dowodów? Wszystko co mamy, to jego oświadczenie i ten dramatyczny przewód sądowy, którym zaskoczył nas w środku nocy, dobrze wiedząc, że większość z nas będzie zamroczona snem. Muszę wyznać, że nie przebudziłem się jeszcze do reszty, lecz jestem, jak sądzę, dostatecznie trzeźwy, by uświadomić sobie, iż Kier Gray uległ chorobie nękającej dyktatorów wszystkich czasów: manii prześladowczej. Nie mam wątpliwości, że od pewnego czasu odczytywał każde nasze słowo czy działanie jako zagrożenie dla swej pozycji. Z trudem potrafię znaleźć właściwe słowa, by wyrazić swe przerażenie na myśl, co to oznacza. W obliczu tak rozpaczliwej sytuacji ze slanami, jak on w ogóle śmiał sugerować, że któryś z nas chciałby zainicjować rozłam? Powiadam wam, panowie: w tym momencie nie możemy sobie pozwolić nawet na cień rozłamu! Ludność jest na granicy wrzenia w związku z ogromną, o światowym zasięgu, aktywnością slanów, wymierzoną przeciwko ludzkim dzieciom. Ich próba slanizacji gatunku ludzkiego wraz z wynikającymi z niej koszmarnymi niepowodzeniami to największy problem, wobec jakiego kiedykolwiek stanął rząd.
Zwrócił się w stronę Kiera Graya, a grał tak znakomicie, taka ewidentna była jego szczerość, że Kathleen poczuła zimny dreszcz.
- Gdybym mógł, Kier, zapomniałbym o tym, co zrobiłeś: przede wszystkim ten sąd, no i tę groźbę, że niektórzy z nas nie dożyją do rana. W istniejących okolicznościach mogę ci tylko zasugerować rezygnację. W każdym razie ja nie mam już do ciebie zaufania.
Kier Gray powiedział z nikłym uśmieszkiem: - Jak panowie widzą, doszliśmy właśnie do sedna sprawy. On żąda mojej rezygnacji.
- Zgadzam się z Pettym - odezwał się szorstko wysoki, szczupły młody mężczyzna. - Twoje posunięcia, Gray, wykazały, że nie jesteś już osobą odpowiedzialną. Ustąp!
- Ustąp! - wykrzyknął kolejny głos, i nagle zabrzmiało to jak opętańczy chór:
- Ustąp! Ustąp! Ustąp!
Dla Kathleen śledzącej wypowiedź Petty'ego z najwyższą uwagą, te

słowa i towarzyszące im brutalne myśli brzmiały jak wyrok. Minęła dłuższa chwila, zanim uświadomiła sobie, że okrzyki wydawało tylko czterech spośród obecnej dziesiątki.
Doznała bolesnego olśnienia. A więc o to chodziło. Wołając raz za razem „Ustąp!”, mieli nadzieję przekrzyczeć niezdecydowanych i strachliwych, ale jak na razie nie udało się im. Jej wzrok i umysł pomknęły w stronę Kiera Graya, który samą swoją obecnością powstrzymywał tamtych od poddania się panicznym nastrojom, Dość było na niego spojrzeć, a powracała pewność siebie. Siedział bowiem tam, cokolwiek bardziej wyprostowany w swym fotelu, wydając się teraz wyższy, większy, silniejszy; na jego twarzy widniał ironiczny, pewny siebie uśmieszek.
- Czyż to nie zastanawiające - zapytał cicho - że to czterech młodszych panów jednoczy się, by poprzeć młodego pana Petty’ego? Mam nadzieję, iż jest to oczywiste dla obecnych tu starszych, że mamy tu do czynienia z działaniem z góry zaplanowanym, a także, że przed świtem plutony egzekucyjne rozpoczną swe dzieło, ponieważ ci młodzi podżegacze są jawnie zniecierpliwieni nami, starymi piernikami - bo chociaż wiekiem jestem zbliżony do nich, mnie też mają za starego piernika. Aż się rwą do porzucenia umiaru, który my wykazywaliśmy, i oczywiście są przekonani, że poprzez rozstrzelanie staruszków przyśpieszą tylko o parę lat to, co z upływem czasu dokonałoby się samo siłami natury.
- Zlikwidować ich! - warknął Mardue, najstarszy z obecnych.
- Cholerni młodzi dorobkiewicze! - cisnął Harlihan, minister lotnictwa.
Wśród starszych, mężczyzn dały się słyszeć pomruki, których Kathleen słuchałaby z przyjemnością, gdyby nie znała tak dokładnie odruchów ukrytych za słowami. Czaiły się tam nienawiść i strach, niepewność i arogancja, frustracja i zdecydowanie - było tam wszystko, istna gmatwanina myślowego plugastwa.
Cokolwiek pobladły Petty zwrócił się w stronę szemrzących. Lecz Kier Gray z błyskiem w oku i zaciśniętymi pięściami poderwał się na nogi.
- Siadaj, ty niewiarygodny głupcze! Jak śmiałeś wtrącić nas w ten kryzys teraz, kiedy możemy zostać zmuszeni do zmiany całej naszej polityki wobec slanów! Przegrywamy, słyszysz?! Nie mamy uczonych mogących dorównać supernaukowcom slanów. Czegóż bym nie dał, żeby przeciągnąć choć jednego z nich na naszą stronę! Gdybyśmy mieli, powiedzmy, slana jak Peter Cross, zamordowanego w idiotyczny sposób trzy lata temu, bo policjanci, którzy go pochwycili, byli skażeni mentalnością motłochu.
Tak, powiedziałem „motłochu”. Bo właśnie nim są wszyscy ludzie w dzisiejszych czasach. Motłochem, bestią, której pomogliśmy się zrodzić za pomocą propagandy. Boją się, śmiertelnie się boją o swoje dzieci, a my nie mamy uczonych potrafiących obiektywnie myśleć na

ten temat. Mówiąc ściślej, nie mamy ani jednego uczonego godnego tego miana. Bo jaka korzyść może być dla człowieka w poświęceniu całego życia badaniom, jeśli w jego umyśle tkwi odbierająca zapał świadomość, że wszystkie wynalazki, jakich mógłby mieć nadzieję dokonać, dawno temu zostały już dokonane przez slany? Że oczekują gdzieś tam, w tajemnych jaskiniach lub w postaci opisów i planów, na dzień, kiedy slany podejmą kolejną próbę opanowania świata?
Mówił dalej: - Nasza nauka to żart, nasze wykształcenie to stek kłamstw. I z każdym rokiem ruiny ludzkich aspiracji i ludzkich nadziei narastają wokół nas coraz wyżej. Każdy rok przynosi większy nieład, więcej ubóstwa, więcej cierpień. Pozostaje nam tylko nienawiść, ale sama nienawiść nie wystarczy. Albo musimy zlikwidować slany, albo wejść z nimi w układy i zakończyć to szaleństwo.
Z twarzy Graya biła pasja, którą włożył w swoje słowa, ale Kathleen widziała, że przez cały czas jego umysł pozostawał spokojny, uważny, ostrożny. Mistrz demagogii, władca ludzi; gdy przemówił znowu, w porównaniu z poprzednią wypowiedzią głos brzmiał spokojnie: znakomity czysty i miękki baryton.
- John Petty oskarżył mnie o chęć zachowania tego dziecka przy życiu. Chciałbym, żebyście wszyscy sięgnęli pamięcią do ostatnich paru miesięcy. Czy Petty kiedykolwiek wspominał wam, zapewne półżartem, że postanowiłem darować jej życie? Wiem, że tak, bo dotarło to do mnie. Teraz już rozumiecie, co robił - subtelnie wsączał jad. Wasze umysły polityków powiedzą wam teraz, że zmusił mnie do zajęcia takiego stanowiska: zabijając ją sprawiłbym wrażenie, że uległem, i przez to utraciłbym prestiż.
W związku z tym - ciągnął - zamierzam wydać oświadczenie, że Kathleen Layton nie zostanie stracona. Wobec luk w naszej wiedzy o slanach pozostanie przy życiu jako obiekt badań. Osobiście jestem zdecydowany skorzystać jak najwięcej z jej ciągłej obecności poprzez obserwację procesu osiągania dojrzałości przez slana. Poczyniłem już olbrzymią ilość notatek na ten temat.
John Petty nadal stał.
- Nie próbuj mnie zakrzyczeć! - warknął. - Posunąłeś się za daleko. Zaraz przekażesz slanom kontynent, żeby mogły rozwijać te tak zwane superwynalazki, o których wszyscy słyszeliśmy, ale nikt ich jeszcze nie widział. A co do Kathleen Layton, to Bóg mi świadkiem, zachowasz ją przy życiu, ale po moim trupie. Kobiety slanów są najgroźniejsze. To one są reproduktorkami i znają swoją robotę, niech je szlag trafi!
W głowie Kathleen Layton słowa rozpłynęły się w nieczytelne ciągi dźwięków. Do jej mózgu po raz drugi dotarło natarczywe wezwanie Kiera Graya: „Ilu z obecnych jest bezwarunkowo po mojej stronie? Pokaż mi na palcach”.
Posłała mu tylko jedno zalęknione spojrzenie, a potem jej umysł

pogrążył się w kłębowisku myśli i emocji nadpływających od zebranych mężczyzn. Było to trudne ze względu na wielość myśli, mnóstwo zakłóceń. A poza tym siły zaczęły opuszczać jej mózg,, kiedy ujrzała prawdę. Z jakiegoś powodu sądziła dotychczas, że wszyscy starsi mężczyźni są za przywódcą. Nie byli. W ich umysłach znalazła strach, narastające przekonanie, że dni Kiera Graya są policzone, że lepiej zrobią trzymając z młodą, silną grupą.
Przerażona, podniosła w końcu do góry trzy palce. Trzech z dziesięciu za, czterech zdecydowanie przeciw i za Pettym, trzech niezdecydowanych.
Nie mogła mu przekazać tych dwóch ostatnich liczb, bo jego umysł nie zadał już następnych pytań. Skupił uwagę na jej trzech palcach; oczy miał odrobinę tylko bardziej rozszerzone i czujne. Przez ułamek sekundy zdawało się jej, że wśród jego myśli przemknęło zatroskanie. A potem beznamiętność zasnuła jego myśli i oblicze. Siedział w swym fotelu jak kamienny posąg, zimny, posępny i śmiertelnie groźny.
Nie była w stanie oderwać od niego oczu.
Pojawiło się przeświadczenie, że ma przed sobą człowieka osaczonego, który łamie sobie głowę odwołując się do swego doświadczenia w poszukiwaniu techniki mogącej obrócić nadciągającą klęskę w zwycięstwo. Natężyła się, by wniknąć do jego mózgu, ale stalowy uścisk, w jakim trzymał swój umysł, i bardzo klarowny, prostolinijny bieg myśli stanowił zaporę nie do przebycia.
Ale w owych powierzchniowych myślach wyczytała wątpliwości, osobliwą niepewność, jednak bez lęku; po prostu zastanowienie, co teraz mógł, co powinien zrobić. To zdawało się świadczyć, iż nie do końca przewidział kryzys o takich rozmiarach, utajoną nienawiść, zorganizowaną opozycję czekającą tylko na sposobność, by go obalić i zniszczyć. Jej myśl urwała się, gdy odezwał się John Petty:
- Uważam, że powinniśmy natychmiast poddać sprawę pod głosowanie.
Kier Gray roześmiał się długim, głębokim, cynicznym śmiechem, który zakończył się nutą nadspodziewanie dobrego humoru.
- A więc chciałbyś głosowania w sprawie, o której przed chwilą sam powiedziałeś, że nawet nie udowodniłem jej istnienia! Naturalnie nie zgadzam się na dalsze apelowanie do rozsądku tu obecnych. Czas na rozsądek się skończył, skoro nie słucha się tego, co mówię, i tylko dla formalności dodam, że domaganie się głosowania w tym momencie oznacza, iż pośrednie przyznanie się do winy przekształciło się w jawną arogancję, bez wątpienia wynikłą z poczucia bezpieczeństwa, zrodzonego z poparcia co najmniej pięciu - a być może więcej - członków Rady. Niech mi będzie wolno wyłożyć na stół jeszcze jedną z moich kart. Od pewnego czasu wiedziałem o tej rebelii i jestem na nią przygotowany.

- Phi! - fuknął Petty. - Blefujesz. Śledziłem każdy twój krok. Kiedy pierwotnie organizowaliśmy tę Radę, obawialiśmy się takich możliwości, jak na przykład nie liczenie się przez któregoś z członków z głosami innych, a ustalone wtedy zabezpieczenia są nadal w mocy. Każdy z nas ma prywatną armię. Moi ludzie są na zewnątrz, patrolują korytarz, tak samo jak obstawa wszystkich członków Rady, gotowi skoczyć sobie do gardeł na dany znak. Jesteśmy całkowicie zdecydowani dać ten znak i ryzykować utratę życia w walce, która się z tego wywiąże.
- Ach, tak - powiedział miękko Kier Gray. - Zatem wszystko już jasne.
Niecierpliwe szuranie nogami wśród mężczyzn, mrożąca chmurka myśli; a potem, ku rozczarowaniu Kathleen, Mardue, jeden z trzech, o których sądziła, że bezwarunkowo popierają Graya, odchrząknął. Na chwilę, zanim przemówił, pochwyciła jego myśl świadczącą o słabnącym zdecydowaniu.
- Poważnie, Kier, popełniasz błąd, uważając się za dyktatora. Jesteś tylko wybrany przez Radę i mamy święte prawo wybrać na twoje miejsce kogoś innego. Zapewne kogoś, kto skuteczniej zorganizuje eksterminację slanów.
To już była mściwa zdrada. Szczury opuszczały tonący okręt, usiłując desperacko, jak spostrzegła Kathleen, przekonać nowe siły, że ich poparcie jest wiele warte.
Także w mózgu Harlihana wiatr myśli dął w nowym kierunku.
- O, właśnie; twoja wypowiedź o wchodzeniu w układy ze slanami to zdrada, jawna zdrada. Przecież twardy kurs stanowił dotychczas nienaruszalną zasadę polityki wobec slanów, zwłaszcza gdy idzie o mot… o ludność. Musimy coś zrobić, żeby wyniszczyć slany, i być może agresywniejsza polityka ze strony agresywniejsze-go człowieka…
Wymuszony uśmieszek pojawił się na ustach Kiera Graya; w jego mózgu nadal tkwiła owa niepewność - co robić, co robić? Przewijała się też niejasna zapowiedź czegoś jeszcze, napięcie wywołane sytuacją, dojrzewające postanowienie, by zaryzykować. Ale nic pewnego, nic konkretnego do Kathleen nie dotarło.
- A zatem - odezwał się Kier Gray, nadal spokojnie - chcecie przekazać przewodnictwo tej Rady w ręce człowieka, który zaledwie kilka dni temu pozwolił umknąć własnym samochodem Jommy’emu Crossowi, dziewięcioletniemu chłopcu, zapewne najniebezpieczniejszemu z żyjących obecnie slanów.
- W każdym razie - warknął Petty - jest jeden slan, który nie ucieknie.
- Łypnął złośliwie na Kathleen, po czym zwrócił się triumfalnie do pozostałych:
- Słuchajcie, co możemy zrobić: straci się ją jutro albo lepiej nawet natychmiast i wyda oświadczenie, że Kier Gray został usunięty z

urzędu, ponieważ wszedł w tajne porozumienie ze slanami, czego dowiodła jego odmowa egzekucji Kathleen Layton.
To było najdziwniejsze uczucie pod słońcem: siedzieć tam słuchając owego wyroku śmierci i nie odczuwać żadnych emocji, jak gdyby to nie o niej mówiono. Jej umysł zdawał się bujać samodzielnie gdzieś w oddali, a pomruk aprobaty, który rozległ się wśród mężczyzn, też zabrzmiał osobliwie, jakby stłumiony dużą odległością.
Uśmiech zniknął z twarzy Kiera Graya.
- Kathleen - odezwał się ostro. - możemy już skończyć tę zabawę. Ilu jest przeciw mnie?
Spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem i usłyszała swój głos odpowiadający łzawo:
- Wszyscy są przeciw tobie. Zawsze cię nienawidzili, bo jesteś dużo sprytniejszy od nich, i dlatego, że myślą, iż poniżałeś ich i zaćmiewałeś, a robiłeś to tak, by wyglądało, że oni się nie liczą.
- Więc on jej używa do szpiegowania nas! - warknął Petty, ale w jego wściekłości brzmiała nuta triumfu. - No cóż, w każdym razie miło wiedzieć, że co do jednego jesteśmy zgodni: Kier Gray jest skończony.
- W żadnym wypadku - powiedział spokojnie Kier Gray. - Sprzeciwiam się tak stanowczo, że w ciągu dziesięciu minut cała wasza jedenastka stanie przed plutonem egzekucyjnym. Wahałem się, czy podejmować tak drastyczne kroki, ale teraz nie ma już alternatywy i nie ma odwrotu, ponieważ właśnie przed chwilą wykonałem ostateczny i nieodwracalny ruch. Nacisnąłem guzik, zawiadamiając jedenastu oficerów dowodzących waszymi strażnikami - waszych najwierniejszych doradców i waszych następców - że godzina nadeszła.
Gapili się głupio na niego, a on mówił dalej: - Bo widzicie, panowie, nie wzięliście pod uwagę fatalnej słabości ludzkiej natury: żądza władzy w duszach podwładnych jest równie wielka, jak wasza. Wyjście z sytuacji, jaka się dzisiaj zdarzyła, zostało mi zasugerowane jakiś czas temu, kiedy główny doradca pana Petty'ego zwrócił się do mnie z ofertą, że w każdej chwili z przyjemnością zastąpi swego szefa. Podjąłem wtedy odpowiednie kroki w celu dalszego zbadania tej sprawy, co dało bardzo obiecujące wyniki, i zadbałem o to, by ci ludzie byli pod ręką w jedenaste urodziny Kathleen… ach, oto są nowi członkowie Rady!
Drzwi rozwarły się gwałtownie i do sali posiedzeń wkroczyło jedenastu posępnych młodych mężczyzn z rewolwerami w dłoniach.
- Do broni! - zakrzyknął wielkim głosem John Petty. W odpowiedzi usłyszał głośny jęk zawodu któregoś z członków Rady:
- Nie wziąłem ze sobą!
A potem huk rewolwerowych strzałów wypełnił pomieszczenie przeciągłym grzmotem, wzmocnionym przez wielokrotne echo.

Mężczyźni wili się na podłodze, dławiąc się własną krwią. Jak przez mgłę Kathleen dojrzała, że któryś z jedenastu członków Rady nadal stoi z dymiącą bronią w dłoni. Rozpoznała Johna Petty'ego. Wystrzelił pierwszy. Człowiek, który zamierzał go zastąpić, nie żył: nieruchoma postać rozciągnięta na podłodze.
Szef tajnej policji przemówił, pewnie trzymając broń wycelowaną w Kiera Graya.
- Zabiję cię, zanim mnie dostana, chyba że się dogadamy. Skoro tak ładnie potasowałeś karty, jestem oczywiście skłonny do współpracy.
Przywódca oficerów spojrzał pytająco na Kiera Graya.
- Czy mamy go załatwić, proszę pana? - spytał. Był szczupłym, ciemnowłosym mężczyzną o orlej fizjonomii, a przemawiał ostrym barytonem. Kathleen widywała go czasem w pałacu. Nazywał się Jem Lorry. Nigdy przedtem nie próbowała czytać w jego umyśle, a teraz zorientowała się, że i on utrzymywał nad swymi myślami kontrolę uniemożliwiającą penetrację.
- Nie trzeba - odparł po namyśle Kier Gray. - Petty się przyda. Będzie musiał przyznać, że pozostali członkowie Rady zostali straceni, ponieważ w toku śledztwa prowadzonego przez jego policję ujawniono, że zawarli tajne porozumienie ze slanami. Takie wytłumaczenie jest niezłe - to zawsze działa na to biedne, ogłupione stado tumanów tam, na zewnątrz. Zawdzięczamy tę koncepcję panu Petty'emu, choć sądzę, że sami też potrafilibyśmy to wymyślić. Tym niemniej jego wpływy przydadzą się do przeprowadzenia tej sprawy. Prawdę mówiąc - dodał cynicznie - myślę, że najlepiej będzie scedować na pana Petty'ego całą zasługę za egzekucje. Powiemy, że tak się przeraził odkrywszy ich perfidię, iż działał z własnej inicjatywy, a potem zdał się na łaskę, którą, w świetle przedstawionych dowodów, oczywiście bezzwłocznie uzyskał.
Wystąpił Jem Lorry.
- Wszystko gra, proszę pana. A teraz jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym postawić jasno - a mówię w imieniu wszystkich nowych członków Rady. Potrzebujemy pana, pana wspaniałej opinii, pańskich talentów, i jesteśmy gotowi wykreować pana w oczach ludzi na boga - innymi słowy chcemy dopomóc w umocnieniu pana pozycji, tak by się stała niepodważalna - ale proszę nie myśleć, że może się pan dogadać z naszymi dowódcami ochrony, żeby nas zlikwidować. To drugi raz nie przejdzie.
- Nie ma potrzeby mówienia mi czegoś równie oczywistego - odparł chłodno Kier Gray. - Uprzątnijcie tę padlinę, a potem - potem mamy parę spraw do omówienia. A co do ciebie, Kathleen, to idź spać. Teraz masz już z górki.
Dopiero teraz, opuszczając pośpiesznie salę posiedzeń, drżała w reakcji na wydarzenia, których była świadkiem, i zachodziła w głowę:

z górki? Czy on po prostu myślał…? A może chciał powiedzieć…? Po morderstwach dokonanych w jej obecności nie mogła być go pewna, nie mogła być pewna niczego. Upłynęło dużo, dużo czasu, zanim nadszedł sen.

4

Dla Jommy'ego Crossa nastąpił długi okres ciemności i umysłowej pustki, które w końcu przeszły w stalowoszarą poświatę, dzięki czemu mglistym myślom udało się spleść w pajęczynę rzeczywistości. Otworzył oczy, czując, że jest bardzo słaby.

Leżał w maleńkiej izdebce i patrzył na brudny, pokryty zaciekami sufit, z którego odpadła część tynku. Otaczały go niejednolicie szare ściany, upstrzone plamami starości. Szyba w jednym oknie dawno pękła i zmętniała; przedzierające się przez nią światło padało małą plamą w poprzek końca żelaznego łóżka i leżało tam, jak gdyby wyczerpane wysiłkiem.

Jego nikła jasność ujawniła pościel - resztki czegoś, co niegdyś było szarymi kocami. Z jednego boku starego siennika sterczała słoma, a wszystko cuchnęło nieświeżym, zatęchłym odorem.

Choć nadal czuł wielkie osłabienie, odrzucił plugawe okrycie i zaczął chyłkiem zsuwać się z łóżka. Złowrogo zadzwonił łańcuch i nagle zabolała go prawa kostka. Dysząc z wyczerpania legł z powrotem, ogłuszony odkryciem. Był przykuty do tego cuchnącego barłogu!

Z otępienia wyrwały go ciężkie kroki. Otworzył oczy, by ujrzeć stojącą w drzwiach wychudłą kobietę w workowatej szarej sukience; łypiące ku niemu czarne oczy lśniły niczym jasne paciorki.

- Ho ho! - odezwała się. - Nowy lokator Babuni wyszedł z gorączki i teraz możemy się poznać. Bardzo dobrze! Bardzo dobrze!

Hałaśliwie zatarła spierzchnięte dłonie.

- Cudownie nam będzie ze sobą, no nie? Ale musisz zarabiać na swoje utrzymanie. Żadni próżniacy nie będą wysysać Babuni, o nie, proszę szanownego pana, żadni! Trzeba będzie sobie na ten temat szczerze pogadać. Tak. Tak. - Zerknęła na niego ponad złączonymi dłońmi. - Szczerze pogadać.

Jommy gapił się jak urzeczony na wstrętną staruchę. Kiedy chuda, lekko przygarbiona postać sieknąwszy przysiadła ciężko w nogach łóżka, podkurczył nogi przyciągając je do ciała i odsunął się od niej, na ile tylko pozwalał łańcuch. Uderzyło go, że nigdy dotąd nie widział twarzy, która by lepiej wyrażała paskudny charakter skryty pod maską starczego ciała. Z narastającym niesmakiem porównywał chudą, pomarszczoną, jajowatą głowę z umysłem w jej wnętrzu. To wszystko tam było: każda kręta linia na zasuszonej twarzy miała swój odpowiednik w pogmatwanym mózgu. W zakamarkach tego przebiegłego umysłu rozgościł się cały ocean rozpusty.

Owa myśl musiała pojawić się na jego twarzy, bo baba wybuchła z nieoczekiwaną pasją:
- Tak, tak, patrząc na Babunię nigdy byś nie pomyślał, że była kiedyś sławną pięknością! Nie przypuszczałbyś, że niegdyś mężczyźni uwielbiali jej śnieżnobiałe wdzięki. Ale pamiętaj, że ta stara jędza uratowała ci życie. Nigdy o tym nie zapomnij, bo inaczej Babunia może wydać twoją niewdzięczną skórę policji. Ale by ich to uradowało! Babunia jest dla nich grzeczna na tyle, na ile jej to pasuje, i robi, co chce.
Babunia! Czyż kiedykolwiek ktoś bardziej zbrukał jakieś czułe słowo niż ta starucha, zwąc siebie Babunią?
Przeszukał jej umysł, próbując odnaleźć w głębinach pamięci jej prawdziwe imię, ale zalegał tam tylko zbiór zamazanych obrazków głupiej dziewczyny opętanej chęcią zrobienia kariery aktorskiej, rozrzutnie rozdającej swe wdzięki, zrujnowanej, znikczemniałej do poziomu ulicznicy, zniszczonej i zahartowanej przeciwnościami losu. Jej tożsamość utonęła w kloace popełnionych i zamierzonych niegodziwości. Odkrył tam historię nieprzerwanego złodziejstwa. Znalazł ponury kalejdoskop jeszcze ohydniejszych zbrodni. Zostało też popełnione morderstwo…
Niesamowicie wyczerpany Jommy drżąc z obrzydzenia wycofał się z paskudztwa, jakie stanowił umysł Babuni, gdy tylko pierwotna stymulacja wywołana pojawieniem się baby poczęła słabnąć. Stara łajdaczka pochyliła się ku niemu, niczym świdrem wwiercając się wzrokiem w jego oczy.
- Czy to prawda - zapytała - że slany potrafią czytać myśli?
- Tak - przyznał Jommy. - I widzę, co sobie myślisz, ale nic z tego.
Zachichotała ponuro.
- Znaczy się, nie przeczytałeś wszystkiego, co jest w rozumie Babuni. Babunia durna nie jest. Babunia cwana; nie jest aż taka głupia, by myśleć, że zmusi słana, żeby został i dla niej pracował. Żeby robił to, czego będzie od niego chciała, musi czuć, że jest wolny. Jak jest slanem, to zrozumie, że tu będzie dla niego najbezpieczniej do czasu, aż dorośnie. No i czy Babunia nie jest sprytna?
Jommy westchnął sennie.
- Widzę, co masz na myśli, ale teraz nie mogę z tobą rozmawiać. My, slani, kiedy chorujemy - a nie zdarza się to często - po prostu śpimy, ciągle śpimy. To że się obudziłem w taki sposób, oznacza, iż moja podświadomość zaniepokoiła się i zmusiła mnie do przebudzenia, uznawszy, że jestem w niebezpieczeństwie. My, slani, mamy wiele zabezpieczeń tego rodzaju. Ale teraz muszę znów zasnąć i wyzdrowieć.
Czarne jak sadza oczy rozwarły się szerzej. Pożądliwy umysł uległ, na moment rezygnując z osiągnięcia zasadniczego celu -

natychmiastowego wzbogacenia się dzięki swej zdobyczy. Pazerność chwilowo ustąpiła miejsca gwałtownemu zaciekawieniu, ale stara nie zamierzała dać mu zasnąć.
- Czy to prawda, że slany robią potworki z ludzkich dzieci? W mózgu Jommy'ego rozgorzała furia. Zmęczenie z niego opadło; usiadł rozjuszony.
- To kłamstwo! To jedno z tych potwornych kłamstw, które ludzie o nas rozpowiadają, żebyśmy sprawiali wrażenie nieludzkich, żeby wszyscy nas nienawidzili, zabijali. To...
Wyczerpany opadł z powrotem na łóżko; wściekłość ustępowała.
- Tata i mama byli najcudowniejszymi istotami na świecie - powiedział cicho. - I byli okropnie nieszczęśliwi. Spotkali się kiedyś na ulicy i zobaczyli w swych umysłach, że są slanami. Do tamtego momentu żyli w krańcowym osamotnieniu; nigdy nikogo nie skrzywdzili. To ludzie są zbrodniarzami. Tata nie walczył tak zaciekłe, jak by mógł, kiedy go osaczyli i podstępnie, tchórzliwie zabili. A mógł walczyć. Powinien! Przecież miał najstraszliwszą broń, jaką widział świat, tak straszną, że nie chciał jej nawet nosić przy sobie, bo obawiał się, że mógłby jej użyć. Jak skończę piętnaście lat, mam...
Przerwał pobladły, pojąwszy, że się wygadał. Przez chwilę poczuł się tak chory, tak wyczerpany, że jego umysł odmówił udźwignięcia brzemienia tej myśli. Wiedział tylko, że wydał największą tajemnicę w historii slanów, i jeśli ta zachłanna stara wiedźma wyda go policji w jego obecnym stanie, to wszystko przepadnie.
Minęła dłuższa chwila, nim odetchnął z ulgą. Zobaczył, że jej umysł zupełnie nie wychwycił nadzwyczajnego znaczenia tego, co on wyjawił. W momencie gdy wspomniał o broni, w ogóle go nie słyszała, bo jej pazerny mózg już za długo pozostawał daleko od zasadniczego celu. I teraz, wiedząc, że ofiara jest wyczerpana, spadł na nią jak sęp.
- Babunia się cieszy, że Jommy jest takim grzecznym chłopcem. Biedna, głodująca, stara Babunia potrzebuje młodego slana, żeby zarabiał forsę dla niej i dla siebie. Zechcesz popracować dla zmęczonej starej Babuni, prawda? - Jej głos stwardniał. - Żebracy ^nie mają wyboru, kapujesz?
Świadomość, że jego tajemnica jest bezpieczna, podziałała jak narkotyk. Powieki mu opadły.
- Naprawdę nie mogę teraz z tobą rozmawiać - powiedział. - Muszę zasnąć.
Zobaczył, że stara nie zamierza się od niego odczepić. Jej umysł zrozumiał już, czym można go podniecić. Ostro zapytała, nie dlatego, żeby ją to ciekawiło, ale żeby nie zasnął:
- Jakie są slany? Czym się od nas różnicie? A w ogóle, to skąd się wzięły slany? Zrobiono je, no nie? Tak jak maszyny?
Zabawne, że zdołało to wywołać oddźwięk w postaci przypływu złości,

choć jego umysł wiedział, że właśnie o to jej chodziło. Uświadomił sobie mętnie, że to słabość cielesna pozbawiła umysł normalnego opanowania.
- To jeszcze jedno kłamstwo - powiedział zacietrzewiony. - Urodziłem się zwyczajnie, jak wszyscy. Moi rodzice też. Nic więcej nie wiem.
- Twoi rodzice musieli chyba wiedzieć? - judziła go starucha. Jommy pokręcił głową.
- Nie, mama mówiła, że tatuś był zawsze za bardzo zajęty, żeby badać tajemnicę pochodzenia slanów. Ale teraz daj mi spokój. Wiem, co próbujesz osiągnąć, i wiem, czego chcesz, ale to nieuczciwe i ja tego nie zrobię.
- Bzdura! - cisnęła ze złością starucha, nareszcie przy swoim temacie. - Czy to nie uczciwe okradać ludzi, którzy żyją z rabunku i oszustwa? Czy my, ty i Babunia, mamy jeść skórki od chleba, skoro świat jest taki bogaty, że wszystkie skarbce są przepełnione złotem, wszystkie spichrze zbożem, a bogactwa płyną ulicami? Jak ty w ogóle możesz mówić o uczciwości - ty, slan, na którego polują jak na szczura!
Jommy milczał i to nie tylko dlatego, że był senny: sam miewał takie myśli. Starucha szła za ciosem:
- Dokąd pójdziesz? Co będziesz robić? Będziesz mieszkać na ulicy? A co w zimie? Czy na całym świecie jest takie miejsce, dokąd może pójść mały chłopczyk… slan?
Teraz jej głos przycichł, bo odgrywała współczucie: - Twoja biedna, kochana mamusia cieszyłaby się, gdybyś zrobił to, o co cię proszę. Ona nie kochała ludzi. Zachowałam gazetę, żeby ci pokazać, że kiedy próbowała uciekać, zastrzelili ją jak psa. Chcesz zobaczyć?
- Nie! - odparł Jommy, ale w duchu aż jęknął. Szorstki głos nalegał:
- Czy nie chcesz działać ze wszystkich sił przeciw światu, który jest tak okrutny? Odpłacić im? Żeby pożałowali tego, co zrobili? A może się boisz?
Milczał. Głos staruchy przybrał płaczliwy ton: - Życie jest strasznie ciężkie dla starej Babuni, okropnie ciężkie. Jeśli nie pomożesz Babuni, to będzie musiała sobie radzić inaczej, kapujesz? Czytałeś o tych sprawach w jej umyśle, prawda? Ale jeśli jej pomożesz, to obieca ci nigdy więcej tego nie robić. Przemyśl to sobie. Zaniecha tych niegodziwości, które musiała robić, żeby przeżyć w tym zimnym, okrutnym świecie.
Jommy poczuł, że jest pokonany. Powiedział powoli:- Jesteś starą, zepsutą, żałosną wiedźmą i kiedyś cię zabiję! - A więc zostaniesz do tego „kiedyś”! - powiedziała Babunia triumfalnie i zatarła ręce; pomarszczone paluchy otarły się o siebie jak pokryte łuską, pełzające po sobie suche węże.
- I masz robić, co ci Babunia każe, bo jak nie, to raz dwa przekażę cię policji… witaj w naszym małym domku, Jommy! Witaj. Babunia ma

nadzieję, że kiedy następny raz się obudzisz, będziesz się czuł lepiej.
- Tak - powtórzył słabym głosem Jommy. - Będzie mi lepiej.
Zasnął.
Trzy dni później Jommy poszedł za staruchą przez kuchnię do tylnych drzwi. Kuchnia była małym, ogołoconym pomieszczeniem i Jommy aż zamknął umysł na widok brudu i niechlujstwa. Pomyślał, że starucha miała rację. Chociaż życie tu zapowiadało się okropnie, ta pogrążona w zapomnieniu szopa przez swe ubóstwo będzie idealnym schronieniem dla małego slana muszącego odczekać co najmniej sześć lat, zanim będzie mógł odwiedzić miejsce ukrycia tajemnic ojca; chłopca, który musi najpierw dorosnąć, by móc liczyć na przeprowadzenie doniosłych zadań, jakie trzeba wykonać.
Kiedy otworzyły się drzwi i ujrzał, co jest na zewnątrz, myśl uleciała. Stanął jak wryty, ogłuszony widokiem, jaki się przed nim rozpostarł. Nigdy w życiu nie spodziewał się ujrzeć czegoś podobnego.
Na pierwszym planie leżało podwórko zagracone stertami złomu i wszelkich możliwych rupieci. Podwórko bez drzew czy trawy, pozbawione uroku: gryzący w oczy spłacheć jałowizny, otoczony krzywym, rdzewiejącym płotem z drutu i spróchniałych desek. W przeciwległym końcu podwórza groziła zawaleniem mała, byle jak sklecona stajnia. Z jej wnętrza dobiegały rozmyte doznania wzrokowe konia; samo zwierzę widać było przez uchylone wrota.
Lecz spojrzenie Jommy'ego pomknęło za podwórko. Jego wzrok zarejestrował po drodze nieprzyjemne szczegóły, to wszystko. Jego umysł, jego wzrok, sięgnęły za ogrodzenie, poza tamtą zrujnowaną stajnię. A dalej rosły drzewa, w niewielkich kępach, i trawa - miła łąka, opadająca łagodnym stokiem ku szerokiej rzece, lśniącej teraz nikle, gdy przestały ją muskać swym ognistym blaskiem promienie słońca.
Lecz nawet łąka (część pola golfowego, co zauważył mimochodem) tylko na moment przykuła jego spojrzenie. Kraina marzeń zaczynała się na drugim brzegu rzeki - istnie bajeczny świat roślinności, ogrodniczy raj. Ponieważ kilka drzew przesłaniało mu widok, ogarniał wzrokiem tylko wąski skrawek owego Edenu, ze skrzącymi się fontannami, kilometrami, całymi kilometrami kwadratowymi kwiatów, tarasów i cudowności. A ów widoczny wąski obszar obejmował białą alejkę.
Alejka! Myśli Jommy'ego poszybowały ku obłokom. Niewysławialne uniesienie zdławiło mu krtań. Widział ją - biegła geometrycznie prostą linią w stronę, w którą patrzył. Biegła w siną dal: lśniąca wstążka, zanikająca w mglistej wielokilometrowej perspektywie. I właśnie tam, na samej granicy zasięgu postrzegania, daleko poza normalnym horyzontem, właśnie tam ujrzał pałac.
Zza linii widnokręgu wystawała tylko część podstawy owej wspaniałej,

niewiarygodnej konstrukcji. Wznosiła się na trzysta metrów, a potem przechodziła w wieżę pnącą się w niebiosa kolejne sto pięćdziesiąt metrów. Zdumiewająca wieża! Sto pięćdziesiąt metrów przypominającego klejnot, pozornie kruchego ażuru skrzyło się wszystkimi barwami tęczy; półprzeźroczysta, lśniąca, fantastyczna budowla, wzniesiona w szlachetnym stylu dawnych czasów; ozdobna, lecz nie w pospolitym sensie tego słowa: już przez sam swój kształt, sam świetnie wystylizowany przepych, sama w sobie stanowiła ozdobę.
Dokonując tego wspaniałego osiągnięcia architektonicznego slani stworzyli arcydzieło - tylko po to, by po katastrofalnej wojnie wpadło w ręce zwycięzców.
Pałac był aż za piękny. Kłuł go w oczy, ranił umysł myślami, które przywołał. Pomyśleć, że przez dziewięć lat mieszkał tak blisko miasta i nigdy przedtem nie widział tego wspaniałego osiągnięcia swej rasy! Teraz gdy miał przed oczyma rzeczywistość, wyjaśnienia matki, dlaczego mu go nie pokazuje, wydały mu się nieporozumieniem. „Zaznasz tylko goryczy, Jommy, gdy uświadomisz sobie, że pałac slanów należy teraz do Kiera Graya i jego upiornej ekipy. A poza tym w tamtym końcu miasta przedsięwzięto przeciw nam szczególne środki ostrożności. Zobaczysz go, gdy nadejdzie pora”.
Ale owa „pora” kazała na siebie czekać zbyt długo. Wrażenie czegoś przegapionego piekło ostro i dotkliwie. Znajomość tego szlachetnego pomnika jego rasy dodawałaby mu odwagi w najgorszych chwilach.
Matka powiedziała kiedyś: - Ludzie nigdy nie odkryją tajemnic tego budynku. Kryje w sobie wiele zagadek, zapomnianych pomieszczeń i przejść, ukrytych cudów, o których nawet slani nie wiedzą już nic oprócz niejasnych ogólników. Kier Gray nie zdaje sobie sprawy, że wszelka broń i urządzenia, których ludzie tak desperacko poszukiwali, są ukryte właśnie w tym budynku.
Szorstki głos zgrzytnął mu w uszach. Z ociąganiem oderwał wzrok od wspaniałego zjawiska za rzeką i uświadomił sobie obecność Babuni. Spostrzegł, że zaprzęgła starą szkapę do wózka na rupiecie.
- Przestań już marzyć! - rzuciła ostro. - I niech ci żadne dziwne pomysły do głowy nie przychodzą. Pałac i tereny pałacowe są nie dla slanów. A teraz właź pod te koce i o niczym nie myśl. Na ulicy jest wścibski policjant i lepiej, żeby się jeszcze o tobie nie dowiedział. Musimy się pośpieszyć.
Oczy Jommy’ego zwróciły się ku pałacowi w ostatnim tęsknym spojrzeniu. A więc ten pałac był nie dla slanów! Poczuł dziwny dreszcz. Pewnego dnia pójdzie poszukać Kiera Graya. A gdy ten dzień nadejdzie… tu myśl się urwała. Trząsł się z wściekłości i z nienawiści do człowieka, który zamordował jego matkę i jego ojca.

Rozklekotany stary wózek był teraz w centrum miasta. Trzeszczał i podskakiwał na wyboistej nawierzchni bocznych uliczek, aż Jommy, na poły leżący, na poły przykucnięty w tylnej części skrzyni ładunkowej, poczuł się, jakby go wytrząsano z ubrania. Dwukrotnie próbował wstać, ale za każdym razem starucha dźgała go laską.
- Masz leżeć! Babunia nie chce, żeby ktoś zobaczył te twoje fajne ciuszki. Siedź cały czas pod tym kocem.
Zeszmacona stara derka cuchnęła Billem, starym koniem. Odór wywoływał u Jommy'ego napady nudności. Nareszcie wózek się zatrzymał.
- Wyłaź! - cisnęła Babunia. - Idź do tego domu towarowego. W twoim palcie wszyłam duże kieszenie. Napełnij je towarem na tyle, żeby się nie odznaczały.
Jommy niepewnie zsunął się na beton. Stał w miejscu, lekko chwiejny, czekając, aż bystry płomień jego niespożytych sił odpędzi tę nienormalną słabość. W końcu odezwał się:
- Wrócę za jakieś pół godziny.
Jej chciwa twarz nachyliła się nad nim; błysnęły czarne oczy.
- Nie daj się złapać i rozumnie wybieraj towar.
- Możesz się nie martwić - odparł z pewnością siebie Jommy. - Zanim coś wezmę, sprawdzę dookoła myślą, czy ktoś nie patrzy. To bardzo proste.
- Dobra! - Na chudej twarzy pojawił się uśmiech. - I nie martw się, jeśli Babuni tu nie będzie, kiedy wrócisz. Babunia skoczy do monopolowego po trochę lekarstwa. Teraz jak ma młodego slana, to stać ją na lekarstwo; bardzo go potrzebuje - ach, jak bardzo! - żeby rozgrzać zimne stare kości. O, tak, Babunia musi zrobić spory zapasik lekarstwa.
Gdy przepychał się przez tłumy wchodzących i wychodzących z wieżowca mieszczącego dom towarowy, raptownie dopadł go napływający z zewnątrz strach, niezwykły, przesadny strach. Otworzył szeroko umysł i przez dłuższą chwilę utrzymywał w tym stanie. Podniecenie, napięcie, przerażenie i niepewność - gęsty, posępny opar strachu spowił go i wkręcił jego umysł w kłębowisko swych fal.
Wzdrygnął się i wycofał.
Mimo to podczas krótkiego zanurzenia wychwycił przyczynę powszechnej paniki. Egzekucje w pałacu! John Petty, szef tajnej policji, przyłapał dziesięciu członków Rady na spiskowaniu ze slanami i zabił ich. Tłum nie mógł w to uwierzyć. Bali się Johna Petty'ego. Nie ufali mu. Bogu dzięki, że Kier Gray, twardy niczym skała, był na miejscu, by ochronić świat przed slanami… i przed złowrogim Johnem Pettym.
We wnętrzu domu towarowego było jeszcze gorzej. Otaczało go więcej

ludzi. Ich myśli łomotały o jego mózg, gdy torował sobie drogę między rzędami błyszczących stoisk, w blasku sufitowego oświetlenia. Wszędzie wokół niego pysznił się cudowny świat wszelakich dóbr w olbrzymich ilościach, a zabieranie tego, co chciał, okazało się łatwiejsze, niż oczekiwał.
Minął koniec długiego, błyszczącego stoiska z biżuterią i poczęstował się wisiorkiem za pięćdziesiąt pięć dolarów. Miał ochotę wejść między półki, ale pochwycił myśl sprzedawczyni. W jej umyśle narastało poirytowanie, omalże wrogość na myśl, że mały chłopczyk mógłby wejść do działu biżuterii. Dzieci nie były mile widziane w tym świecie wspaniałych klejnotów i szlachetnych metali.
Odwrócił się, musnąwszy w przelocie wysokiego, przystojnego mężczyznę, który przemknął obok, nawet na niego nie spojrzawszy. Jommy przeszedł kilka kroków i stanął. Targnął nim szok, jakiego nigdy przedtem nie doznał. Wrażenie było tak ostre, że odczuł to jak nóż wcinający się w mózg. A mimo to nie sprawiło mu ono przykrości. Kiedy odwróciwszy się spoglądał pilnie za oddalającym się mężczyzną, przepełniały go radość, zdumienie i zaskoczenie.
Przystojny, potężnie zbudowany nieznajomy był slanem, dorosłym slanem! Odkrycie było tak ważne, że kiedy dotarło do niego pierwsze zrozumienie prawdy, aż mu się zakręciło w głowie. Ogólny spokój jego stabilnego umysłu slana nie prysnął; chłopiec nie popadł też w emocje, jakie zaobserwował u siebie podczas choroby. Lecz w duchu pałał wielkim, dzikim entuzjazmem, uczuciem nie mającym sobie równych w całym jego dotychczasowym życiu.
Zaczął szybko iść za mężczyzną. Jego myśl wychynęła w przestrzeń, szukając kontaktu z mózgiem tamtego i… odbiła się! Jommy zmarszczył brwi. Nadal widział, że tamten osobnik jest slanem, ale nie mógł dotrzeć pod powierzchnię umysłu nieznajomego. A ta powierzchnia niczym nie zdradzała, że uświadamia sobie istnienie Jommy'ego, nawet najdrobniejszą poszlaką, że tamten jest w ogóle świadom jakichś zewnętrznych myśli.
Kryła się w tym jakaś zagadka. Kilka dni wcześniej nie dało się odczytać pod powierzchnią umysłu Johna Petty'ego. Jednakże nigdy nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Petty jest tylko zwykłą ludzką istotą. Jommy nie mógł pojąć tej różnicy. Poza przypadkami, kiedy jego matka chroniła swe myśli przed wtargnięciem, zawsze był w stanie zwrócić jej uwagę skierowaną do niej wibracją.
Konkluzja wstrząsnęła nim do głębi. Oznaczała, że chodzi tu o slana, który nie umie czytać w myślach, a jednak chroni swój mózg przed odczytaniem. Chroni przed kim? Przed innymi slanami? I cóż to za slan, co nie potrafi czytać myśli? Wyszli teraz na ulicę; tu, w jasnym świetle bijącym z ulicznych latarń łatwo będzie rzucić się biegiem i po kilku chwilach dogonić slana. Któż pośród tych śpieszących się,

samolubnych tłumów zwróciłby uwagę na małego, biegnącego chłopca?
Ale zamiast zmniejszyć odległość dzielącą go od slana, dopuścił, by się powiększyła. Ten slan przedstawiał zagrożenie dla całości rozumowych podstaw jego życia i przetrwania; hipnotyczne wykształcenie, które ojciec zakodował w umyśle Jommy'ego, włączyło się do akcji i zapobiegło pochopnemu działaniu.
Dwie przecznice za domem towarowym slan skręcił w szeroką boczną ulicę; zaintrygowany Jommy podążył za nim w bezpiecznej odległości - zaintrygowany, bo wiedział, że jest to jakby ślepa uliczka, przy której nie ma żadnych budynków mieszkalnych. Minęli jedną, dwie, trzy przecznice. A potem miał już pewność.
Slan zmierzał do Centrum Lotniczego, które ze wszystkimi budynkami, warsztatami i lądowiskami pokrywało w tej części miasta obszar o powierzchni ponad dwóch kilometrów kwadratowych. Ale to przecież było niemożliwe. Ludzie nie mogli się nawet zbliżyć do samolotu bez obowiązkowego zdjęcia nakrycia głowy, by udowodnić, że nie mają czułków slana.
Slan kierował się prosto w stronę dużego, jasnego napisu „Centrum Lotnicze"… i bez chwili wahania zniknął w obrotowych drzwiach pod napisem.
Jommy zatrzymał się przed drzwiami. Centrum Lotnicze, któremu był podporządkowany cały przemysł lotniczy na kuli ziemskiej! Czy to w ogóle możliwe, żeby tu pracowali slani? Żeby w samym centrum świata ludzi, którzy nienawidzili ich z prawie niewyobrażalną zawziętością, slani naprawdę mieli pod kontrolą największy system komunikacyjny świata?
Pchnął drzwi, wszedł do środka i ruszył marmurowym korytarzem, który się przed nim otworzył; po obu jego stronach znajdowały się niezliczone drzwi. Przez chwilę w polu widzenia nikt się nie pojawił, ale trochę myśli wydostawało się na korytarz, coraz bardziej wzbudzając jego zdumienie i zachwyt.
Budynek aż się roił od slanów! Musiało być ich tu mnóstwo, najwyraźniej setki!
Dokładnie na wprost niego otwarły się drzwi i dwaj młodzi mężczyźni bez nakryć głowy wyszli i ruszyli w jego stronę. Rozmawiali po cichu i przez chwilę go nie zauważyli. Miał dość czasu, by pochwycić ich powierzchniowe myśli: spokojną i wspaniałą pewność siebie, żadnych obaw. Dwaj slani w samych początkach dojrzałości… i z gołymi głowami!
Z gołymi głowami! Właśnie to poza wszystkim innym dotarło ostatecznie do Jommy'ego. Z gołymi głowami… i bez czułków!
Przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom. Gorączkowo szukał spojrzeniem złotych pasemek, które powinny tam być. Bezczułkowi

slani! A więc o to chodziło! To tłumaczyło, dlaczego nie potrafili czytać w myślach. Mężczyźni byli już o niespełna trzy metry od niego i zauważyli go równocześnie.
- Chłopcze - odezwał się jeden - musisz wyjść. Tu nie wolno wchodzić dzieciom. Pryskaj stąd zaraz!
Jommy głęboko zaczerpnął powietrza. Łagodność reprymendy przywróciła mu pewność siebie, zwłaszcza teraz, kiedy tajemnica się wyjaśniła. To cudowne, że dzięki prostemu usunięciu zdradzających ich czułków mogli bezpiecznie żyć i pracować w samym centrum wroga!
Zamaszystym, niemal melodramatycznym ruchem sięgnął do czapki i zdjął ją.
- Dajcie spokój - zaczął. - Jestem…
Słowa zamarły mu na ustach. Spoglądał na dwóch mężczyzn oczami rozszerzonymi trwogą. Bo po pierwszej niekontrolowanej chwili zaskoczenia ich mentalne ekrany szczelnie się zatrzasnęły. Na twarzach mieli przyjemne uśmiechy. Jeden z nich powiedział:
- Hmm, co za miła niespodzianka! Drugi powtórzył jak echo:
- Cholernie przyjemna niespodzianka! Witaj, mały!
Ale Jommy nie słuchał. Jego umysł wibrował porażony myślami, które na króciutką chwilkę eksplodowały w mózgach dwóch mężczyzn, gdy ujrzeli złote czułki w jego włosach.
- O Boże - pomyślał jeden. - To gad! Od drugiego dobiegła krańcowo zimna, krańcowo bezlitosna myśl:
- Zabić potwora!

6

Od chwili gdy przechwycił myśli dwóch slanów, Jommy nie miał wątpliwości, co musi zrobić, ale nie wiedział, czy starczy mu na to czasu. Nawet miażdżące zaskoczenie ich morderczą wrogością nie wpłynęło zasadnicza na jego działanie ani na pracę mózgu.
Wiedział, nawet o tym nie myśląc, że ucieczka z powrotem korytarzem, czyli próba przebiegnięcia stu metrów po marmurowych posadzkach byłaby samobójstwem. Jego nogi dziewięciolatka nigdy by nie zdołały dorównać niespożytej wytrzymałości dwóch dobrze zbudowanych slanów. Mógł zrobić tylko jedno i to właśnie zrobił. Z chłopięcą zwinnością skoczył w bok do drzwi, jednych z setek wychodzących na korytarz.
Szczęśliwym trafem były otwarte. Pchnięte w opętańczym pośpiechu otwarły się zaskakująco łatwo, przy czym działanie chłopca było tak starannie odmierzone, że pozwolił sobie uchylić je tylko na tyle, by się prześliznąć. Kątem oka dostrzegł kolejny oświetlony korytarz, opustoszały - i już zatrzaskiwał drzwi, manipulując mocnymi, brązowymi, wrażliwymi palcami przy zamku. Rygiel zaskoczył z

ostrym, głośnym, przeraźliwym szczęknięciem.
Dokładnie w następnej sekundzie rozległ się gwałtowny łomot, gdy dwa dorosłe ciała wpadły na przeszkodę. Ale drzwi nie drgnęły.
Jommy w mig zorientował się w sytuacji. Drzwi były z litego metalu, zbudowane tak, by wytrzymać uderzenia taranów, a mimo to tak cudownie wyważone, że pod naciskiem jego palców wydały się lekkie jak piórko. Na chwilę był bezpieczny.
Po chwilach napięcia teraz jego umysł ochłonął i sięgnął po kontakt z myślami dwóch slanów. W pierwszej chwili wyglądało na to, że ich ekrany są za szczelne, lecz potem sondujący mózg chłopca przechwycił echo tak głębokiego zatroskania i smutku, że odczuł to jak ostrze brzytwy sunące po powierzchni ich myśli.
- Boże wszechmogący! - szepnął jeden z nich. - Włącz tajny alarm, szybko! Jeśli gady odkryją, że kontrolujemy Centrum…
Jommy nie stracił ani sekundy więcej. Przemożna ciekawość podpowiadała mu, by pozostać i ustalić przyczyny szaleńczej nienawiści slanów bezczułkowych do zwyczajnych. Ale pod presją zdrowego rozsądku ciekawość skapitulowała. Wystartował z najwyższą szybkością, wiedząc, co trzeba zrobić.
Rozumiał, że tego labiryntu korytarzy nie można było w żadnym przypadku uznać za bezpieczny. W każdym momencie mogły się otworzyć drzwi, strużka myśli uprzedzić, że zza jakiegoś zakrętu ktoś wychodzi. Nagle podjął decyzję: zwolnił szaleńczy bieg i spróbował kilkoro drzwi. Czwarte ustąpiły pod naciskiem i Jommy z uczuciem triumfu śmignął przez próg. Po przeciwnej stronie pokoju zobaczył wysokie, szerokie okno.
Jednym pchnięciem otworzył je i wygramolił się na szeroki gzyms. Przykucnąwszy, wyjrzał poza jego krawędź. Z innych okien budynku wydobywało się rozproszone światło i w jego blasku dostrzegł coś, co wyglądało na podjazd wciśnięty między stromizny ceglanych murów.
Zawahał się na moment, a potem jak człowiek mucha wlazł na ceglaną ścianę. Wspinaczka szła mu zupełnie łatwo; nadnaturalnie silne palce szybko i pewnie wyszukiwały szczeliny w murze. Im dłużej trwała wspinaczka, tym bardziej zapadająca ciemność utrudniała ruchy, lecz z każdym krokiem w górę odczuwał przypływ pewności siebie. Było tu wiele kilometrów dachu, a jeśli dobrze pamiętał, zabudowania portu lotniczego z każdej strony przylegały do innych budynków. Jaką szansę mieli slani nie umiejący czytać w myślach przeciw slanowi, który mógł uniknąć każdej z ich pułapek?
Trzydziesta i ostatnia kondygnacja. Z westchnieniem ulgi Jommy podniósł się na nogi i ruszył po płaskim dachu. Było już prawie ciemno, ale widział, że dach, na którym stoi, nieomal dotyka sąsiedniego budynku. Najwyżej dwumetrowa przerwa, łatwy skok. Z głośnym „bam!” zegar na pobliskiej wieży zaczął wybijać godzinę: raz,

dwa, pięć, dziesięć! I równo z ostatnim uderzeniem do uszu Jommy'ego dobiegł cichy zgrzyt, a pośrodku okrytego cieniem środka sąsiedniego dachu nagle rozwarła się szeroko czarna dziura. Przestraszony, padł na płask wstrzymując oddech.
A z owej czarnej dziury wyskoczył w rozgwieżdżone niebo niewyraźny, cygarowaty kształt. Poruszał się szybciej, coraz szybciej, a potem, na samej granicy zasięgu widzenia, z tylnej części cygara trysnęło maleńkie, oślepiające światło. Migotało tam przez chwilę, a potem znikło jak zdmuchnięta gwiazdka.
Jommy leżał zupełnie bez ruchu i wytężywszy wzrok śledził drogę dziwnego pojazdu. Statek kosmiczny. Wielkie nieba, statek kosmiczny! Czyżby owi bezczułkowi slani zrealizowali odwieczne marzenie - czyżby dokonywali lotów na inne planety? Jeśli tak, to jak im się udało zachować to w tajemnicy przed ludźmi? I co wobec tego robili zwyczajni slani?
Ponownie dobiegł go odgłos zgrzytnięcia. Podkradł się do krawędzi dachu i spojrzał na drugą stronę. Zdołał tylko dostrzec niewyraźnie ziejącą czerń, która straciła na intensywności, gdy dwie wielkie metalowe płyty zsunęły się i otwór w dachu zniknął.
Jommy czekał jeszcze przez chwilę, a potem napiął mięśnie i ruszył do biegu. Miał teraz w myśli tylko jeden cel: wrócić najszybciej jak się da do Babuni, i to jak najbardziej okrężną drogą. Trasa powrotu musi biec zaułkami i bocznymi uliczkami. Bo ta łatwość ucieczki od slano w nagle wydała mu się podejrzana. Chyba że nie odważyli się uruchomić całego systemu zabezpieczeń z obawy, że zdradzą swój sekret przed ludźmi.
Niezależnie od powodów było aż nadto oczywiste, że wciąż rozpaczliwie potrzebował bezpieczeństwa, jakie dawała mu mała szopa Babuni. Nie miał zamiaru zabierać się za tak skomplikowany i groźny problem, jakim się stał trójkąt slani- ludzie- slani bezczułkowi. Nie teraz - dopiero gdy dorośnie i będzie w stanie dorównać błyskotliwym mózgom prowadzącym ową nieustającą bitwę na śmierć i życie.
Tak, z powrotem do Babuni i po drodze do sklepu, żeby skombinować dla starej jędzy coś na zgodę, skoro teraz wiedział już na pewno, że się spóźni. No i trzeba się pośpieszyć. O jedenastej zamkną sklep.
W domu towarowym Jommy nie zbliżał się do stoiska z biżuterią, bo dziewczyna, która nie lubiła małych chłopców, nadal była w pracy. Mieli tu i inne bogato zastawione stoiska i Jommy szybko zebrał śmietankę drobniejszych towarów. Tym niemniej zapisał sobie w pamięci, że gdyby miał przyjść jeszcze kiedyś do tego sklepu, musi pojawić się tu przed piątą, czyli przed przyjściem popołudniowej zmiany. Inaczej ta dziewczyna znów będzie zawadzała.
Obładowany skradzionymi towarami ruszył wreszcie ostrożnie w

stronę najbliższego wyjścia. Stanął, kiedy obok przechodził pogrążony w myślach mężczyzna, brzuchaty osobnik w średnim wieku. Mężczyzna ten był głównym księgowym domu towarowego i myślał o czterystu tysiącach dolarów, które pozostaną na noc w kasie. W głowie miał także kombinację zamka sejfu.
Jommy pośpieszył ku wyjściu, zdegustowany własną krótkowzrocznością. Jaka to głupota kraść towary, które trzeba potem sprzedawać, ryzykując dwukrotnie i o wiele bardziej, w porównaniu z prostą operacją zabrania z tych pieniędzy, ile by tylko zechciał.
Babunia stała nadal tam, gdzie ją zostawił, ale w jej umyśle panował taki zamęt, że zanim zrozumiał, o co jej chodzi, musiał zaczekać, aż sama przemówi.
- Szybko - rzuciła szorstko. - Właź pod koce. Przed chwilą był tu policjant i kazał Babuni zmyć się stąd.
Musieli ujechać co najmniej dwa kilometry, zanim zatrzymała wózek i zdarła koc z Jommy’ego.
- Gdzieś ty łaził, łobuzie niewdzięczny? - warknęła.
Jommy nie marnował słów. Za bardzo nią gardził, żeby mówić do niej więcej, niż to było konieczne. Zadrżał widząc łapczywość, z jaką rzuciła się na skarb, który zwalił jej na podołek. Pośpiesznie szacowała każdy przedmiot, po czym pakowała wszystko starannie na dobudowane do wózka drugie dno.
- Najmarniej dwieście dolców dla Babuni! - stwierdziła radośnie. - Stary Fin da Babuni najmarniej tyle. Ach, jaka Babunia była cwana, łapiąc młodego slana! Zarobi dla niej nie dziesięć, a dwadzieścia tysięcy rocznie! I pomyśleć, że dawali tylko dziesięć tysięcy nagrody. Milion powinni dawać, milion!
- Potrafię zarobić nawet więcej - zaoferował Jommy. Ów moment wydawał się równie dobry, jak każdy inny, żeby powiedzieć jej o sejfie sklepowym i że nie potrzeba już podwędzać drobiazgów ze sklepów.
- W sejfie jest około czterech tysięcy - zakończył. - Mogę to zabrać dziś w nocy. Wespnę się po tylnej ścianie budynku, gdzie jest ciemno, do jednego z okien, wytnę dziurę w szybie… Masz gdzieś przyrząd do cięcia szkła?
- Babunia ci go skombinuje! - zionęła starucha ekstatycznie. Kiwała się radośnie w przód i w tył. - O tak, Babunia się cieszy. Ale teraz Babunia kapuje, czemu ludzie strzelają do slanów. One są za bardzo niebezpieczne. Pewno, że tak: mogłyby ukraść cały świat. Nawet próbowały, wiesz, na samym początku…
- Ja… ja nie… nie wiem o tym za wiele - powiedział powoli Jommy. Strasznie by chciał, żeby Babunia wszystko o tym wiedziała, ale stwierdził, że wiedziała bardzo mało. Jej pamięć zawierała jedynie najogólniejsze informacje o owym tajemniczym okresie, kiedy slani podjęli próbę - o to przynajmniej oskarżali ich ludzie - podboju świata.

Wiedziała nie więcej niż on sam, nie więcej od całej tej nieświadomej masy ludzkiej.
Jaka była prawda? Czy w ogóle doszło kiedyś do wojny pomiędzy ludźmi a slanami? Czy też była to tylko taka sama propaganda jak te koszmarne historie o tym, co slani robią dzieciom? Jommy spostrzegł, że myśli Babuni przeskoczyły z powrotem do pieniędzy w sklepie.
- Tylko cztery tysiące dolarów! - cisnęła ze złością. - Patrzcie no, przecież muszą zarabiać codziennie setki tysięcy, miliony.
- Nie trzymają wszystkiego w sklepie - skłamał Jommy i ku jego uldze starucha kupiła to wyjaśnienie.
Myślał o tym kłamstwie, kiedy wózek klekocąc toczył się dalej. Przede wszystkim skłamał prawie automatycznie. Teraz zrozumiał, że działał w samoobronie. Gdyby za bardzo wzbogacił staruchę, szybko zaczęłaby myśleć o zdradzeniu go.
Możliwość spędzenia najbliższych sześciu lat w bezpiecznej szopie Babuni była absolutną koniecznością. Stąd też rodziło się pytanie: jaka minimalna ilość pieniędzy ją usatysfakcjonuje? Musi gdzieś znaleźć środek pomiędzy jej nienasyconą chciwością a swoją koniecznością.
Już samo myślenie o tym uświadomiło mu ogrom niebezpieczeństwa. W tej kobiecie tkwił niesamowity egoizm z przydatkiem tchórzostwa, które mogło się przerodzić w paniczne przerażenie, i zniszczyć go, nim zdoła prawidłowo rozpoznać zagrożenie.
Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości: spośród znanych imponderabiliów wiszących cieniem nad sześcioma cennymi latami dzielącymi go od przejęcia potężnej wiedzy ojca, najniebezpieczniejszy i najbardziej niepewny czynnik stanowiła ta wychudzona łajdaczka.

7

Zdobycie pieniędzy całkiem zdemoralizowało Babunię. Znikała każdorazowo na wiele dni; z późniejszych niezbornych rozmów zdołał wywnioskować, że nareszcie uczęszczała do ośrodków rozrywki, gdzie zawsze pragnęła chadzać. Gdy siedziała w domu, butelka była jej niemal nieodłącznym towarzyszem. Ponieważ musiał ją mieć na oku, przyrządzał dla niej posiłki i przez to utrzymywał przy życiu pomimo jej ekscesów. Sporadyczne złodziejskie eskapady stanowiły konieczność, kiedy kończyły się jej pieniądze, ale poza tym skutecznie schodził jej z drogi.
Mając bardzo wiele wolnego czasu spożytkowywał go na zdobywanie wykształcenia, co wcale nie przychodziło tak łatwo. Okolica była skrajnie biedna, a większość mieszkańców stanowili prostacy, nawet analfabeci, lecz znalazła się też garstka ludzi o bystrych umysłach. Zadając im pytania i wypytując o nich innych ludzi, Jommy odkrywał, kim są, co robią i ile wiedzą. Dla wszystkich uchodził za wnuczka

Babuni. Od kiedy zostało to przyjęte za fakt, zniknęło wiele trudności. Oczywiście zdarzali się i ludzie wystrzegający się krewniaka handlarki starzyzną, uważający, że nie można mu ufać. Pośród tych, co odczuli kąśliwość ostrego języka Babuni, było kilku osobników wręcz wrogich, ale ich reakcje ograniczały się do ignorowania go. Pozostali mieli zbyt mało czasu, żeby zawracać sobie głowę nim czy Babunią.

U niektórych agresywnie, acz jak najmniej się narzucając, wzbudził zainteresowanie swoją osobą. Młody student politechniki nazywał go „cholernym natrętem", ale nauczył go mechaniki. W jego umyśle Jommy wyczytał, że student odczuwa to jako porządkowanie własnych myśli i zrozumienia swojej dziedziny, oraz że czasami czuje się dumny z tego, iż zna mechanikę tak doskonale, że potrafi wyłożyć jej zasady dziesięcioletniemu chłopcu.

Nigdy się nie domyślił, jak dalece dojrzałość owego chłopca wyprzedzała normę dla jego wieku.

Kobieta, która przed ślubem dużo podróżowała, a teraz popadła w ubóstwo, mieszkała o pół kwartału dalej przy tej samej ulicy i częstowała go ciasteczkami - po jednym za każdym razem - opowiadając mu chętnie o świecie i ludziach poznanych osobiście.

Przyjmowanie słodkich łapówek stanowiło konieczność, ponieważ gdyby odmówił zjadania ciasteczek, niewłaściwie by to zrozumiano. Ale żaden narrator ciekawych historyjek nie miał okazji przemawiać do pary uważniej nasłuchujących uszu niż pani Hardy. Szczupła na twarzy, zgorzkniała kobieta, której mąż przegrał cały jej majątek, podróżowała ongiś po Europie i Azji, a jej bystre oczy zarejestrowały olbrzymią ilość szczegółów. Dysponowała też ogólniejszą już wiedzą o przeszłości owych kontynentów.

W jakimś okresie - tak słyszała - Chiny były bardzo przeludnione. Mówiono, że wiele krwawych wojen dawno temu zdziesiątkowało populację gęściej zamieszkanych obszarów. Tych wojen najprawdopodobniej nie zapoczątkowały slany. Dopiero na przestrzeni ostatnich stu lat zainteresowały się dziećmi Chińczyków i innych wschodnich narodów, zwracając przeciw sobie ludy dotychczas tolerujące ich istnienie.

W wersji przedstawionej przez panią Hardy wyglądało to na kolejną bezsensowną akcję slanów. Jommy słuchał i rejestrował informacje; przekonany, że rzeczywistość musiała odbiegać od podanej mu wersji, zastanawiał się, jak wyglądała prawda, i postanowił, że kiedyś zdemaskuje te wszystkie potworne kłamstwa.

Student politechniki, pani Hardy, handlarz zieleniny, który kiedyś był pilotem rakietowym, człowiek naprawiający radia i telewizory, oraz Staruszek Darrett - oto ludzie, którzy nie zdając sobie z tego sprawy kształcili go przez pierwsze dwa lata spędzone z Babunią. Z owej grupy najcenniejszym odkryciem Jommy'ego był Darrett. Rosły, krępy,

samotny, cyniczny mężczyzna po siedemdziesiątce niegdyś nauczał historii - lecz historia stanowiła zaledwie jedną z wielu dziedzin, z których miał niemal nieograniczone zasoby informacji.
Oczywiście prędzej czy później starzec musiał poruszyć temat wojny ze slanami. Było to tak oczywiste, że Jommy pozwolił, by kilka pierwszych przypadkowych wzmianek o nich przeszło bez echa, zupełnie jakby się nimi nie interesował. Ale wkrótce, pewnego zimowego popołudnia temat powrócił, tak jak Jommy tego oczekiwał. I tym razem podjął temat:
- Ciągle pan mówi o wojnach. To chyba nie mogły być prawdziwe wojny; przecież tamte istoty są wyjęte spod prawa. Z wyjętymi spod prawa nie prowadzi się wojen, ich się po prostu likwiduje.
Darrett znieruchomiał.
- Wyjęci spod prawa… - powiedział powoli. - Młody człowieku, to były piękne dni. Powiem ci, że sto tysięcy slanów praktycznie przejęło świat. Cudownie to zaplanowano, wykonano z niezwykłą zuchwałością. Musisz sobie uświadomić, że ludzie jako masa zawsze realizują cele innych - nie swoje własne. Tkwią w pułapkach, z których nie mogą się wydostać. Należą do grup, są członkami organizacji, są lojalni wobec idei, osobników, rejonów geograficznych. Jeśli ktoś potrafi przejąć kontrolę nad instytucjami, które ludzie popierają - to jest właśnie sposób, żeby nad nimi zapanować.
- I slany to zrobiły? - Jommy zadał to pytanie z taką siłą, że aż się przeraził; takie zdradzanie swych uczuć to już lekka przesada. Dorzucił więc pośpiesznie opanowanym głosem:
- To brzmi jak powieść. To tylko propaganda, żebyśmy się bali - jak to już często mówiłeś o innych sprawach.
- Propaganda! - wybuchnął Darrett. A potem zamilkł. Jego duże, wyraziste, czarne oczy na poły skryły się za długimi ciemnymi rzęsami. W końcu powiedział wolno:
- Chcę, Jommy, żebyś dobrze sobie uzmysłowił to, co teraz powiem. Na świecie panował chaos i dezorientacja. Wszędzie ludzkie dzieci stawały się obiektem intensywnych działań slanów na rzecz zwiększania ich liczby. Cywilizacja zaczęła się walić. Pojawiało się coraz więcej obłąkanych. Samobójstwa, morderstwa, przestępczość - krzywa chaosu osiągnęła niespotykany poziom. I oto pewnego ranka ludzkość przebudziła się i odkryła, że dosłownie w ciągu nocy wróg przejął kontrolę nad światem i nikt nawet dobrze nie wiedział, jak do tego doszło. Działając od wewnątrz slany zdołały przejąć niezliczone kluczowe organizacje. Kiedy zrozumiesz sztywność struktur instytucjonalnych naszego społeczeństwa, uświadomisz sobie, jak bezradni byli początkowo ludzie. Osobiście sądzę, że slanom udałoby się także utrzymanie władzy, gdyby nie pewien szczegół…
Jommy czekał w milczeniu. Miał niemiłe przeczucie, co za chwilę

usłyszy. Staruszek Darrett podjął:
- Bezlitośnie kontynuowali próby przerabiania ludzkich dzieci na slany. Z perspektywy czasu wydaje się to trochę głupie.
Darrett i inni to był dopiero początek. Chodził po ulicach za wykształconymi ludźmi, podkradając wiedzę prosto z ich mózgów. Leżał w ukryciu na terenie uniwersytetu, telepatycznie śledząc wykłady. Książek miał całe mnóstwo, ale same książki nie wystarczały. Potrzebował ich interpretacji, tłumaczenia. Miał książki matematyczne, fizyczne, chemiczne, astronomiczne - z wszystkich nauk ścisłych. Jego żądza nie znała granic.
Przez sześć lat pomiędzy dziewiątymi a piętnastymi urodzinami zgromadził początki tego, co jego matka określiła jako podstawy wiedzy dorosłego slana.
Podczas tych lat obserwował ostrożnie i z odległości bezczułkowych slanów. Wieczorami, o dziesiątej, ich statki pędziły w niebo; linię obsługiwano z dokładnością co do sekundy. Każdej nocy o drugiej trzydzieści inny potwór o kształcie rekina opadał z przestrzeni kosmicznej, cichy i ciemny, i niczym duch lądował na dachu tego samego budynku.
Tylko dwukrotnie w ciągu tych lat zawieszono ruch, za każdym razem na miesiąc i za każdym razem wtedy, gdy Mars podążający po swej ekscentrycznej orbicie znajdował się po przeciwnej stronie Słońca.
Od Centrum Lotniczego trzymał się z daleka, ponieważ jego respekt wobec potęgi bezczułkowych slanów narastał nieomal z dnia na dzień. I Jommy nabierał coraz większej pewności, że tylko przypadek ocalił go tamtego dnia, kiedy ujawnił się dwóm dorosłym osobnikom. Przypadek i zaskoczenie.
O głównych tajemnicach slanów nie dowiedział się niczego. Dla zabicia czasu pogrążał się w orgiach aktywności fizycznej. Przede wszystkim musiał mieć tajną drogę ucieczki, tak na wszelki wypadek - ukrytą zarówno przed Babunią, jak i przed resztą świata; poza tym w tej szopie w jej obecnym stanie nie dało się znośnie żyć. Przekopanie setek metrów tunelu wymagało miesięcy; miesiące zajęło także przebudowanie wnętrza ich domostwa: pokrycie ścian boazerią, tynkowanie i malowanie sufitów, ułożenie plastykowych podłóg. Nocami przez zagracone podwórko Babunia chyłkiem zwoziła meble do domu, od zewnątrz po staremu obskurnego i nie odmalowanego. Ale samo to zajęło ponad rok, a to przez Babunię i jej butelkę.
Jego piętnaste urodziny…. O drugiej po południu odłożył książkę, którą czytał, zdjął kapcie i włożył buty. Nadeszła godzina rozstrzygającej akcji. Dzisiaj musi iść do katakumb i wziąć w posiadanie tajemnice swego ojca. Ponieważ nie znał sekretnych podziemnych tuneli slanów, musiał zaryzykować wejście przez główną bramę.

Możliwym niebezpieczeństwom poświęcił niewiele ponad chwilę uwagi. To był ten dzień - dawno temu zostało to zakodowane w jego mózgu, zaprogramowane hipnotycznie przez ojca. Tym niemniej wydało mu się istotne, by tak wyśliznąć się z domu, żeby starucha tego nie słyszała.
Na chwilę wszedł w kontakt z jej mózgiem i bez cienia odrazy zbadał strumień jej myśli. Była zupełnie rozbudzona i przewracała się w łóżku z boku na bok. A przez jej mózg przetaczało się gwałtownie i bez żenady kłębowisko zadziwiająco niegodziwych myśli.
Jommy nagle zmarszczył brwi. W istnym piekle wspomnień staruchy (bo kiedy była pijana, żyła niemal wyłącznie swą zdumiewającą przeszłością) pojawiła się bystra, chytra myśl: „Muszę się pozbyć tego slana… Niebezpieczny dla Babuni, teraz kiedy Babunia ma już forsę. Nie można dopuścić, żeby coś podejrzewał… nie mogę więc myśleć, że…”.
Jommy Cross uśmiechnął się okrutnie. Już nie po raz pierwszy wyczytał w jej mózgu myśl o zdradzie. Szybko i zdecydowanie dokończył wiązać sznurowadło, wstał i wszedł do jej izby.
Babunia leżała: tłumok rozwalony w pościeli poplamionej na brązowo trunkami. Głęboko zapadnięte czarne oczy wyzierały bezmyślnie z pomarszczonego pergaminu twarzy. Patrząc na nią Jommy poczuł dreszcz współczucia. Choć dawna Babunia była okropna i złośliwa, to wolał ją taką jak wtedy od tej starej, wycieńczonej pijaczki, leżącej tu niczym jakaś średniowieczna wiedźma, jakimś cudem złożona w błękitno-srebrnym łożu z przyszłości.
Po wyrazie oczu można by sądzić, iż widzi go po raz pierwszy. Z jej ust popłynął strumień złowieszczych przekleństw, a potem zapytała:
- Czego tu szukasz? Babunia chce być sama.
Całe współczucie z niego wyciekło. Spojrzał na nią chłodno.
- Chciałem ci tylko przekazać drobne ostrzeżenie. Wkrótce się stąd wynoszę, więc nie będziesz już musiała tracić czasu na obmyślanie sposobu zdradzenia mnie. A na to nie ma bezpiecznego sposobu. Ta twoja bezcenna stara skóra nie byłaby warta pięciu centów, gdyby mnie złapali.
Czarne oczy łypnęły ku niemu chytrze.
- Myślisz, żeś cwany, hę? - wymamrotała. Te słowa, zdawało się, zapoczątkowały nowy ciąg myśli, którego nie zdołał prześledzić mentalnie. - Cwany… - powtórzyła, i ciągnęła z uniesieniem:
- Babunia w życiu nic bardziej cwanego nie zrobiła, jak złapanie młodego slana. Ale teraz jest niebezpieczny… Musi się go pozbyć…
- Ty stara idiotko - powiedział Jommy Cross beznamiętnie. - Pamiętaj, że osoba, która daje schronienie slanowi, automatycznie podlega karze śmierci. Dobrze oliwiłaś tę swoją kostropatą szyję, więc chyba nie będzie skrzypieć, kiedy cię powieszą, ale na pewno nieźle się

nawierzgasz swymi kościstymi giczołami.
Wypowiedziawszy brutalne słowa odwrócił się gwałtownie i wyszedł z izby, z domu. W autobusie pomyślał: „Trzeba na nią uważać i wynieść się od niej jak najszybciej. Nikt, kto umie rozważać prawdopodobieństwa, nie mógłby jej zaufać w żadnej ważnej sprawie”.
Nawet w centrum ulice były opustoszałe. Jommy Cross wysiadł z autobusu, świadom ciszy, podczas gdy zwykle panował tu harmider. Miasto było za spokojne: zauważył całkowity brak życia i ruchu. Stał niezdecydowanie na krawężniku, wyzbywszy się wszelkich myśli o Babuni. Otworzył szeroko umysł. Początkowo nie docierało nic oprócz smużki od na poły pustego umysłu kierowcy autobusu, który oddalał się ulicą jako jedyny na niej pojazd. Oślepiająco jasne słońce paliło chodnik. Kilka osób przemknęło pośpiesznie obok; ich umysły zawierały tylko ślepe przerażenie, tak ciągłe i niezmienne, że nie mógł poza nie przeniknąć.
Zapadała coraz głębsza cisza. Do myśli Jommy’ego wkradł się niepokój. Przebadał okoliczne budynki, ale nie dobiegała z nich zwykła umysłowa wrzawa, w ogóle nic. Z bocznej ulicy buchnął nagle ryk silnika. O dwa kwartały dalej pojawił się ciągnik holujący potężną armatę, złowieszczo wycelowaną w niebo. Ciągnik z łoskotem wyjechał na środek ulicy, został odczepiony od działa i rycząc zniknął tam, skąd wyjechał, w bocznej ulicy. Wokół armaty zaroili się ludzie, przygotowując ją do walki, po czym stanęli obok, spoglądając w niebo, czekając w napięciu.
Jommy Cross pragnął podejść bliżej, by odczytać ich myśli, ale się nie odważył. Wrażenie, że jest w widocznym i niebezpiecznym miejscu, przerodziło się w nim w nieznośne przeświadczenie. W każdej chwili mógł podjechać wojskowy lub policyjny pojazd, a jego pasażerowie mogli zapytać, co on robi na ulicy. Mogli go aresztować albo kazać mu zdjąć czapkę i wtedy ukazałaby się czupryna oraz złote pasemka jego czułków.
Zdecydowanie działo się tu coś ważnego i najlepszym miejscem były teraz dla niego katakumby, gdzie, choć narażony na niebezpieczeństwa innego rodzaju, nie będzie na widoku. Pośpiesznie ruszył ku wejściu do lochów, które stanowiło jego cel cały czas od momentu wyjścia z domu. Kiedy skręcał w boczną ulicę, ożył wiszący na rogu megafon. Męski głos ryknął ochryple:
- Ostatnie ostrzeżenie! Nikt nie może pozostać na ulicy! Wszyscy mają się ukryć! Tajemniczy statek powietrzny slanów zbliża się do miasta z ogromną prędkością. Przypuszczalnie zmierza w stronę pałacu. Wprowadzono zagłuszanie na wszystkich częstotliwościach fal radiowych, aby zapobiec nadawaniu kłamliwych audycji slanów. Zejść z ulic! Statek jest już nad miastem!

Jommy stanął jak wryty. Po niebie przemknął srebrzysty rozbłysk, a potem długie, uskrzydlone wrzeciono ze lśniącego metalu śmignęło mu prosto nad głową. Usłyszał staccato armaty ustawionej na ulicy i echo innych wystrzałów, a potem statek był już maleńkim, błyszczącym punkcikiem, zmierzającym ku pałacowi.
Co dziwne, oczy bolały go teraz od słonecznego blasku. Poczuł, że ogarnia go zdumienie. Statek ze skrzydłami! Przez wiele nocy podczas minionych sześciu lat obserwował statki kosmiczne wzbijające się z budynku Centrum Lotniczego opanowanego przez bez-czułkowych slanów. Bezskrzydłe statki o napędzie rakietowym - i jeszcze coś: coś, co czyniło wielkie metalowe maszyny lżejszymi od powietrza. Wydawało się, że rakiet używano tylko do napędu. Ta nieważkość, ta metoda, jaką wyrzucano je w górę jakby za pomocą siły odśrodkowej, musi być antygrawitacją! A teraz ten statek miał skrzydła, z czego wynika cała reszta: silniki odrzutowe, ścisłe ograniczenie zastosowania do atmosfery ziemskiej, prostota konstrukcji. Jeśli to miał być szczyt możliwości zwyczajnych slanów, to…
Odwrócił się, głęboko rozczarowany, i zszedł po długich schodach wiodących do łaźni publicznej. Miejsce okazało się równie puste i ciche, jak ulice tam w górze. Dla kogoś, kto jak on wielokrotnie przechodził przez zamknięte drzwi, otworzenie zamka w kracie stanowiącej wrota katakumb było banalnie proste.
Zapuszczając wzrok przez kratę czuł napięcie umysłu. Na pierwszym planie niewyraźnie majaczyła betonowa posadzka, a dalej zagęszczona ciemność oznaczająca następne schody. Mięśnie jego krtani napięły się, oddech stał się głęboki i wolny. Całym smukłym ciałem poddał się nieco do przodu, niczym biegacz przygotowujący się do sprintu. Pchnął wrota, wpadł do środka i zbiegł z maksymalną prędkością po długich, ciemnych, wilgotnych schodach.
Gdzieś przed nim zaczął monotonnie terkotać dzwonek włączony przez fotokomórki, których zaporę - zainstalowane przed wieloma laty zabezpieczenie przed slanami i innymi intruzami - Jommy przeciął wchodząc przez wrota.
Dzwonek był już teraz blisko, a z ziejącego przed Jommym korytarza nadal nie wybiegały żadne myśli. Najwyraźniej nikt z ludzi pracujących tu bądź pilnujących katakumb nie znajdował się dostatecznie blisko, żeby usłyszeć alarm. Zobaczył wysoko na ścianie dzwonek, lśniący, warczący hałaśliwie kawałek metalu. Wspięcie się na gładką jak szkło ścianę było niemożliwe, a dzwonek wisiał prawie cztery metry nad podłogą. Jazgotał i jazgotał, lecz nadal nie pojawiała się wrzawa zbliżających się myśli czy choćby najsłabsza ich smużka.
„Co wcale nie znaczy, że nie nadchodzą”, pomyślał w napięciu Jommy. „Te kamienne ściany muszą silnie rozpraszać fale mentalne”.
Wziął rozbieg w stronę ściany i wybił się z desperacką siłą, w górę, w

górę, ku dzwonkowi. Wyciągnął rękę, a palce skrobnęły marmurową ścianę o całe trzydzieści centymetrów za nisko. Opadł na podłogę, wiedząc, że nie da rady. Gdy minął zakręt korytarza, dzwonek nadal dzwonił. Słyszał, jak terkot cichnie i cichnie, zanikając za nim w oddali. Ale nawet gdy nie słyszał już dźwięku, dzwonek nadal rozbrzmiewał w jego mózgu, uparcie ostrzegając przed niebezpieczeństwem.

Co dziwniejsze, wrażenie ostrzegawczego brzęczyka w mózgu przybierało na sile, aż nagle zaczęło się mu wydawać, że dzwonek rzeczywiście znowu dzwoni, stłumiony przez znaczną odległość. Wrażenie narastało, aż zdał sobie sprawę, że to drugi dzwonek, równie hałaśliwy, jak poprzedni. A to oznaczało (poczuł strach), iż musi istnieć długi ciąg takich dzwonków nadających ostrzegawcze sygnały, a gdzieś tam w rozległej sieci korytarzy muszą być uszy, które je słyszą, i ludzie, nieruchomiejący i spoglądający na siebie zwężonymi oczyma.

Jommy Cross gnał dalej. Nie znał trasy w sposób świadomy. Wiedział tylko, że ojciec wprowadził jej obraz pod hipnozą do jego mózgu i że musi tylko podążać za podszeptem podświadomości. To przyszło nagle - ostre polecenie mentalne: „W prawo!”.

Wybrał węższe z dwóch rozgałęzień i dotarł wreszcie do skrytki. Była bardzo prosta - sprytnie obluzowany blok w marmurowej ścianie, który pod działaniem jego siły wysunął się odsłaniając ciemny otwór. Sięgnął ręką: szukające po omacku palce dotknęły metalowej kasetki. Wyciągnął ją. Teraz już cały dygotał; palce mu drżały. Przez chwilę stał zupełnie bez ruchu, starając się opanować, usiłując wyobrazić sobie ojca pochylonego tu, nad tym blokiem marmuru, ukrywającego swe tajemnice dla syna, by ten je odnalazł, gdyby coś poszło źle z jego własnymi planami.

Jommy pomyślał, że jest to być może kosmiczny moment w historii slanów, owa chwila, kiedy dzieło umierającego ojca przechodzi na piętnastoletniego chłopaka, który czekał tyle tysięcy minut, godzin i dni na nadejście tej sekundy.

Nostalgia pierzchła gwałtownie, kiedy powiew zewnętrznej myśli szepnął w jego świadomości:

- Szlag by trafił ten dzwonek! - myślał ktoś. - Pewno jakiś przechodzień zbiegł na dół, uciekając przed spodziewanymi bombami, kiedy nadleciał statek slanów.

- Może, ale nie licz na to. Wiesz, jacy są drobiazgowi z tymi katakumbami. Ten, kto włączył te dzwonki, jest nadal w środku. Lepiej przełączmy alarm na komendę policji.

Nadbiegła trzecia wibracja.- Może facet się zgubił. - Niech się sam tłumaczy - powiedział pierwszy mężczyzna. - Chodźmy z bronią w pogotowiu w stronę pierwszego dzwonka. Nigdy nie wiadomo, co to

może być. Jak takie czasy nastały, że slany latają po niebie, to nigdy nie wiadomo, czy któreś z nich i tu nie przyłażą.
Jommy obejrzał metalową kasetkę, szukając gorączkowo ukrytego zamka. Hipnotycznie utrwalony rozkaz polecał mu wyjąć zawartość i włożyć pustą kasetkę do skrytki w ścianie. Wobec istnienia tego rozkazu, myśl, by złapać kasetkę i uciekać, nawet nie zaświtała mu w głowie.
Wyglądało na to, że kasetka nie ma kłódki ani zamka. Ale przecież musi być coś, co przytrzymuje wieko… Szybciej, szybciej! Za kilka minut nadchodzący mężczyźni przejdą dokładnie przez to miejsce, gdzie teraz stoi.
Mrok długich betonowych i marmurowych korytarzy, wilgotna woń, świadomość, że nad głową biegną grube sploty przewodów elektrycznych zasilających milionami woltów leżące powyżej miasto, cały świat katakumb dookoła i nawet wspomnienia z jego własnej przeszłości - takie to myśli mknęły przez głowę Jommy'ego, gdy spoglądał na metalową kasetkę. Śmignęła też myśl o pijanej Babuni i tajemnicy slanów, a wszystko to przenikały coraz bliższe odgłosy męskich kroków. Słyszał je już wyraźnie; trzy pary nóg ciężko stąpających w jego stronę.
Włożywszy w to całą siłę napiętych mięśni Jommy szarpnął pokrywkę kasetki. Niemal stracił równowagę, gdy niczym nie trzymane wieko odskoczyło z łatwością.
Wlepił oczy w gruby, metalowy pręt leżący na pliku papierów. Nie zaskoczyło go to, że on tam jest. Przeciwnie, doznał jakby lekkiej ulgi, znalazłszy w nienaruszonej postaci coś, o czym wiedział, że tam jest. Oczywiście dalszy ciąg ojcowskiej hipnozy.
Metalowy pręt był pękatym przedmiotem o średnicy około pięciu centymetrów w połowie długości, zwężającym się ku końcom. Jeden koniec miał żłobiony, niewątpliwie po to, by stworzyć dobry uchwyt dla dłoni. U nasady zgrubienia znajdował się mały guziczek, wygodny do naciśnięcia kciukiem. Cały przyrząd jarzył się delikatnie własnym światłem. Owo jarzenie i rozproszone światło z korytarza dawały jasność akurat wystarczającą do odczytania słów na kartce papieru pod spodem:
To jest broń. Użyj jej tylkow przypadku absolutnej konieczności.
Odkrycie na chwilę tak pochłonęło Jommy'ego, że nie zauważył, iż mężczyźni są już przy nim. Błysnęła latarka.
- Co za… - ryknął jeden z nich. - Łapy do góry, ty gnoju!
Było to pierwsze poważne osobiste zagrożenie od sześciu długich lat i miało posmak ułudy. Naszła go niespieszna myśl, że ludzie nie mają zbyt dobrego refleksu. A potem sięgał już po broń w stojącej przed nim kasetce. Bez specjalnego pośpiechu nacisnął guzik.
Jeśli któryś z mężczyzn nawet wystrzelił, to huk przepadł w ryku

białego płomienia, który z niewyobrażalną gwałtownością buchnął z wylotu miotacza. Przed chwilą byli żywymi, masywnie zbudowanymi, zagrażającymi mu osobnikami - a już w następnym momencie zniknęli, zdmuchnięci owym tchnieniem jadowitego płomienia.
Jommy spojrzał na swą dłoń. Drżała. Zbierało mu się na wymioty z powodu sposobu, w jaki zmiótł trzy życia z tego świata. Zamazany obraz z wolna odzyskiwał ostrość, w miarę jak jego oczy dochodziły do siebie po piekielnym oślepieniu.
Gdy sięgnął wzrokiem dalej, ujrzał, że korytarz jest zupełnie pusty. Ani kość, ani kawałek ciała czy odzieży nie pozostał, by świadczyć, że kiedyś były w pobliżu żywe istoty. Na kawałku posadzki powstała wklęsłość, którą wyżłobił palący żar. Nikt by nawet nie zauważył niewielkiego płytkiego dołka.
Siłą woli powstrzymał drżenie palców; nudności z wolna ustępowały. Złe samopoczucie nie miało sensu. Zabijanie to nieprzyjemne zajęcie, ale tamci mężczyźni zadaliby mu śmierć bez skrupułów, tak jak ludzie zadali ją jego matce, ojcu i niezliczonym innym slanom, którzy zginęli marnie z powodu kłamstw przekazywanych sobie przez ludzi i akceptowanych bez najmniejszego oporu. A niech ich wszystkich szlag trafi!
Przez chwilę miotały nim gwałtowne emocje. Pomyślał: „Czy możliwe, że wszyscy slani gorzknieją z wiekiem i przestają odczuwać skrupuły przed zabijaniem ludzi, tak jak ludzie nie mają skrupułów przed mordowaniem slanów?” Jego spojrzenie padło na kartkę, na której ojciec napisał:
…broń. Użyj jej tylkow przypadku absolutnej konieczności. Zalał go przypływ wspomnień o tysiącach innych przypadków, kiedy rodzice przejawiali szlachetną cechę wyrozumiałości. Nadal pamiętał noc, kiedy ojciec powiedział:
- Zapamiętaj sobie: niezależnie od tego, jak silni będą slani, przeszkodą utrudniającą przejęcie władzy nad światem pozostanie problem, co zrobić z ludźmi. Dopóki nie zostanie on rozwiązany sprawiedliwie i z uwzględnieniem czynników psychologicznych, użycie siły byłoby okropną zbrodnią.
Jommy poczuł się lepiej. Oto miał dowód. Ojciec nie nosił przy sobie innego egzemplarza tej broni, która mogłaby ocalić go w starciu z nieprzyjaciółmi. Wybrał śmierć po to, by jej nie zadawać.
Jommy Cross zmarszczył brwi. Szlachetność to bardzo piękna postawa i możliwe, że przeżył zbyt wiele lat wśród ludzi, by stać się normalnym slanem, ale nie mógł się pozbyć przeświadczenia, że walka jest lepsza od umierania.
Myśl urwała się; w jej miejsce pojawił się niepokój. Nie miał czasu do stracenia. Musiał stąd zniknąć i to szybko. Wepchnął broń do kieszeni kurtki, błyskawicznym ruchem wyjął papiery z kasetki i poutykał je po

kieszeniach. Wrzuciwszy pustą teraz i bezużyteczną kasetkę do dziury, wsunął kamień na miejsce. Pomknął korytarzem, drogą, którą przyszedł, na górę po schodach… i ujrzawszy łaźnię stanął jak wryty. Parę minut temu była pusta i cicha. Teraz roiło się tu od ludzi. Czekał, spokojny, lecz niezdecydowany, w nadziei, że tłum zrzednie.
Ale oni wchodzili i wychodzili, i tłum się nie zmniejszał, podobnie jak nie przycichał rejwach głosów i myśli. Podniecenie, przerażenie, zatroskanie: oto był ludek o umysłach zgłuszonych świadomością, że dokonują się wielkie rzeczy. A echo owej świadomości wsączało się przez kraty bram do miejsca, gdzie w półmroku czekał Jommy. Gdzieś w oddali nadal dzwonił dzwonek; jego nieubłagane ostrzegawcze brrrr ostatecznie podyktowało mu kroki, jakie powinien przedsięwziąć.
Ściskając jedną dłonią broń w kieszeni Jommy postąpił ostrożnie do przodu i pchnięciem otworzył wrota. Zamknął je delikatnie za sobą, oczekując w napięciu jakichkolwiek oznak niebezpieczeństwa.
Lecz gęsty tłum ludzi nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, kiedy się między nimi przepychał i wychodził na ulicę. Tu aż roiło się od ludzi. Tłumy toczyły się na chodnikach i przejściach; rozlegały się policyjne gwizdki, ryczały megafony, ale nic nie było w stanie powstrzymać opanowanej anarchią gawiedzi. Ruch kołowy został całkowicie sparaliżowany. Spoceni kierowcy klnąc wysiadali z pojazdów stojących na środku jezdni i dołączali do zgromadzonych przed ulicznymi radioodbiornikami, z których płynęły słowa w tempie ognia karabinów maszynowych:
- Niczego nie wiadomo na pewno. Nikt nie wie dokładnie, czy statek slanów wylądował na pałacu, czy też przekazał wiadomość, a potem zniknął. Nikt nie widział, jak ląduje; nikt nie widział, jak znika. Możliwe, że został zestrzelony. Jest także możliwe, że w tym momencie slany prowadzą w pałacu rozmowy z Kierem Grayem. Pogłoski na ten temat rozpowszechniły się pomimo dyplomatycznego oświadczenia złożonego przed kilkoma minutami przez samego Kiera Graya. Dla tych, którzy go nie słyszeli, powtórzę je teraz. Panie i panowie, oświadczenie Kiera Graya brzmiało następująco:
„Nie ma powodów do obaw ani zdenerwowania. Bezprecedensowe pojawienie się statku slanów nie wpłynęło w najmniejszym nawet stopniu na wzajemne pozycje ludzi i slanów. Całkowicie panujemy nad sytuacją. Nie mogą zrobić niczego, poza tym, co robiły, a i to w ściśle ograniczonym zakresie. Slany ustępują nam liczebnie, zapewne w proporcji jeden do wielu milionów; w tych okolicznościach nigdy nie odważą się wystąpić przeciw nam z jawną, zorganizowaną kampanią. Zachowajcie zatem spokój ducha…”.
Było to, panie i panowie, oświadczenie wygłoszone przez Kiera Graya po dzisiejszym doniosłym wydarzeniu. Od momentu złożenia oświadczenia Rada obraduje w permanencji. Powtarzam, nie ma

żadnych innych pewnych informacji. Nie wiadomo, czy statek slanów wylądował. Nikt w mieście nie widział jego odlotu. Nikt poza władzami nie wie dokładnie, co się stało; przed chwilą słyszeli państwo jedyne oświadczenie na ten temat, złożone osobiście przez Kiera Graya. Czy statek slanów został zestrzelony, czy też…

Potok słów płynął bez końca. Raz po raz powtarzano oświadczenie Kiera Graya, przytaczając towarzyszące mu pogłoski. Jommy zaczął to odczuwać jako jednostajne brzęczenie gdzieś pod czaszką, z tyłu głowy; monotonię dźwięków, bezsensowny ryk z kolejnych głośników. Pozostał jednak na miejscu, czekając na jakieś dodatkowe informacje, rozogniony palącą od piętnastu długich lat potrzebą dowiedzenia się czegoś o innych slanach.

Sporo czasu minęło, zanim wygasł płomień jego podniecenia. Nie powiedziano nic nowego, więc w końcu wsiadł do autobusu i ruszył do domu. Po gorącym wiosennym dniu zapadał zmrok. Zegar na wieży pokazywał siedemnaście minut po siódmej.

Do małego zagraconego podwórka zbliżał się ze zwykłą ostrożnością. Sięgnął myślą do wnętrza wyglądającej z pozoru na ruinę chatki i dotknął umysłu Babuni. Westchnął. Wciąż pijana! Jak u licha ta zrujnowana karykatura ciała to wytrzymywała? Takie dawki trunków powinny już dawno odwodnić jej organizm. Otworzył pchnięciem drzwi, wszedł, zamknął je za sobą… i stanął jak wryty.

Pozostając nadal w luźnym kontakcie mentalnym z mózgiem Babuni odbierał myśl. Starucha usłyszała otwarcie i zamknięcie drzwi, i hałas na chwilę pobudził jej świadomość.

„Nie może się dowiedzieć, że dzwoniłam na policję… Nie myśleć o tym… nie mogę mieć u siebie slana… niebezpiecznie mieć slana… policja zablokuje ulice…”

8

Kathleen Layton zacisnęła pięści w małe, twarde, brązowe gałki. Dreszcz obrzydzenia przebiegł jej smukłe młode ciało, gdy rozpoznała myśli dobiegające ku niej z jednego z korytarzy. Siedemnastoletni David Dinsmore szukał jej, idąc w stronę marmurowej balustrady, gdzie stała patrząc na miasto spowite łagodną mgiełką dusznego, upalnego wiosennego popołudnia.

Mgiełka poruszała się, tworząc ciągle zmienne, płynne wzory. Uformowała się w baranki, na poły kryjące budynki, potem rozciągnęła w obłok, który uwięził w swej kruchej strukturze leciutką domieszkę błękitu nieba.

Co dziwne, choć oczy aż ją bolały od patrzenia, wcale jej to nie sprawiało przykrości. Płynący ku niej ze wszystkich pootwieranych drzwi chłód pałacu odpychał słoneczny żar. Blask jednak pozostawał.

Smużka myśli Davy’ego Dinsmore’a zbliżyła się, przybrała na sile. Miał

zamiar - zobaczyła to w jego myślach - po raz kolejny podjąć próbę namówienia jej, żeby została jego dziewczyną. Wzdrygnąwszy się w końcu odepchnęła jego myśli i czekała, aż młodzik się pojawi. Grzeczność wobec niego była błędem, nawet uwzględniając to, że przez pierwsze kilka lat po dziesiątych urodzinach zaoszczędziła sobie wielu kłopotów, mając jego wsparcie przeciwko innym nastolatkom. Teraz jednak wolała już jego wrogość od takich miłosnych zamiarów, jakie przenikały jego mózg.
- Och… - odezwał się David Dinsmore stanąwszy w drzwiach. - No to cię znalazłem.
Spojrzała na niego, nie odwzajemniając uśmiechu.
David Dinsmore w wieku lat siedemnastu był chudym wyrostkiem, z twarzy podobnym do swojej matki - kobiety o przydługiej szczęce i szyderczym grymasie na stałe przylepionym do gęby, nawet kiedy się uśmiechała.
Podszedł do niej z agresywnością odzwierciedlającą ambiwalentne uczucia, jakie wobec niej żywił: z jednej strony żądza fizycznego podboju, z drugiej szczera ochota, by w jakiś sposób zadać jej ból.
- Owszem - odparła oschle Kathleen. - Jestem tu. Liczyłam na to, że dla odmiany dasz mi trochę spokoju.
Wiedziała, że typowe dla zalotów Davy'ego grubiaństwo czyniło go odpornym na takie uwagi. Z tak bliska myśli buchające z jego mózgu wnikały wyraźnie do jej psychiki, informując ją, iż „ta panienka znowu się zgrywa na skromnisię. Ale ja ją jeszcze zmiękczę”.
Jego chłodna pewność siebie wynikała z konkretnych doświadczeń; ujrzawszy ich naturę poczuła, że krew odpływa jej z mózgu. Przymknęła nieco receptory wibracji psychicznych, by odsunąć od siebie szczegóły błogich wspomnień wypływające z zakamarków pamięci chłopaka.
- Nie chcę, żebyś więcej za mną łaził - zaczęła z lodowatym wyrachowaniem. - Twoje myśli są jak ściek. Żałuję, że się w ogóle do ciebie odezwałam, kiedy dawno temu przyszedłeś się do mnie zalecać. Powinnam być mądrzejsza i mam nadzieję, iż sobie zdajesz sprawę, że ci to mówię wprost, bo inaczej byś mi nie uwierzył. A mówię serio - każde słowo. Zwłaszcza o tym ścieku. A teraz idź sobie.
Twarz Davy'ego pobladła, ale wyzierała z niej wściekłość, a spoza niej złość o takim natężeniu, iż przebiła się do wnętrza umysłu Kathleen osłoniętego dotąd ekranem mentalnym. Natychmiast zamknęła mózg jeszcze szczelniej, odcinając potok obelg tryskających z myśli chłopaka. Nagle pojęła, iż owej kreatury nic nie ruszy, chyba że zdoła go dogłębnie upokorzyć.
- Spadaj stąd, żałosny mięczaku! - cisnęła.
- Już lecę… - zaczął… i rzucił się na nią.
Zaskoczenie, że ośmielił się stanąć do walki przeciw jej przeważającej

sile, unieruchomiło ją na sekundę. Potem, zacisnąwszy wargi, chwyciła go, z łatwością unikając walących jak cepy ramion, i podniosła z podłogi. Natychmiast zrozumiała, że właśnie na to liczył, ale już było za późno. Brutalnie złapał ją za głowę i zagarnąwszy ręką włosy ścisnął je w garści, a z nimi wszystkie cieniutkie niczym jedwab czułki leżące wśród włosów w złotych połyskliwych splotach.
- W porządku! - zapiał radośnie. - Teraz cię mam! Tylko mnie nie puszczaj! Wiem, co byś chciała zrobić: postawić mnie, złapać za nadgarstki i ściskać, aż cię puszczę. Jak mnie opuścisz chociaż o centymetr, to tak szarpnę te twoje bezcenne czułki, że ci je powyrywam. Wiem, że możesz mnie tak trzymać bez wysiłku - no to trzymaj!
Przerażenie sparaliżowało Kathleen. „Bezcenne czułki”, powiedział. Tak cenne, że po raz pierwszy w życiu musiała zdławić krzyk. Tak cenne, że w jakiś bezmyślny sposób nie przewidziała, iż ktoś mógłby ośmielić się ich dotknąć. Przerażenie graniczące z omdleniem ogarnęło ją niczym noc podczas dzikiej, okropnej burzy.
- Czego chcesz? - wyrwało się jej przez zaciśnięte gardło.
- To inna rozmowa - powiedział Davy Dinsmore. Ale Kathleen nie musiała słuchać jego słów. Wystarczyły myśli, napływające teraz do jej mózgu.
- No, dobrze - powiedziała cicho. - Zgadzam się.
- Tylko żebyś na pewno opuszczała mnie powoli - powiedział chłopak. - A kiedy moje usta dotkną twoich, pamiętaj, że pocałunek ma trwać co najmniej minutę. Już ja cię oduczę traktować mnie jak śmieć.
Wargi Davy’ego kołysały się nad jej ustami na tle zamazanego tła wykrzywionej szyderczo twarzy i chciwych oczu, kiedy nagle za jej plecami warknął ostry, rozkazujący głos:
- Co to ma znaczyć?!
- Eeee… - zająknął się Davy Dinsmore. Poczuła, że jego palce puszczają jej włosy i czułki, a potem z westchnieniem ulgi rzuciła go na podłogę. Zatoczył się, złapał równowagę i wyjąkał:
- Ja… ja… ja pana bardzo przepraszam, panie Lorry… Ja…
- Zjeżdżaj stąd, łobuzie! - cisnęła Kathleen.
- Słyszałeś: wynoś się! - powiedział oschle Jem Lorry.
Kathleen patrzyła, jak Davy odchodzi; nogi mu się plątały, a mózg wysyłał myśli świadczące o autentycznym przerażeniu nietaktem popełnionym wobec jednego z wielkich ludzi w rządzie. Ale gdy zniknął, nie zwróciła twarzy ku nowo przybyłemu. Instynktownie zdając sobie sprawę z napięcia mięśni, stała tak, odwróciwszy twarz i wzrok od tego człowieka, najpotężniejszego członka Rady w gabinecie Kiera Graya.
- No i co tu się działo? - dobiegł do niej z tyłu głos mężczyzny, nawet całkiem przyjemny. - Najwyraźniej był to szczęśliwy traf, że właśnie

nadszedłem.
- Ach, sama nie wiem - odparła chłodno Kathleen. Opanował ją nastrój całkowitej szczerości. - Pańskie zaloty są dla mnie równie odpychające.
- Hmmm! - zbliżył się do niej z boku i kiedy oparł się o balustradę, kątem oka uchwyciła mocny zarys jego szczęki.
- Naprawdę nie ma żadnej różnicy - powiedziała z naciskiem. - Obaj chcecie ode mnie tego samego. ‘ Przez chwilę stał w milczeniu, lecz jego myśli miały tę samą cechę, co myśli Kiera Graya - były nieuchwytne. Lata praktyki dały mu mistrzostwo w wymykaniu się jej szczególnej umiejętności czytania w myślach. Kiedy w końcu przemówił, głos mu się zmienił; brzmiała w nim twarda nuta.
- Bez wątpienia twój pogląd na te sprawy będzie inny, kiedy zostaniesz moją kochanką.
- Nigdy do tego nie dojdzie! - cisnęła Kathleen. - Nie lubię ludzi. Pana też nie lubię.
- Twoje obiekcje są bez znaczenia - powiedział chłodno młody mężczyzna. - Jedyny problem stanowi to, jak mogę cię posiąść nie narażając się na oskarżenie, że zawarłem tajne porozumienie ze slanami. Dopóki nie wymyślę, jak to rozwiązać, możesz sobie robić, co chcesz.
Jego pewność siebie przeniknęła Kathleen dreszczem.
- Myli się pan całkowicie - powiedziała stanowczo. - Istnieje prosty powód, dla którego pańskie zamiary nieuchronnie spełzną na niczym. Moim obrońcą jest Kier Gray. Nawet pan nie odważy się wystąpić przeciw niemu.
Jem Lorry zastanowił się przez chwilę. W końcu przemówił: - Twoim obrońcą, owszem, jest. Rzecz w tym, że dla niego nie istnieje moralność, gdy chodzi o kobiecą cnotę. Nie sądzę, by miał coś przeciwko temu, abyś została moją kochanką, ale może nalegać, żebym znalazł dobre uzasadnienie propagandowe. W ciągu ostatnich paru lat stał się zdecydowanym przeciwnikiem slanów. Dawniej myślałem, że jest za slanami, ale teraz pilnuje się nieomal fanatycznie, by nie mieć z nimi nic wspólnego. On i John Petty zbliżyli się ostatnio w tej sprawie bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Paradne, nieprawdaż?
Na chwilę zadumał się nad swymi słowami, po czym dodał: - Ale nic się nie bój, już ja znajdę sposób. Chcę… Ryk z głośnika radiowego przerwał jego wywód.
- Alarm powszechny! Kilka minut temu zauważono niezidentyfikowany samolot, który przeleciał nad Górami Skalistymi i skierował się na wschód. Wysłane maszyny pościgowe natychmiast zostały w tyle i wygląda na to, że niezidentyfikowany statek powietrzny bierze kurs prosto na Centropolis. Ludności nakazuje się

bezzwłocznie udać do domów, ponieważ statek, uważany obecnie za obiekt wysłany przez slanów, według aktualnych danych będzie tu za godzinę. Opróżnienie ulic jest niezbędne dla celów wojskowych. Udajcie się do domów!
Spiker wyłączył się, a Jem Lorry zwrócił się do Kathleen z uśmiechem na przystojnej twarzy:
- Niech to nie wzbudza w tobie żadnych nadziei na wybawienie. Jeden statek powietrzny nie może być wyposażony w broń o większym znaczeniu, jeśli nie ma wsparcia licznych zakładów przemysłowych. Dla przykładu, starożytnej bomby atomowej nie można wyprodukować w jaskini, a poza tym, mówiąc szczerze, slany nie użyły jej w wojnie z ludźmi. Slany spowodowały tragedie tego stulecia, a także wcześniejsze, ale nie w ten sposób.
Milczał przez chwilę, potem podjął: - Wszystkim się wydawało, że tamte pierwsze bomby stanowiły rozwiązanie tajemnicy energii atomowej… - Tu przerwał; po chwili dodał:
- Wygląda mi na to, że ten lot przedsięwzięto, aby napędzić stracha prostaczkom, jako przygotowanie do podjęcia jawnych negocjacji.
Godzinę później Kathleen stała obok Jema Lorry’ego, a srebrzysty statek nurkował w stronę pałacu. Przybliżył się, mknąc z ogromną prędkością. Jej umysł pośpieszył ku niemu, usiłując nawiązać kontakt ze slanami, którzy musieli być na pokładzie.
Statek śmignął niżej, bliżej, lecz nadał nie nadchodziła mentalna odpowiedź od załogi. Nagle odłączyła się od niego metalowa kapsuła. Trafiła w odległą o pół kilometra alejkę ogrodową i leżała, połyskując jak klejnot w popołudniowym słońcu.
Spojrzała w górę; statek zniknął. Nie, nie zniknął: o, tam! Przez chwilę widziała srebrzysty odblask na znacznej wysokości, niemal prosto nad pałacem. Na moment zamigotał jak gwiazdka - i zniknął. Przestała wytężać intensywnie wzrok; jej myśli powróciły z nieba. Uświadomiła sobie ponownie obecność Lorry’ego. Ten triumfował:
- Cokolwiek by to jeszcze oznaczało, to jest to, na co czekałem: sposobność do przedstawienia argumentacji, która umożliwi mi zabranie cię do mojego apartamentu już dzisiejszej nocy. Mam wrażenie, że wkrótce odbędzie się posiedzenie Rady.
Kathleen głębiej zaczerpnęła powietrza. Dokładnie rozumiała, jak mógłby tego dokonać, przeto nadszedł czas, by skierować do walki wszystkie środki, jakimi dysponowała. Z odrzuconą do tyłu głową i oczyma ciskającymi skry przemówiła wyniośle:
- Złożę wniosek o uczestniczenie w posiedzeniu Rady na podstawie tego, iż nawiązałam kontakt mentalny z dowódcą slanów na pokładzie statku. - I spokojnie zakończyła kłamstwo: - Jestem w stanie wyjaśnić pewne zagadnienia zawarte w posłaniu, które zostanie znalezione w kapsule.

Myślała z desperacką szybkością. Jakoś zdoła odczytać w ich umysłach treść posłania i z tego będzie mogła skonstruować w miarę logiczną opowieść o tym, co rzekomo powiedział jej dowódca slanów. Gdyby ci slanożercy przyłapali ją na kłamstwie, z ich strony mogą nastąpić jakieś groźne reakcje. Ale przecież musiała spowodować, że Rada nie wyda jej w ręce Jema Lorry'ego.
Kiedy weszła do sali posiedzeń Rady, odczuła przedsmak klęski. Obecnych było tylko siedmiu członków Rady, w tym Kier Gray. Popatrzyła na nich po kolei, odczytując, ile się tylko dało, z ich umysłów, i uznała, że nie ma dla niej ratunku.
Czterej młodsi mężczyźni byli osobistymi przyjaciółmi Jema Lorry'ego. Szósty, John Petty, cisnął w jej stronę jedno lodowato nienawistne spojrzenie, a potem odwrócił się obojętnie.
W końcu jej wzrok spoczął na twarzy Kiera Graya. Przebiegł ją trochę niemiły dreszcz zaskoczenia, gdy ujrzała, że na nią patrzy, uniósłszy nieco brwi, z leciutkim uśmieszkiem na ustach. Pochwycił jej spojrzenie i przerwał ciszę:
- A więc nawiązałaś mentalną łączność z dowódcą slanów, czy tak? - Zaśmiał się oschle. - Na razie to pominiemy.
Z jego głosu i zachowania wyzierało tyle niedowierzania, tyle wrogości w samym nastawieniu, że poczuła ulgę, gdy zimne spojrzenie dyktatora strzeliło w inną stronę. Mówił dalej, zwracając się do obecnych:
- Tak się nieszczęśliwie złożyło, że pięciu członków Rady znajduje się w odległych zakątkach świata. Osobiście nie pochwalam tak znacznego oddalania się od centrali; podróże należy pozostawić podwładnym. Niemniej jednak nie możemy sobie pozwolić na odkładanie na później debaty w tak ważnej sprawie. Jeśli nas siedmiu zgodzi się co do jej rozwiązania, nie będziemy potrzebować ich pomocy. Jeżeli utkniemy w martwym punkcie, czeka nas bardzo wiele rozmów radiotelefonicznych.
Przedstawię teraz treść posłania znalezionego w metalowej kapsule zrzuconej przez statek slanów. Twierdzą oni, że istnieje organizacja slanów licząca milion członków rozrzuconych po całym świecie…
- Coś mi się widzi - przerwał uszczypliwie Jem Lorry - że szef tajnej policji opuścił się w swojej robocie, pomimo obnoszenia się z nienawiścią do slanów.
Petty wyprostował się i cisnął mu zimne spojrzenie.
- Może chcesz się ze mną na rok zamienić pracą - rzucił ostro. - Zobaczymy, co ci się uda zrobić. Nie mam nic przeciwko zamianie na ciepłą posadkę sekretarza stanu.
Ciszę po ostrych słowach Petty'ego przeciął głos Kiera Graya: - Dajcie mi dokończyć. Dalej piszą, że istnieje nie tylko ten zorganizowany milion, ale także olbrzymia liczba niezrzeszonych męskich i żeńskich

slanów, szacowana na ponad dziesięć milionów. Co ty na to, Petty?
- Niewątpliwie jest trochę niezorganizowanych slanów - przyznał ostrożnie szef tajnej policji. - Na całym świecie łapiemy miesięcznie około stu, które najwyraźniej nigdy nie należały do żadnej organizacji. Na znacznych obszarach bardziej zacofanych regionów Ziemi nie udaje się wyrobić wśród ludności antypatii do slanów; mówiąc szczerze, są oni akceptowani jako istoty ludzkie. Nie ma wątpliwości, że w niektórych z owych odległych regionów istnieją duże kolonie slanów, szczególnie w Azji, Afryce, Ameryce Południowej i w Australii. Kolonie takie rzeczywiście znaleziono już wiele lat temu, ale zakładamy, że pewna ich liczba nadal istnieje i że z biegiem lat w znacznym stopniu udoskonaliły metody samoobrony. Jednakże skłonny jestem uznać jakąkolwiek działalność prowadzoną z owych dalekich ośrodków za mało istotną. Nauka i cywilizacja są rozbudowanymi organizmami, opartymi na rozległych podstawach w postaci osiągnięć umysłowych i materialnych setek milionów osobników. Tamte slany w chwili, gdy wycofały się do odległych rejonów Ziemi, same skazały się na porażkę, ponieważ są odcięte od książek i od kontaktów z cywilizowanymi umysłami, które stanowią jedyną możliwą odskocznię do dalszego rozwoju. Zagrożenia nie należy i nigdy nie należało się spodziewać ze strony tamtych odległych slanów, a od tych mieszkających w dużych miastach, gdzie mają możliwość kontaktu z najwybitniejszymi ludzkimi umysłami, a także - pomimo środków zapobiegawczych - pewien dostęp do książek. Oczywiście ten statek powietrzny, który dzisiaj widzieliśmy, został zbudowany przez slany podejmujące ryzyko zamieszkiwania w cywilizowanych ośrodkach. Kier Gray skinął głową.
- Twoje domysły są zapewne w większości trafne. Ale wracając do listu, w dalszej części mówi on, iż te parę milionów slanów z chęcią położyłoby kres napięciom, jakie istniały pomiędzy nimi a ludźmi. Odcinają się od roszczeń do panowania nad światem, charakterystycznych dla pierwszych slanów, wyjaśniając, iż owe pretensje wynikały z błędnego pojęcia wyższości, zarzuconego na podstawie późniejszych doświadczeń, które przekonały je, że nie są lepsze, a po prostu inne. Oskarżają także Samuela Lanna, człowieka, uczonego biologa, twórcę slanów, od nazwiska którego wzięły swą nazwę - S. Lann, czyli slan - o to, że wpoił swym tworom przeświadczenie, iż muszą władać światem. Twierdzą, że to owo przeświadczenie, a nie jakaś wrodzona żądza dominacji, było źródłem katastrofalnych ambicji pierwszych slanów.
Rozwijając ten wątek, dochodzą do stwierdzenia, że wczesne wynalazki slanów stanowiły jedynie nieznaczne udoskonalenia już istniejących pomysłów. Nie było, jak twierdzą, żadnych autentycznie twórczych dokonań slanów w dziedzinie nauk fizycznych.

Oświadczają także, że ich filozofowie doszli do wniosku, iż umysł naukowy nie jest, ściśle rzecz biorąc, cechą slanów, przez co różnią się w tym względzie od współczesnych ludzi tak samo, jak starożytni Grecy i Rzymianie; jak wiadomo bowiem, ci ostatni niczego nie wnieśli w rozwój nauki...
Jego słowa biegły dalej, ale przez chwilę Kathleen słuchała tylko połową umysłu. Czyżby to mogło być prawdą? Brak naukowego umysłu u slanów? Niemożliwe. Nauka stanowi przecież gromadzenie faktów i wyciąganie wniosków z owych faktów. A któż potrafi lepiej odnaleźć boski ład w powikłanej rzeczywistości niż w pełni dojrzały, dorosły slan o potężnym mózgu? Spostrzegła, że Kier Gray podnosi z biurka arkusz szarego papieru, i ponownie skoncentrowała uwagę na jego słowach.
- Odczytam wam ostatnią stronę - powiedział beznamiętnie. - „Nie sposób przecenić znaczenia powyższej konkluzji. Oznacza ona, iż slani nigdy nie mogą poważnie zagrozić militarnej potędze ludzi. Jakiekolwiek usprawnienia, których możemy dokonać w istniejących urządzeniach i broni nie wpłyną w decydujący sposób na wynik wojny, gdyby kiedykolwiek doszło ponownie do takiej katastrofy. Naszym zdaniem nie ma nic bardziej bezcelowego niż obecny impas, który nie załatwiając niczego prowadzi tylko do utrzymywania świata w stanie destabilizacji i stopniowo wywołuje spustoszenie gospodarcze, czego dolegliwości ludzie odczuwają w coraz większym stopniu.
„Proponujemy honorowy pokój, a podstawą przyszłych negocjacji może być tylko stwierdzenie, że odtąd slani muszą mieć prawo do życia, wolności i dążenia do szczęścia".
Kier Gray odłożył papier na biurko, przeciągnął chłodnym spojrzeniem po twarzach zebranych i powiedział szorstkim, stanowczym głosem:
- Jestem całkowicie przeciwny jakimkolwiek kompromisom. Kiedyś sądziłem, że coś da się w ten sposób osiągnąć, ale to już minęło. Każdego slana stamtąd - tu znaczącym gestem odwzorował półkulę - należy zlikwidować.
Sala, o przytłumionym oświetleniu i krytych boazerią ścianach, w odczuciu Kathleen jakoś pociemniała, jakby na wszystko w polu widzenia padł cień. W absolutnej ciszy nawet wibracje myśli dobiegających od mężczyzn jawiły się w jej mózgu jako cichy szmer, niczym poszum fal na odległym, dzikim brzegu. Od sensu tamtych myśli oddzielał ją bezmiar szoku - szoku wywołanego spostrzeżeniem zmiany, jaka dokonała się w Kierze Grayu.
Lecz czy to była zmiana? Czyż nie istniała możliwość, że ów człowiek jest w głębi duszy równie bezwzględny, jak John Petty? Zostawił ją przy życiu tylko, jak powiedział, do celów badawczych. No i oczywiście zaistniała sytuacja, kiedy był przeświadczony - słusznie czy

niesłusznie - że jego polityczna przyszłość zależy od jej dalszego istnienia. Ale nic poza tym. Żadnego współczucia czy litości, żadnego zainteresowania bezradną młodą istotą dla niej samej. Nic poza krańcowo materialistycznym poglądem na życie. Oto był władca ludzi, którego podziwiała, niemalże uwielbiała, przez całe lata. Oto był jej obrońca!
Z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że slani kłamali. Ale cóż innego mogli zrobić, mając do czynienia z ludźmi znającymi tylko nienawiść i kłamstwa? W końcu oferowali pokój, nie wojnę, a ten oto człowiek odrzucał bez chwili namysłu ofertę, której przyjęcie zakończyłoby ponad czterystuletni okres zbrodniczych prześladowań jej rasy.
Drgnąwszy, uświadomiła sobie, że spoczywa na niej spojrzenie Kiera Graya. Gdy się odezwał, jego usta wykrzywiał grymas szyderczej uciechy:
- A teraz chcielibyśmy usłyszeć tak zwane posłanie, przekazane ci za pomocą… hm… mentalnego kontaktu z dowódcą slanów.
Kathleen posłała mu rozpaczliwe spojrzenie. Nie wierzył ani jednemu słowu z jej oświadczenia; w obliczu jego zjadliwego sceptycyzmu doskonale zdawała sobie sprawę, że bezlitośnie logicznemu mózgowi owego człowieka może podsunąć tylko bardzo starannie obmyślaną wersję wydarzeń. Potrzebowała czasu.
- Ja… - zaczęła. - To było tak…
Nagle uświadomiła sobie, że Jem Lorry stoi. Zmarszczył brwi.
- Kier - odezwał się Lorry - zastosowałeś dość sprytną taktykę, zgłaszając kategoryczny sprzeciw w sprawie tak ważnej jak ta, nie dając Radzie szansy na omówienie tematu. W związku z twoim posunięciem nie pozostaje mi nic innego, jak tylko stwierdzić - oczywiście z pewnymi zastrzeżeniami - że jestem za przyjęciem oferty slanów. Moje główne zastrzeżenie brzmi tak: slany muszą się zgodzić na asymilację przez ludzi. Aby to osiągnąć, slany nie mogą zawierać między sobą małżeństw; małżeństwa będzie im wolno zawierać wyłącznie z ludźmi.
Kier Gray przypatrzył mu się spokojnie.
- Jakie masz podstawy, by sądzić, że związek slana z człowiekiem zaowocuje potomstwem?
- To mam właśnie zamiar sprawdzić - odparł Jem Lorry głosem tak obojętnym, że tylko Kathleen wychwyciła w nim napięcie. Pochyliła się do przodu, wstrzymując oddech.
- Postanowiłem, że tu obecną Kathleen uczynię swoją kochanką i zobaczymy, co z tego wyniknie. Mam nadzieję, że nikt nie ma nic przeciwko.
Młodsi mężczyźni wzruszyli ramionami; Kathleen nie musiała czytać w ich myślach, by wiedzieć, że nie mają najmniejszej nawet obiekcji.

Zauważyła, że Petty w ogóle nie zwracał uwagi na rozmowę, a Kier Gray wyglądał na zatopionego w myślach, jak gdyby także nic nie słyszał.
Z zapartym tchem otworzyła usta, by przemówić. I zamknęła je.
Nagle zaświtała jej w głowie myśl. Przypuśćmy, że mieszane małżeństwa są jedynym rozwiązaniem problemu slanów. Przypuśćmy, że Rada zaakceptuje propozycję Jema Lorry'ego. Nawet wiedząc, że zrodziła się wyłącznie z namiętności do niej, czy ona może sobie pozwolić na obronę siebie samej przed nim, gdyby istniała choć najmniejsza szansa, że tamci inni slani przystaną na ów plan i w ten sposób zakończy się kilkusetletni okres cierpień i morderstw?
Zapadła w fotelu, mgliście uświadamiając sobie ironiczny posmak własnej sytuacji. Przybyła na posiedzenie Rady walczyć w swej obronie, a teraz nie odważyła się wy dukać ani słowa. Kier Gray znowu mówił:
- W rozwiązaniu zaproponowanym przez Jema nie ma nic nowego. Już Samuel Lann był ciekaw możliwych wyników takiego związku i nakłonił jedną ze swych wnuczek, by poślubiła człowieka. Ze związku tego nie urodziło się ani jedno dziecko.
- Sam się muszę o tym przekonać! - krzyknął zapalczywie Jem Lorry. - Sprawa jest zbyt ważna, żeby opierać się na doświadczeniach jednego związku.
- Było ich więcej niż jeden - powiedział spokojnie Kier Gray. Któryś z mężczyzn wtrącił się niecierpliwie:
- Ważne jest to, że asymilacja daje możliwość rozwiązania problemu, a co do tego, że ostatecznie zwycięży rasa ludzka, i tak nie ma wątpliwości. Jest nas trzy i pół miliarda na ich, powiedzmy, pięć milionów, co stanowi zapewne dokładniejszy szacunek niż tamten. A jeśli z takich związków nie może być dzieci, osiągniemy nasz cel w ciągu dwóch wieków przez to, że - zakładając ich przeciętną długość życia na sto pięćdziesiąt lat - nie pozostaną przy życiu żadne slany.
To, że Jem Lorry osiągnął swój cel, spadło na Kathleen jak szok. W niewyraźnej, powierzchniowej warstwie jego umysłu wyczytała, że nie ma zamiaru powracać do sprawy. Wieczorem pośle po nią żołnierzy; nikt potem nie powie, że na posiedzeniu Rady ktoś zgłosił jakiś sprzeciw. Ich milczenie równało się przyzwoleniu.
Przez kilka minut docierał do niej tylko mętlik głosów i wir jeszcze bardziej skłębionych myśli. W końcu jakieś zdanie przyciągnęło jej uwagę. Z wysiłkiem skoncentrowała się z powrotem na zebranych. Zdanie „można je w ten sposób zlikwidować" uświadomiło jej ze wstrząsem, jak daleko przez te kilka minut odeszli od pierwotnego planu.
- Uporządkujmy sytuację - powiedział energicznie Kier Gray. - Wygląda na to, że przedstawienie koncepcji wykorzystania jakiegoś

pozornego porozumienia ze slanami do ich wyniszczenia poruszyło wrażliwą strunę, która najwyraźniej usunęła ponownie z naszych umysłów wszelkie myśli o porozumieniu szczerym i uczciwym, opartym, na przykład, na zasadzie asymilacji.
Nasze plany wyglądają, mówiąc w skrócie, następująco: Pierwszy - pozwolić im na przemieszanie się z ludźmi do chwili, kiedy każdy z nich zostanie dokładnie zidentyfikowany; potem osaczyć, wyłapać większość przez zaskoczenie i w krótkim czasie wytropić resztę.
Plan numer dwa: zmusić wszystkie slany do osiedlenia się na wyspie, powiedzmy na Hawajach, i gdy już tam będą, otoczyć to miejsce okrętami wojennymi i samolotami, po czym unicestwić całą populację.
Plan numer trzy: na samym początku traktować je surowo - fotografować, domagać się składania odcisków palców i meldowania się co jakiś czas na policji; zawierałoby to elementy stanowczości i zarazem uczciwości. Ten trzeci pomysł może trafić do slanów, ponieważ jeśli będzie realizowany przez jakiś czas, może pozornie zapewnić bezpieczeństwo wszystkim oprócz niewielkiego odsetka zgłaszających się na policję każdego konkretnego dnia. Surowość tego wariantu przyniesie dalsze korzyści psychologiczne przez utwierdzenie ich w przekonaniu, że jesteśmy stanowczy, ale ostrożni, i przez to, co paradoksalne, stopniowo uśpi ich czujność.
Beznamiętny głos mówił dalej, ale cała ta sytuacja jakoś straciła posmak rzeczywistości. Przecież nie mogli tak siedzieć omawiając zdradę i morderstwa na tak ogromną skalę - siedmiu mężczyzn decydujących za całą ludzkość o sprawach ważniejszych niż śmierć i życie.
- Jacy wy jesteście głupi - odezwała się kąśliwie Kathleen. - Czy wy sobie chociaż przez chwilę wyobrażacie, że slani dadzą się zwieść waszym głupim intrygom? Słani umieją czytać w myślach, a poza tym cała sprawa jest tak przejrzysta i śmiechu warta, wszystkie wasze plany tak jawnie bezczelne, że dziwię się, jak w ogóle kiedykolwiek mogłam uważać któregoś z was za sprytnego i inteligentnego.
Odwrócili się i w milczeniu mierzyli ją chłodnym wzrokiem. Na ustach Kiera Graya pojawił się nikły uśmieszek rozbawienia.
- Obawiam się, że to ty jesteś w błędzie, nie my. Zakładamy, że slany są inteligentne i podejrzliwe, i dlatego nie wysuwam żadnych skomplikowanych pomysłów; jest to oczywiście podstawowy czynnik skutecznej propagandy. Co zaś do czytania w myślach, to nigdy nie spotkamy się z przywódcami slanów. Przekażemy zdanie większości spośród tu zebranych pozostałym pięciu członkom Rady, a ci będą prowadzić negocjacje, głęboko przekonani, że oferujemy uczciwą grę. Żaden z podwładnych nie otrzyma instrukcji innych, jak tylko takie, że sprawę należy traktować uczciwie. Widzisz zatem, że…
- Chwileczkę! - odezwał się John Petty, a w jego głosie brzmiało tyle

satysfakcji, tak triumfalny ton, że obracając się ku niemu Kathleen aż drgnęła. - Główne zagrożenie nie tkwi w nas samych, a w tym, że ta slanka poznała nasze plany. Mówiła, że nawiązała kontakt mentalny z dowódcą slanów znajdujących się na pokładzie statku, który zbliżył się do pałacu. Innymi słowy, wiedzą, że ona tu jest. Przypuśćmy, że zbliży się następny statek; miałaby wtedy sposobność do poinformowania wrogów o naszych planach. Naturalnie trzeba ją natychmiast zabić.
Ogłuszająca trwoga przeszyła umysł Kathleen. Logika wywodu była nie do podważenia. Widziała w umysłach mężczyzn, że coraz dokładniej to sobie uświadamiają. Próbując tak rozpaczliwie ratować się przed zalotami Lorry’ego wpadła w pułapkę, która mogłaby się skończyć tylko śmiercią.
Kathleen jak urzeczona wpatrywała się w twarz Johna Petty’ego. Mężczyzna wręcz promieniował tak dogłębnym zadowoleniem, że nawet nie potrafił go ukryć. Niewątpliwie nie spodziewał się takiego zwycięstwa. Zaskoczenie dodatkowo spotęgowało przypływ emocji.
Ze wstrętem odwróciła się od niego i skupiła na innych. Dobiegające od nich przedtem niewyraźne myśli teraz dochodziły od każdego w bardziej skrystalizowanej formie. I nie mogło być wątpliwości, co myśleli. Decyzja nie sprawiła szczególnej przyjemności młodym mężczyznom, którzy w odróżnieniu od Jema Lorry’ego nie interesowali się nią osobiście. Ale wszyscy wydali jednakowy wyrok. Śmierć.
Kathleen miała wrażenie, że ostateczność werdyktu jest wypisana na twarzy Jema Lorry’ego. Jego zachowanie zdradzało konsternację; naskoczył na nią ostro:
- Cholerna mała idiotka! - cisnął zjadliwie, a potem raptownie przygryzł dolną wargę i zapadł głęboko w fotelu, smętnie gapiąc się w podłogę.
Była oszołomiona. Patrzyła na Kiera Graya przez dłuższą chwilę, zanim go w ogóle dostrzegła. Ze zgrozą przypatrywała się zmarszczce zaskoczenia, która przecinała jego czoło, i wyrazowi nietajonego oszołomienia w oczach. Dodało jej to nieco odwagi. Nie chciał jej śmierci, bo by się aż tak nie zaniepokoił.
Odwaga i nadzieja, która się wraz z nią pojawiła, znikły jak gwiazda przesłonięta czarną chmurą. Już sama jego konsternacja dowodziła, że nie widzi sposobu rozwiązania problemu, który spadł jak grom z jasnego nieba. Z wolna jego twarz przybrała beznamiętny wyraz, ale nadzieja zaświtała Kathleen dopiero wtedy, gdy powiedział:
- Śmierć byłaby zapewne niezbędnym rozwiązaniem, gdyby mówiąc, że nawiązała kontakt ze slanem na pokładzie tamtego statku, powiedziała prawdę. Szczęśliwie dla siebie - kłamała. W samolocie nie było slanów. Pilotowały go automaty.
- Wydawało mi się - odezwał się któryś z mężczyzn - że statki

pilotowane automatycznie można przechwycić zakłócając ich działanie falami radiowymi.
- Owszem, można - odparł Kier Gray. - Czy pamiętacie, jak statek slanów poszedł świecą w górę na moment przed zniknięciem? Sterujące nim zdalnie slany pokierowały nim tak, bo nagle zorientowały się, że skutecznie zakłócamy jego lot. - Przywódca uśmiechnął się posępnie. - Strąciliśmy go nad bagnami o sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od stolicy. Z dotychczasowych doniesień wiadomo, że został dość poważnie zniszczony i że jeszcze go nie wydobyto, ale w swoim czasie zostanie dostarczony do wielkich zakładów maszynowych Cudgena, gdzie bez wątpienia uda się zbadać jego mechanizmy.
Po chwili dodał: - Zajęło to tyle czasu, ponieważ automatyczne urządzenia statku działały na trochę odmiennej zasadzie niż dotychczas, co wymagało nowych kombinacji sygnałów radiowych do przejęcia kontroli nad nim.
- To wszystko jest nieistotne - powiedział niecierpliwie Petty. - Ważne jest to, że ta dziewczyna siedziała tu, w sali posiedzeń, słyszała nasze plany unicestwienia jej pobratymców i może stanowić dla nas zagrożenie, bo zrobi wszystko, żeby powiadomić o naszych zamierzeniach inne slany. Trzeba ją koniecznie zabić.
Kier Gray wstał powoli, a na twarzy, którą zwrócił w stronę Johna Petty'ego, malowała się groźba; gdy przemówił w jego głosie brzmiała metaliczna nuta:
- Powiedziałem ci już kiedyś, Petty, że prowadzę badania socjologiczne tej slanki, i będę ci wdzięczny za powstrzymanie się w przyszłości od zakusów na jej życie. Powiedziałeś, że co miesiąc łapie się i likwiduje sto slanów, podczas gdy slany twierdzą, iż nadal istnieje ich jeszcze ponad jedenaście milionów. Mam nadzieję - tu w jego głosie wyraźnie zabrzmiała ironia - że otrzymam łaskawe przyzwolenie na trzymanie żywcem jednego slana w celach naukowych, tego jednego, którego wyraźnie nienawidzisz bardziej niż wszystkich innych razem wziętych…
- Już dobrze, Kier - przerwał mu gwałtownie John Petty. - Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego Kathleen Layton skłamała mówiąc, że komunikowała się ze slanami?
Kathleen zaczerpnęła głęboko powietrza. Opadało z niej napięcie tych kilku minut śmiertelnego zagrożenia, ale zdenerwowanie nadal zaciskało krtań. Wykrztusiła drżącym głosem:
- Bo wiedziałam, że Jem Lorry chce zrobić ze mnie swoją kochankę, i chciałam wam powiedzieć, że się nie zgadzam.
Poczuła wibracje myśli, które płynęły od mężczyzn, i zobaczyła uczucia malujące się na ich twarzach: zrozumienie, potem zniecierpliwienie.

- Na litość boską, Jem! - wykrzyknął któryś. - Nie możesz załatwiać swoich łóżkowych spraw gdzie indziej, tylko na posiedzeniach Rady?
- Z całym należnym dla Kiera Graya szacunkiem muszę stwierdzić - włączył się następny - że w pewnym sensie, jest to niedopuszczalne, aby slan sprzeciwiał się czemukolwiek, co w jego sprawie postanowił człowiek powołany do sprawowania władzy. Osobiście jestem ciekaw, jakie potomstwo wynikłoby z takiego związku. Twój sprzeciw został odrzucony; a teraz, Jem, każ swoim ludziom zabrać ją do twojego apartamentu. I mam nadzieję, że to kończy całą sprawę!
Po raz pierwszy w ciągu siedemnastu przeżytych lat Kathleen odczuła dosadnie, że obciążenie nerwowe, jakie slan może wytrzymać, ma swoje granice. Tkwiło w niej wrażenie wewnętrznego napięcia, jak gdyby gdzieś coś o żywotnym znaczeniu miało za chwilę pęknąć. Świadomość pusta, bez żadnej własnej myśli. Po prostu siedziała tam, ściskając aż do bólu plastykową gładź poręczy fotela. Nagle zdała sobie sprawę, że w jej mózgu pojawiła się myśl - ostra, kąśliwa myśl Kiera Graya: „Ty głuptasie! Jak ci się udało wpakować w taką kabałę?” Rzuciła mu żałosne spojrzenie i dopiero teraz zobaczyła, że przymknąwszy oczy rozsiadł się wygodniej w fotelu; wargi miał zaciśnięte. W końcu przemówił:
- Wszystko to byłoby słuszne, gdyby związki tego Typu wymagały zbadania. Takiej potrzeby nie ma. Opisy ponad stu przypadków prób spłodzenia dzieci w związkach ludzi i slanów są dostępne w archiwum pod hasłem „Małżeństwa nietypowe”.
Przyczyny bezpłodności są trudne do ustalenia, jako że ludzie nie wydają się odmienni od slanów w zauważalnym stopniu. Zdumiewająco silna muskulatura slanów nie wynika z nowego rodzaju mięśni, a z przyspieszenia wyładowań elektrycznych wprawiających mięśnie w ruch. Występuje u nich także zwiększenie liczby nerwów w każdej części ciała, co powoduje niesłychany wzrost wrażliwości.
Dwa serca nie są w istocie oddzielnymi sercami, a kombinacją, w której każda sekcja może działać niezależnie od drugiej. Razem wzięte nie są wcale dużo większe niż zwykłe serce. To po prostu lepsze pompy. Idąc dalej, czułki wysyłające i odbierające myśli są wypustkami słabo przedtem poznanych struktur w górnej części mózgu, które najwyraźniej musiały być ośrodkiem owej tajemniczej telepatii, znanej dawniejszym ludziom i nadal często przez ludzi uprawianej.
Widzicie zatem, że to, co Samuel Lann ponad sześćset lat temu zrobił swoją aparaturą mutacyjną żonie, która urodziła mu troje pierwszych slanów - chłopca i dwie dziewczynki - nie dodało nic do ludzkiego ciała, a tylko zmieniło bądź zmutowało już istniejące struktury.
Kathleen odniosła wrażenie, że Gray mówi, by zyskać na czasie. W owym wysłanym przezeń pojedynczym, ulotnym błysku myślowym

brzmiały echa całkowitego zrozumienia sytuacji. Musiał wiedzieć, że człowiekowi pokroju Jema Lorry'ego nie da się wyperswadować jego namiętności żadnymi rozsądnymi argumentami. Usłyszała, że mówi dalej:
- Przekazuję wam te informacje, bo najwyraźniej żaden z was nie zadał sobie trudu, by zbadać, jak rzeczywista sytuacja wygląda w porównaniu z obiegowymi pojęciami. Weźmy na przykład tak zwaną wyższą inteligencję slanów, o której była mowa w otrzymanym dziś od nich liście. Istnieje w tej kwestii stary, zapomniany z biegiem lat przykład: doświadczenie, w którym Samuel Lann, ów nadzwyczajny człowiek, wychował w ściśle naukowych warunkach dziecko slana, dziecko ludzkie i małpie. Małpa dojrzewała najszybciej, nauczywszy się w ciągu kilku miesięcy tego, na co człowiek i slan potrzebowali znacznie więcej czasu. Potem slan i człowiek nauczyli się mówić i małpa została beznadziejnie zdystansowana. Slan i człowiek utrzymywali względnie równe tempo, do czasu, aż w wieku czterech lat dały o sobie wyraźnie znać slańskie zdolności telepatyczne. Od tego momentu mały slan wysunął się na prowadzenie.
Tym niemniej doktor Lann odkrył później, że poprzez intensyfikację nauki ludzkie dziecko mogłoby dogonić slana i utrzymać się na porównywalnym poziomie, szczególnie w szybkości myślenia. Wielką przewagę slana stanowiła zdolność do czytania w myślach, dająca mu niezrównany wgląd w psychologię i łatwiejszy dostęp do wykształcenia, dla ludzkiego dziecka możliwy wyłącznie za pośrednictwem oczu i uszu…
John Petty przerwał mu obcesowo, podniesionym głosem: - Opowiadasz tu tylko o tym, co cały czas wiedziałem i co jest głównym powodem, dla którego nie wolno nam dopuścić nawet możliwości negocjacji pokojowych z tymi… z tymi cholernymi sztucznymi istotami. Po to, by dorównać slanowi, człowiek musi się wytężać przez całe lata i osiąga z trudem to, co slanowi przychodzi z najwyższą łatwością. Innymi słowy, nikt poza mikroskopijnie małą cząstką ludzkości nie ma możliwości stać się czymś więcej niż niewolnikiem, w porównaniu ze slanem. Panowie: nie może być mowy o pokoju, a tylko o przyśpieszeniu eksterminacji. Nie możemy sobie pozwolić na ryzyko któregoś z omawianych tu makiawelicznych planów, ponieważ zagrożenie, że coś się nie uda, jest zbyt duże.
- Ma rację! - powiedział któryś z członków Rady. Kilka głosów poparło zgodnie tę ocenę i nagle znikły wszelkie wątpliwości co do tego, jaki zapadnie werdykt. Kathleen ujrzała, że Kier Gray omiótł uprzejmym spojrzeniem twarze zebranych.
- Jeśli taka ma być nasza decyzja - powiedział - to uznałbym to za poważny błąd, gdyby obecnie któryś z nas wziął tę slańską dziewczynę za kochankę. Mogłoby to wywołać złe wrażenie.

Cisza, która zapadła, oznaczała aprobatę; Kathleen zwróciła oczy na twarz Jema Lorry'ego. Odpowiedział jej spokojnym wzrokiem, 7 wolna podnosząc się na nogi, ona zaś wstała i ruszyła ku wyjściu. Kiedy go mijała, zrównał z nią krok.
Otworzył przed nią drzwi i powiedział cicho: - To nie potrwa długo, moja panno. Nie rób sobie niepotrzebnych nadziei. - I uśmiechnął się butnie.
Ale to nie o jego groźbie myślała Kathleen idąc powoli korytarzem. Rozpamiętywała wyraz zaskoczenia, jaki pojawił się na twarzy Kiera Graya w momencie, gdy John Petty zażądał jej śmierci.
Coś tu nie pasowało. To zupełnie nie pasowało do uprzejmych słów wypowiadanych minutę później, kiedy informował pozostałych, że statek slanów pilotowały automaty i że został strącony na bagna. Jeśli rzeczywiście tak było, to dlaczego się przestraszył? A jeśli prawda wyglądała inaczej, to Kier Gray podjął okropne ryzyko kłamiąc dla niej i prawdopodobnie jeszcze teraz się tym martwił.

9

Jommy Cross pośpiesznie, ale uważnie zmierzył wzrokiem ludzki wrak, jakim była Babunia. Nie odczuwał do niej wściekłości za to, że go zdradziła. Skutki zdrady były katastrofalne - w jednej chwili jego przyszłość stała się niejasna, przypadkowa, bezdomna.
Główny jego problem polegał na tym, co zrobić ze staruchą.
Siedziała rozparta beztrosko na krześle; ekstrawagancko szykowny wielobarwny szlafrok wesoło spowijał jej niezgrabną postać. Zachichotała do niego:
- A Babunia coś wie, aha, Babunia wie... Słowa przeszły w bełkot; po chwili zaczęła gadać bardziej zrozumiale:
- Forsa, ach, dobry Boże, pewno, że forsa! Babunia ma kupę forsy na starość. Popatrz!
Z naiwną ufnością przesiąkniętej alkoholem starej pijaczki wysunęła spod szlafroka pękatą czarną torbę, po czym w strusim odruchu wciągnęła ją raptownie z powrotem do kryjówki.
Jommy doznał wstrząsu. Po raz pierwszy na własne oczy zobaczył jej pieniądze, jakkolwiek zawsze znał jej rozmaite kryjówki. Ale trzymać to na wierzchu właśnie teraz, kiedy nalot policyjny jest już w toku - taka głupota zasługiwała na najsurowszą karę.
Lecz kiedy pierwszy słabiutki nacisk myśli ludzi gromadzących się na zewnątrz osiadł niemal niewyczuwalnym ciężarem na jego mózgu, on nadal stał nad nią wahając się: napięcie rosło. Dziesiątki mężczyzn zbliżających się z wysuniętymi do przodu tępymi nosami pistoletów maszynowych. Gniewnie zmarszczył brwi. Miał wszelkie prawo pozostawić zdrajczynię na pastwę wściekłości oszukanych łowców, na pastwę prawa stanowiącego, że każdy człowiek, bez wyjątku, któremu

udowodniono ukrywanie slana, musi ponieść śmierć przez powieszenie.
W jego wyobraźni przemknął koszmarny obraz Babuni w drodze na szubienicę, Babuni wyjącej o litość, Babuni opierającej się ludziom zakładającym jej pętlę na szyję, wierzgającej, drapiącej, opluwającej katów…
Wyciągnął ręce i chwycił ją za gołe ramiona, z których zsunął się luźno narzucony szlafrok. Trząsł nią z zimną, morderczą wściekłością, aż jej zęby dzwoniły, dopóki nie załkała od ostrego, strasznego bólu, dopóki w jej oczach nie pojawiła się odrobina przytomności.
- Jeśli tu zostaniesz, czeka cię śmierć! - rzucił ostro. - Nie znasz prawa?
- Hę?! - Usiadła prosto, trochę przestraszona, a potem raptownie osunęła się z powrotem w kloakę swego umysłu.
Szybciej, szybciej, pomyślał, i wdarł się mocą swego mózgu w zamęt jej myśli, by sprawdzić, czy jego słowa wywarły jakiś głębszy skutek. Już miał się poddać, ale w ostatniej chwili znalazł oszołomioną, przerażoną, czujną malutką grudkę poczytalności, nieomal pogrzebaną pod rozlazłą, niespójną breją jej myśli.
- …bunia bezpieczna - wymamrotała starucha. - Babunia ma kupę szmalu. Bogatych ludzi się nie wiesza. To trzyma się kupy.
Jommy odstąpił od niej o krok, niezdecydowany. Natłok myśli tamtych mężczyzn odciskał się na jego mózgu ciężkim, przytłaczającym balastem. Podchodzili coraz bliżej, zacieśniali krąg. Pobladł pojąwszy, ilu ich jest. Nawet potężna broń w jego kieszeni mogła okazać się bezużyteczna, gdyby grad pocisków zasypał tandetne ścianki szopy. A wystarczyłby tylko jeden, by .pogrzebać wszystkie marzenia jego ojca.
- Na Boga! - powiedział na głos. - Jaki jestem głupi! Co z tobą zrobię, jeśli nawet cię stąd wyciągnę? Oni zablokują wszystkie autostrady wylotowe. Mam tylko jedną realną szansę, a i tak będzie to prawie beznadziejnie trudne, nawet bez zawadzającej mi pijanej staruchy. Nie mam ochoty wspinać się na trzydzieste piętro z tobą na plecach.
Logika podpowiadała mu, że powinien ją zostawić. Już zaczął się odwracać i wtedy ponownie naszła go w całej swej grozie myśl o Babuni prowadzonej na szubienicę. Pomimo wszystkich swoich wad, samym swym istnieniem umożliwiła mu przeżycie. Taki dług trzeba spłacić.
Jednym szarpnięciem wydarł czarną torbę z kryjówki pod jej szlafrokiem. Stęknęła pijacko, a potem, kiedy prowokacyjnie poruszał torbą przed jej oczyma, wsączyła się w nią świadomość.
- Popatrz - naigrawał się - wszystkie twoje pieniądze! Cała twoja przyszłość! Zdechniesz z głodu. Każą ci szorować podłogi w przytułku. Będą cię bić.

W piętnaście sekund była trzeźwa, gorącą, żarliwą trzeźwością; z wprawą zatwardziałego kryminalisty natychmiast wychwyciła to, co istotne.
- Powieszą Babunię! - sieknęła.
- Nareszcie do ciebie dotarło - powiedział Jommy. - Masz, trzymaj swoją forsę. - Uśmiechnął się smutno, gdy wyrwała mu torbę z ręki. - Musimy przejść przez tunel. Prowadzi z mojej sypialni do prywatnego garażu na rogu 470 ulicy. Mam kluczyki do samochodu. Podjedziemy pod Centrum Lotnicze i porwiemy jeden z…
Przerwał, uświadomiwszy sobie słabość ostatniej części swego planu. Wydawało się niewiarygodne, że bezczułkowi slani będą tak kiepsko zorganizowani, aby rzeczywiście zdołał porwać jeden z tamtych wspaniałych statków, które co noc startowały w niebo. Co prawda kiedyś uciekł im absurdalnie łatwo, ale…
Jommy sapnąwszy posadził staruchę na płaskim dachu hangaru statków kosmicznych. Padł jak kłoda obok niej i leżał ciężko dysząc. Po raz pierwszy w życiu będąc w pełni zdrowia doznał zmęczenia mięśni spowodowanego wysiłkiem.
- Wielkie nieba! - stęknął. - Kto by pomyślał, że starucha będzie taka ciężka?
Mamrotała coś pod wpływem spóźnionego przerażenia karkołomną wspinaczką. Jego mózg przechwycił w porę ostrzeżenie o cisnącym się jej na usta wybuchu złorzeczeń. Mięśnie pomimo zmęczenia zareagowały błyskawicznie. Szybka dłoń zamknęła się na jej wargach.
- Stul pysk - warknął - albo cisnę cię na dół jak worek kartofli. To ty spowodowałaś tę sytuację i ty musisz ponosić konsekwencje.
Jego słowa podziałały jak zimny prysznic; mógł tylko podziwiać, jak szybko otrząsnęła się z miotającego nią panicznego przerażenia. Stara łajdaczka na pewno miała jeszcze niezłą wytrzymałość. Odsunęła od ust jego rękę i zapytała markotnie.
- Co teraz?
- Musimy jak najszybciej znaleźć wejście do budynku, a potem… - Spojrzał na zegarek i z przerażeniem poderwał się na nogi. Za dwanaście dziesiąta! Dwanaście minut do startu rakiety. Dwanaście minut na zawładnięcie statkiem!
Poderwał Babunię na nogi, zarzucił ją lekko na ramię i ruszył pędem w stronę środka dachu. Nie dość, że nie mieli czasu na szukanie drzwi, to będą one z pewnością zabezpieczone systemem alarmowym, a czasu na jego zbadanie i unieszkodliwienie było jeszcze mniej. Pozostała tylko jedna droga. Gdzieś tu musiała być wyrzutnia, z której wysyłano statki ku najdalszym rejonom przestrzeni międzyplanetarnej. Poczuł różnicę pod stopami, nieznaczne wzniesienie, łagodną wypukłość. Stanął jak wryty, balansując na palcach, odzyskując równowagę po gwałtownym zakończeniu wyścigowego sprintu.

Ostrożnie wymacał drogę do krawędzi wypukłej części dachu. Tu powinna być granica wyrzutni. Pospiesznie wyszarpnął z kieszeni atomową broń ojca. W dół buchnął unicestwiający płomień.
Poprzez otwór o średnicy półtora metra zapuścił wzrok w otchłań szybu opadającego w głąb pod kątem co najmniej sześćdziesięciu stopni. Sto, dwieście, trzysta metrów metalowej, lśniącej ściany, a potem, w miarę jak wzrok Jommy'ego przyzwyczajał się do słabego oświetlenia, z wolna pojawiły się zarysy statku. Zobaczył ostry dziób jak u torpedy, ze skierowanymi w przód dyszami hamującymi, które psuły efekt opływowej gładzi. Sprawiało to wrażenie czegoś śmiercionośnego, teraz cichego i zamarłego w bezruchu, a jednak złowieszczego. Doznał złudzenia, że spogląda w lufę olbrzymiego działa na pocisk, który ma zostać za chwilę wystrzelony. Porównanie wstrząsnęło nim tak mocno, że jego umysł przez dłuższą chwilę nie chciał dopuścić myśli o tym, co musi zrobić. Opadły go wątpliwości. Czy odważy się ześliznąć po tej gładkiej jak szkło zjeżdżalni, skoro w każdej sekundzie rakieta może ruszyć z miażdżącym impetem ku niebu?
Uczuł chłód przenikający całe ciało. Z trudem oderwał wzrok od paraliżującej głębi tunelu i skierował spojrzenie, początkowo niewidzące, a po chwili coraz bardziej zafascynowane, na majaczący w oddali wspaniały pałac. Bieg myśli nagle się urwał; napięcie mięśni powoli ustąpiło. Przez kilka długich sekund po prostu stał tam, spijając piękno ogromnego, cudnego klejnotu - pałacu w nocnej szacie. Z tej wysokości widział go doskonale, pomiędzy i ponad dwoma ogromnymi wieżowcami; mienił się jaskrawo, lecz nie było w tym nic z ogłuszającej, oślepiającej jasności. Mienił się łagodnym, żywym, cudownym ogniem, który nigdy nie zatrzymywał tej samej barwy dłużej niż przez chwilę: wspaniały, migotliwy płomień, pulsujący i rozbłyskujący w tysiącach kombinacji, a każda z nich subtelnie, czasem zaskakująco różniła się od innych; ani razu nie zdarzyło się dokładne powtórzenie.
Wciąż i wciąż skrzył się… i żył! Raz na dłuższą chwilę przypadek sprawił, że wieża - ta stupięćdziesięciometrowa, półprzeźroczysta, bajkowa wieża - poczęła się mienić turkusowoniebiesko. I na tę samą chwilę nieomal cała widoczna poniżej część pałacu rozjarzyła się rubinową, intensywną czerwienią. Tylko na chwilę - a potem owa kombinacja rozprysła się na milion eksplodujących kolorowych fragmentów: błękitnych, czerwonych, zielonych, żółtych. Żadnej barwy, żadnego możliwego odcienia nie zabrakło w tej bezgłośnej, płomienistej eksplozji.
Przez tysiąc nocy sycił duszę jego pięknem i teraz znowu odczuł tę cudowność. Czuł, że wypełnia go płynąca zeń siła. Powróciła mu odwaga, a była jako nieugięta, niezniszczalna moc. Zacisnąwszy zęby

spojrzał posępnie na głębię o tak stromym nachyleniu i takiej gładzi, że zapowiadało to opętańczo szybki zjazd na odległe, twarde jak stal dno.
To niebezpieczeństwo stanowiło niejako symbol jego przyszłości. Przyszłości niejasnej, trudniejszej teraz do przewidzenia niż kiedykolwiek przedtem. Już sam zdrowy rozsądek podpowiadał, że trzeba zakładać, iż bezczułkowi slani zdają sobie sprawę z jego obecności na dachu. Na pewno muszą tu być systemy alarmowe - muszą być!
- Po co się gapisz w tę dziurę? - chlipnęła Babunia. - Gdzie te nasze drzwi? Czas na…
- Czas! - powtórzył Jommy Cross. Jego zegarek wskazywał za cztery minuty dziesiątą i to wstrząsnęło każdym nerwem jego ciała. Osiem minut już minęło, cztery pozostały na zdobycie twierdzy. W tym momencie pochwycił myśl Babuni - nagłe zrozumienie jego zamiarów. W samą porę jego ręka spadła na usta staruchy i wrzask przerażenia ugrzązł w jego dłoni. W następnej sekundzie spadali, postawiwszy wszystko nieodwołalnie na jedną kartę.
O powierzchnię tunelu uderzyli niemal delikatnie, jak gdyby nagle wtargnęli do świata spowolnionego ruchu. Zjeżdżalnia nie sprawiała wrażenia sztywnej, lecz poddawała się pod naciskiem jego ciała, a ruch odczuwało się tylko w nieznacznym stopniu. Ale jego oczy i umysł nie dały się zwieść. Tępy dziób statku kosmicznego leciał prosto na nich. Złudzenie, że statek rwie pełną mocą w ich stronę, było tak absolutne, że musiał walczyć z szalonym odruchem paniki.
- Szybko! - syknął do Babuni. - Ręce na płask i hamuj!
Staruchy nie trzeba było ponaglać. Ze wszystkich instynktów jej sponiewieranego hulaszczym życiem ciała instynkt samozachowawczy pozostał najsilniejszy. Nie potrafiłaby teraz jęknąć o ocalenie duszy, ale strach wykrzywiał jej wargi, gdy walczyła o życie. W paciorkowatych oczkach lśniły łzy przerażenia - ale walczyła! Orała pazurami polerowany metal, szeroko rozczapierzywszy kościste dłonie, docisnęła nogi do metalowej gładzi, i chociaż skutek tych zabiegów był żałosny, jednak pomógł.
Nagle dziób statku zamajaczył nad głową Jommy'ego, wyżej, niż chłopiec tego oczekiwał. Z desperacką siłą próbował schwycić za pierwszy gruby pierścień wylotów dysz. Palce musnęły karbowaną, osmaloną blachę, ześliznęły się i natychmiast straciły uchwyt.
Opadł w tył i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że przed chwilą był odchylony od ściany wyrzutni na całą długość rozciągniętego ciała. Upadł ciężko, co go niemal ogłuszyło, ale dzięki szczególnej sile mięśni slana natychmiast się poderwał. Chwycił jedną z wielkich rur drugiego pierścienia dysz z tak niesamowitą siłą, że niekontrolowana część podróży dobiegła końca. Osłabły po forsownym wysiłku puścił

rurę i kiedy półleżąc otrząsał się z oszołomienia, zauważył snop światła wybiegający spod kadłuba olbrzymiej maszyny.
Tylna część statku była tak blisko dna wyrzutni, na którym pojazd spoczywał, że aby do niej z niejakim trudem podejść, Jommy musiał zgiąć się w pół. Myślał: „Otwarty właz? Tu, teraz, na kilka krótkich sekund przed planowanym odlotem wielkiego statku?”.
To był właz! Otwór o kilkudziesięciocentymetrowej średnicy w grubym na ćwierć metra metalowym kadłubie, z uchyloną do wewnątrz klapą na zawiasach. Jommy bez namysłu wstał i wsunął się do środka, trzymając w pogotowiu swą straszną broń, gotów zareagować na najmniejszy choćby ruch. Ale nic się nie poruszyło.
Już pierwszy rzut oka wystarczył, by poznać, że to sterownia. Ujrzał kilka foteli, skomplikowany pulpit i jakieś duże wypukłe płyty po jego obu stronach, a także otwarte drzwi, prowadzące do następnej sekcji statku. Skok do środka i wciągnięcie za sobą przerażonej staruchy zajęły mu jedną chwilę. A potem jednym zwinnym susem dopadł drzwi prowadzących w głąb statku. Ostrożnie zatrzymał się w progu i zajrzał do wewnątrz.
Część sąsiedniego przedziału zajmowały fotele, takie same głębokie, wygodne fotele, jak w sterowni statku. Ale ponad połowę przestrzeni wypełniały zamocowane do podłogi i ścian skrzynie. Z pomieszczenia wychodziło dwoje drzwi. Jedne najwyraźniej prowadziły do trzeciej sekcji długiego statku. Częściowo uchylone, ukazywały następną porcję ładunku i dalej drzwi prowadzące do czwartego przedziału. Ale to drugie drzwi w drugim pomieszczeniu sprawiły, że Jommy zamarł bez ruchu.
Znajdowały się na ścianie za fotelami i prowadziły na zewnątrz. Do wnętrza statku wdzierał się przez nie blask świateł z wielkiego hangaru; widać było także sylwetki ludzi. Jommy szeroko otworzył umysł. Natychmiast dotarł do niego zalew myśli wielu mózgów, tak wielu, że zmieszane przecieki spoza ich ekranów ochronnych przyniosły dziesiątki połowicznych myśli, myśli złowróżbnie czujnych, jak gdyby rzesze bezczułkowych slanów tam, na zewnątrz, na coś oczekiwały.
Przerwał strumień myśli i błyskawicznie obrócił się ku pulpitowi zajmującemu całą przednią część sterowni. Sam pulpit miał około metra szerokości i dwóch metrów długości, a składał się z rzędów lampek i błyszczących mechanizmów osadzonych w metalowej płycie. W zasięgu ręki od precyzyjnie skonstruowanego fotela znajdowało się kilkanaście rozmaitych dźwigni sterowniczych, a po obu stronach pulpitu dwie wielkie, wypukłe, szkliście lśniące metalowe płyty, które już wcześniej zauważył. W ciągu kilku chwil, jakie miał do dyspozycji, rozgryzienie obcego systemu sterowniczego będzie niemożliwe.
Zacisnąwszy usta wskoczył na fotel pilota. Szybko, umyślnie nie

dbając o porządek ruchów, uruchomił każdy przełącznik, każdą dźwignię na pulpicie.
Drzwi zatrzasnęły się ze szczękiem. Nagle pojawiło się cudowne uczucie lekkości, potem gwałtowny, omalże miażdżący ciało ruch do przodu, a wreszcie odległy, pulsujący, basowy ryk. Natychmiast przeznaczenie wielkich wypukłych płyt stało się oczywiste. Na prawej pojawił się obraz nieba w przedzie. Jommy zdążył zauważyć światła i ląd daleko w dole, ale statek wznosił się zbyt pionowo, toteż Ziemia ukazała mu się tylko jako zamazana smuga w dolnej części ekranu.
Ale to drugi wideoekran ukazywał wspaniałości: miasto świateł, tak olbrzymie, że uciekając do tyłu za statkiem porażało wyobraźnię. U jednego z brzegów ekranu dojrzał pałac w nocnej krasie.
A potem i miasto zniknęło w oddali. Ostrożnie wyłączał kolejno urządzenia, które przedtem uruchomił, oczekując na skutki każdego ruchu. Po dwóch minutach rozpracował skomplikowany pulpit i panował nad prostymi urządzeniami. Nie miał pewności co do przeznaczenia czterech z przełączników, ale to mogło poczekać.
Przeszedł do lotu poziomego, ponieważ nie miał zamiaru oddalać się poza atmosferę ziemską. To wymagało już gruntownej znajomości każdej śrubki i blaszki statku, podczas gdy jego głównym zadaniem było teraz założenie nowej, bezpiecznej bazy operacyjnej. A potem, mając statek, który może go zabrać, dokąd on zechce…
Bujał myślami w obłokach. Nagle wypełniło go poczucie siły. Do zrobienia pozostawało jeszcze tysiąc rzeczy, ale nareszcie wyrwał się z klatki, dostatecznie mocny i dojrzały, zarówno umysłowo, jak i fizycznie, by prowadzić spokojne, pokojowe życie. Musiało jeszcze upłynąć wiele lat, długich lat dzielących go od dojrzałości. Trzeba poznać i wykorzystać całą wiedzę ojca. Nade wszystko musi starannie obmyślić swój pierwszy prawdziwy plan - odnalezienia zwyczajnych slanów - i dokonać pierwszych działań poszukiwawczych.
Myśl urwała się, bo nagle uprzytomnił sobie bliskość Babuni. Od kilku minut jej myśli bez przerwy dobijały się słabo do jego mózgu. Zdawał sobie sprawę, że weszła do drugiego pomieszczenia, i głęboko w jego umyśle formował się obraz tego, co widziała. I wtem - ot tak, po prostu - obraz znieruchomiał, jakby nagle zamknęła oczy.
Jommy Cross wyszarpnął broń z kieszeni, równocześnie odwracając się i odskakując w bok. Od drzwi trysnął strumień ognia i przeorał miejsce, w którym przed chwilą stał. Płomień dotknął tablicy przyrządów i zniknął. Stojąca w drzwiach wysoka, dorosła kobieta, bezczułkowa slanka, błyskawicznie skierowała ku niemu lufę małego srebrzystego miotacza… i nagle całe jej ciało stężało, gdy ujrzała wycelowaną w siebie jego broń. Zastygli tak na długą chwilę. Oczy kobiety lśniły jak dwie tafle niespokojnej wody.
- Ty przeklęty gadzie!

Pomimo wściekłości, nieomal dzięki niej, jej cudnie drżący głos miał aksamitną barwę, i nagle Jommy poczuł się pokonany. Ten wygląd i głos przywołały dojmującą pamięć jego cudownej matki i pojął z poczuciem bezradności, że nie mógłby już zdmuchnąć tej wspaniałej istoty unicestwiającym błyskiem, tak jak nie mógłby zabić własnej matki. Mimo że trzymał ją w szachu swą potężną bronią, tak samo jak ona groziła swoją bronią jemu, w rzeczywistości był zdany na jej łaskę. A to, że bez wahania strzeliła celując mu w plecy, zdradziło mu, jaka piekielna determinacja gorzeje za owymi lśniącymi, szarymi oczami. Zamordować! Obłędna nienawiść slanów bezczułkowych do zwyczajnych.
Jakkolwiek przerażony, Jommy przypatrywał się jej z narastającym podziwem. Szczupła, silna, gibka, stała tak w napięciu, przyczajona, czujna, pochylona do przodu, by ciężar ciała spoczywał na jednej stopie, jak u sprintera gotowego do startu. Jej prawa ręka trzymająca broń była szczupła, foremna, ślicznie opalona i wyglądała na silną. Lewą schowała częściowo za plecami, jak gdyby szła przed chwilą żwawo przed siebie, machając swobodnie ramionami, i w pewnej chwili zastygła w pół kroku, z jedną ręką podniesioną, a drugą odrzuconą do tyłu.
Miała na sobie sukienkę o kroju tuniki, mocno ściągniętą w talii; jakże dumnie odrzuciła głowę zwieńczoną przyciętymi na pazia, lśniącymi, falującymi, kasztanowymi włosami. Twarz poniżej owej korony stanowiła kwintesencję subtelnego wdzięku: usta nie za pełne, nosek prosty i kształtny, delikatnie zaznaczone policzki. A jednak to właśnie subtelny kształt policzków nadawał jej twarzy siłę, czysto intelektualną moc. Jej cera wyglądała na delikatną i gładką, najczystszą z nieskazitelnych karnacji, a szarość oczu jarzyła się ciemnym światłem.
Nie, nie mógłby strzelić; nie mógłby unicestwić tej rozkosznie pięknej kobiety. A jednak… A jednak musi ją przekonać, że może to zrobić. Stał tak, studiując powierzchnię jej mózgu, przemykające po niej malutkie odpryski myśli. Jej osłona miała te same cechy niecałkowitego ekranowania, którą już kiedyś zauważył u bezczułkowych slanów; wynikało to zapewne z ich niemożności czytania w myślach, a przez to i rozumienia, na czym polega dokładne ekranowanie.
Na razie nie mógł sobie pozwolić na śledzenie dobiegających od niej słabych wibracji pamięciowych. Liczyło się tylko to, że stali twarzą w twarz, on i ta potwornie niebezpieczna kobieta, każde z wycelowaną bronią, a wszystkie nerwy i mięśnie ich ciał trwały w najwyższym stopniu gotowości.
Kobieta odezwała się pierwsza: - To jest głupota - powiedziała. - Powinniśmy usiąść, położyć broń przed sobą na podłodze i omówić

sprawę. Usunie to nieznośne napięcie, a nasza sytuacja pozostanie taka sama.
Zaskoczyła go. Propozycja dowodziła słabości w obliczu niebezpieczeństwa, słabości, której nie zdradzało nic w wybitnie odważnej głowie i twarzy kobiety. Owa sugestia natychmiast wzmocniła siłę psychologiczną jego położenia, ale odczuwał podejrzenie; był przekonany, że ofertę trzeba rozpatrzyć pod kątem szczególnych zagrożeń.
- Ty miałabyś przewagę - odezwał się powoli. - Jesteś dorosłą slanka, twoje mięśnie mają lepszą koordynację. Możesz dosięgnąć twojej broni szybciej niż ja swojej.
Przytaknęła rzeczowo.
- To prawda. Ale w rzeczywistości to ty masz przewagę przez możliwość śledzenia co najmniej części moich myśli.
- Nic podobnego - skłamał gładko. - Kiedy stawiasz swoją zasłonę mentalną, to ekranowanie jest tak dokładne, że nie byłbym w stanie rozpoznać dostatecznie wcześnie twoich zamiarów.
Wypowiedziawszy te słowa uświadomił sobie, jak niedokładne było w rzeczywistości jej ekranowanie. Pomimo że cały czas koncentrował uwagę na niebezpieczeństwie, nie śledząc strumyczka myśli przesączających się poza jej osłonę, i tak wychwycił z nich dość, by uzyskać pobieżną, ale spójną charakterystykę kobiety.
Nazywała się Joanna Hillory. Pracowała jako etatowy pilot na Szlaku Marsjańskim, ale ta podróż miała być dla niej ostatnią na wiele miesięcy, a to dlatego, że niedawno poślubiła inżyniera stacjonującego na Marsie i teraz spodziewała się dziecka, zatem oddelegowano ją do zadań powodujących mniej obciążeń dla jej organizmu niż stałe działanie przyśpieszeń, jakim podlegała w czasie lotów kosmicznych.
Jommy poczuł ulgę. Skoro jest niedawno po ślubie i spodziewa się dziecka, to nie powinna być skora do desperackich kroków.
- No, dobrze, odłóżmy równocześnie broń i usiądźmy.
Kiedy broń leżała już na podłodze, Jommy zerknął na slankę; trochę go zastanowił wesoły uśmieszek igrający na jej ustach. Uśmiech rozszerzył się, teraz już wyraźnie ironiczny.
- Skoro już się rozbroiłeś - powiedziała cicho - przygotuj się na śmierć.
Jommy w skrajnym przerażeniu wytrzeszczył oczy na maleńki pistolet lśniący w jej lewej ręce. Musiała trzymać w ukryciu tę nie większą od zabawki broń, przez wszystkie chwile napięcia czekając z szyderczą pewnością na szansę jej użycia. Aksamitny, piękny niczym muzyka głos ciągnął:
- A więc dałeś się złapać na tę historyjkę o biednej pannie młodej z dzieciątkiem w drodze i czekającym zakochanym mężu! Dorosły gad nie byłby taki naiwny. I w związku z tym młody gad, na którego patrzę, umrze przez swoją niewyobrażalną głupotę.

Jommy Cross spoglądał na malutki pistolet trzymany tak mocno, tak pewnie, przez tę bezczułkową slankę. Pomimo szoku i konsternacji zdał sobie nagle sprawę ze scenerii swoich kłopotów, z płynnego, ogromnie szybkiego ruchu statku. Nie czuło się przyspieszenia, a tylko ów nieustanny pęd, lot do przodu, kilometr za kilometrem bez żadnych oznak, czy nadal są w atmosferze ziemskiej, czy już w przestrzeni kosmicznej.
Stał otępiały. Nie uległ przerażeniu, ale też zamiast jakiegoś planu miał w głowie totalną pustkę. Wszelką myśl o działaniu na razie wyparło z umysłu zrozumienie strasznej prawdy: przechytrzono go całkowicie. Ta kobieta użyła jego własnych ułomności, żeby go pokonać.
Musiała wiedzieć, że jej ekran mentalny jest niesprawny, dlatego powodowana zwierzęcym wprost sprytem przepuściła ową wzruszającą historyjkę, wymyśloną, by go przekonać, że nigdy, ach przenigdy nie odważyłaby się walczyć aż do końca. Teraz łatwo było zauważyć, iż jej odwaga miała jakość hartowanej stali, a o dorównaniu jej nie mógł nawet marzyć jeszcze przez wiele lat.
Posłusznie odsunął się na bok, tak jak nakazała groźnym gestem, i obserwował bacznie, jak schyliwszy się podniosła z podłogi broń, najpierw swoją, potem jego. Ale nawet na ułamek sekundy nie spuściła go z oczu, a wycelowana weń lufa ani drgnęła.
Schowała mały pistolet, którym go zwiodła; większy zostawiła w prawej ręce i nawet nie spojrzawszy na jego broń zamknęła ją w szufladzie pod błyszczącym pulpitem sterowniczym. Jej czujność nie pozostawiała nadziei, że mógłby wybiegiem skłonić ją do skierowania broni w bok. Ponieważ nie zastrzeliła go natychmiast, więc pewnie chciała najpierw z nim porozmawiać. Ale nie mógł pozostawić tej możliwości przypadkowi.
- Czy zrobi ci różnicę - przemówił głosem bez wyrazu - jeśli zadam ci parę pytań, zanim mnie zabijesz?
- Ja będę zadawać pytania - odparła chłodno. - Zaspokajanie twojej ciekawości niczemu nie służy. Ile masz lat?

- Piętnaście. Skinęła głową.
- Zatem jesteś na takim etapie umysłowego i emocjonalnego rozwoju, że uraduje cię odroczenie śmierci o każde kilka minut; poza tym, podobnie jak dorosły człowiek, zapewne ucieszysz się wiadomością, że dopóki będziesz odpowiadać na moje pytania, nie pociągnę za spust tego pistoletu elektrycznego, jakkolwiek ostateczny rezultat i tak się nie zmieni: mam na myśli twoją śmierć.
Jommy nie tracił nawet czasu na przemyślenie jej słów.
- Jak sprawdzisz, czy nie kłamię? - zapytał. Jej uśmiech świadczył o pewności siebie.
- Prawdę da się wywnioskować nawet z najsprytniejszych kłamstw. My, slani bezczułkowi, nie mając umiejętności czytania w myślach zostaliśmy z konieczności zmuszeni do rozwoju psychologii aż po granice możliwości. Ale to nieważne. Czy przysłano cię tutaj, żebyś ukradł statek?
- Nie.- No to kim jesteś? Po cichu opowiedział jej w skrócie historię swego życia. Zauważył, że w miarę jak opowieść się rozwija, oczy kobiety zwężają się, a zdumienie rysuje zmarszczki na jej czole.
- Czy chcesz przez to powiedzieć - przerwała mu ostro - że jesteś tym chłopczykiem, co sześć lat temu wszedł do głównego biurowca Centrum Lotniczego?
Skinął głową.
- Kiedy odkryłem, że zatrudnieni w Centrum są tak krwiożerczy, iż nawet dziecko chcieli natychmiast zlikwidować, doznałem szoku. To…
- Przerwał, bo oczy kobiety rozjarzyły się dziwnym ogniem.
- A więc nareszcie! - rzekła powoli. - Przez sześć długich lat prowadziliśmy dyskusje i analizy, niepewni, czy uczyniliśmy słusznie pozwalając ci uciec.
- Wy… pozwoliliście… mi… uciec… - wydukał. Nie zwróciła na to uwagi i mówiła dalej, jak gdyby nie usłyszała:
- Od tamtej pory cały czas czekaliśmy niecierpliwie na dalsze poczynania gadów. Byliśmy całkiem pewni, że nas nie zdradzą, ponieważ nie chcieliby, aby nasz największy wynalazek, statek kosmiczny, dostał się w ręce ludzi. Główne nasze pytanie brzmiało: co kryło się za owym pierwszym manewrem rozpoznawczym? Teraz mamy odpowiedź w postaci twojej próby porwania statku kosmicznego.
Oniemiały ze zdumienia Jommy przysłuchiwał się błędnej analizie. Ogarniał go lęk. Lęk nie mający nic wspólnego z niebezpieczeństwem grożącym jemu samemu. Chodziło o niepojętą bezsensowność tej wojny slanów przeciw slanom, wojny wprost niewyobrażalnie zawziętej. Joanna Hillory mówiła dalej ożywionym głosem, teraz zabarwionym nutą triumfu:
- To miło wiedzieć na pewno to, co od tak dawna podejrzewaliśmy; a

dowody są teraz wprost przytłaczające. Zbadaliśmy Księżyc, Marsa i Wenus. Dotarliśmy aż na księżyce Jowisza i ani razu nie widzieliśmy obcego statku kosmicznego czy choćby najmniejszego śladu gadów. Wniosek nasuwa się sam. Z jakiegoś powodu, zapewne dlatego, że zdradzające ich czułki zmuszały do ciągłego przemieszczania się z miejsca na miejsce, nigdy nie wynaleźli ekranów antygrawitacyjnych umożliwiających budowę statku kosmicznego. Cokolwiek było powodem, logika nieodparcie wskazuje na fakt, że gady nie opanowali podróży kosmicznych.
- Zaczynasz być nudna z tą swoją logiką - powiedział Jommy. - Aż się nie chce wierzyć, żeby slan mógł się tak mylić. Chociaż na sekundę zdobądź się na rozsądek i załóż, tylko załóż, że to, co opowiedziałem, jest prawdą.
Blady uśmiech ledwo musnął jej usta.
- Od początku istniały tylko dwie możliwości. Pierwszą już w zarysie przedstawiłam. Ta druga - iż rzeczywiście nie miałeś kontaktu ze slanami - ta druga martwiła nas od lat. Bo widzisz, jeśli przysłaliby cię slani, to znaczy, że już wiedzą, iż opanowaliśmy Centrum Lotnicze. Lecz gdybyś działał samodzielnie, to znając nasz sekret, prędzej czy później, kiedy, skontaktowałby ś się z gadami, stworzyłbyś dla nas zagrożenie. Krótko mówiąc, jeśli twoja opowieść jest prawdziwa, musimy cię zabić, by zapobiec temu, że kiedyś w przyszłości powiadomisz ich o naszej wybitnej wiedzy, a także dlatego, że z zasady nie pozostawiamy przypadkowi niczego, co dotyczy gadów. Tak czy owak możesz się uważać za martwego.
Jej słowa brzmiały brutalnie, głos lodowato. Ale Jommy uświadomił sobie, iż znacznie groźniejszy niż ton jej głosu był fakt, że dobro czy zło, prawda czy fałsz - nic dla tej kobiety nie znaczyły. Jego świat walił się w gruzy pod naporem myśli, iż jeśli owa niemoralność była sprawiedliwością slanów, to slani nie mieli do zaoferowania światu niczego, co mogłoby się mierzyć z wrażliwością, dobrocią i powszechną łagodnością ducha, które tak często znajdował w umysłach prostych ludzi. Jeśli tacy byli wszyscy dorośli slani, to sprawa wyglądała beznadziejnie.
Jego myśli dopóty krążyły wokół przerażającej, oszałamiającej otchłani bezsensownej waśni pomiędzy slanami, ludźmi i slanami bezczułkowymi, aż naszła go myśl bardziej ponura i straszna niż noc. Czyżby naprawdę mogło się zdarzyć, że wspaniałe marzenia i jeszcze wspanialsze dzieła jego ojca przepadną wśród pustych obszarów nicości, zniszczone i zrujnowane przez owo niepoczytalne bratobójstwo? Papiery zawierające tajne odkrycia ojca, które tak niedawno zabrał z katakumb, miał w kieszeniach; gdyby ta kobieta dopięła swego i zabiła go, zostałyby użyte i nadużyte przez okrutnych, bezlitosnych slanów bezczułkowych. Wbrew logice, wbrew pewności,

że nie uda mu się zaskoczyć dorosłego slana, musi przeżyć, by temu zapobiec.
Skupił wzrok na twarzy kobiety, zauważywszy na jej czole głębokie zmarszczki; zastanawiała się, co zresztą wcale nie obniżyło jej czujności. Zmarszczki znikły, gdy powiedziała:
- Rozważałam twój szczególny przypadek. Oczywiście mam prawo zlikwidować cię bez kontaktowania się z naszą Radą. Chodzi o to, czy problem, jaki sobą przedstawiasz, zasługuje na ich uwagę. A może wystarczy krótkie sprawozdanie? Nie chodzi tu o litość, toteż nie rób sobie nadziei.
A jednak nadzieja powróciła. Postawienie go przed Radą wymagało czasu, a czas oznaczał życie. Pospiesznie, lecz cały czas świadom, iż musi zachować spokój, powiedział:
- Muszę przyznać, że rozsądek mi odmawia posłuszeństwa na samą myśl o waśni pomiędzy slanami zwykłymi i bezczułkowymi. Czy wy sobie nie zdajecie sprawy, o ile by się poprawiła cała sytuacja slanów, gdybyście współpracowali z „gadami", jak ich nazywacie? Gady! Już samo to słowo jest dowodem intelektualnego bankructwa, przywodzi na myśl kampanię propagandową, pełną sloganów i pojęć emocjonalnych.
Jej oczy na nowo rozjarzyły się szarym ogniem, ale w głosie zabrzmiało zgrzytliwe szyderstwo:
- Może odrobina historii oświeci cię co do współpracy pomiędzy slanami. Slani bezczułkowi istnieją od prawie czterystu lat. Tak jak zwyczajni slani, są odrębną rasą; tylko tym różnią się od gadów, że rodzą się bez czułków. Dla bezpieczeństwa założyli osady w odległych rejonach świata, co do minimum zredukowało ryzyko ich odkrycia. Byli gotowi nawiązać całkowicie przyjazne stosunki ze slanami zwyczajnymi, sprzymierzyć się przeciw wspólnemu wrogowi - przeciw ludziom!
Jakież zatem było ich przerażenie, gdy stwierdzili, że są atakowani, mordowani, a ich pieczołowicie tworzona w izolacji cywilizacja niszczona ogniem i mieczem… przez zwyczajnych slanów! Moi pobratymcy podejmowali desperackie wysiłki, by nawiązać kontakt, by się zaprzyjaźnić - daremnie. W końcu odkryli, że tylko w kontrolowanych przez ludzi i przez to bardzo niebezpiecznych miastach mogą żyć w miarę spokojnie. Slani zwyczajni ze względu na zdradzające ich czułki nie odważyli się tam zapuszczać.
Gady! - Szyderstwo znikło z jej głosu; pozostała tylko głęboka gorycz. - Jakie inne słowo mogłoby tu lepiej pasować? Nie nienawidzimy ich; budzą w nas uczucie głębokiego zawodu i nieufność. Nasza polityka likwidowania ich wywodzi się ze zwykłej samoobrony, ale z czasem przerodziła się w okrutną, nieustępliwą postawę wobec wszystkich gadów.

- Ale z pewnością wasi przywódcy mogli z nimi porozmawiać o tych sprawach!
- Rozmawiać, z kim? Przez ostatnie trzysta lat nie zlokalizowaliśmy ani jednej kryjówki slanów zwyczajnych. Ujęliśmy kilku z tych, co nas atakowali. Kilku zabiliśmy w czasie pościgów. Ale nigdy nie udało się nam niczego o nich ustalić. Istnieją, ale jak i gdzie, jakie są ich cele - nie mamy zielonego pojęcia. To największa zagadka pod słońcem.
Jommy przerwał jej drżącym z napięcia głosem: - Jeśli to prawda, jeśli nie kłamiesz, to proszę cię, usuń na chwilę swój ekran, żebym mógł się upewnić, czy mówisz prawdę! Ja też uważałem tę waśń za szaleństwo, od kiedy tylko odkryłem, że są dwa rodzaje slanów i że prowadzą wojnę. Gdybym potrafił nabrać absolutnej pewności, że to szaleństwo jest jednostronne, to przecież mógłbym…
Głos ostry jak policzek przerwał jego słowa.
- Co mógłbyś? Pomóc nam? Czy ci się wydaje, że moglibyśmy dać wiarę twoim intencjom i puścić cię wolno? Im więcej mówisz, tym niebezpieczniejszy zaczynasz mi się wydawać. Zawsze zakładaliśmy, że gad przez swą zdolność czytania myśli jest od nas doskonalszy, i dlatego nie wolno dać mu czasu na przeprowadzenie ucieczki. Twa młodość uratowała cię na dziesięć minut, ale teraz kiedy znam już twoją opowieść, uważam pozostawienie cię przy życiu za bezcelowe. Co więcej, najwyraźniej nie ma żadnego powodu, by twój przypadek przedstawiać Radzie. Jeszcze jedno pytanie… a potem umrzesz!
Jommy spojrzał na nią ze złością. Teraz już nie czuł życzliwości, nie widział żadnego podobieństwa między tą kobietą a swoją matką. Jeśli mówiła prawdę, to powinien współczuć slanom bezczułkowym, a nie tajemniczym, nieuchwytnym slanom zwyczajnym, których działanie cechowało tak niepojęte okrucieństwo. Ale współczucie nie zmieniało faktu, że każde jej słowo wykazywało coraz dobitniej, jak niebezpiecznie byłoby dopuścić, by najpotężniejsza broń, jaką kiedykolwiek znał świat, wpadła w ów wrzący zaczyn piekielnej nienawiści. Musi się uratować, musi pokonać tę kobietę. Musi.
- Nim zadasz to ostatnie pytanie - rzekł pośpiesznie - zastanów się poważnie, jaka bezprecedensowa okazja wam się trafiła. Czyżbyś miała dopuścić, by nienawiść zaćmiła twój zdrowy rozsądek? Zgodnie z twoim oświadczeniem, po raz pierwszy w historii slanów bezczułkowych złapaliście slana z czułkami, który jest absolutnie przekonany, że dwa rodzaje slanów powinny współpracować, zamiast walczyć.
- Nie bądź głupi - powiedziała. - Wszyscy slani, jakich udało się nam złapać, byli gotowi wszystko obiecać.
Słowa te podziałały jak grad ciosów i Jommy Cross ugiął się pod nimi, czując, że przegrał, a jego argumentacja legła w gruzach. W swoich najskrytszych marzeniach zawsze wyobrażał sobie dorosłych slanów

jako szlachetne istoty, pełne godności, gardzące prześladowcami, świadome swej wspaniałej wyższości. A tu - gotowi wszystko obiecać! Pośpiesznie mówił dalej, desperacko usiłując poprawić swoją pozycję:
- To w niczym nie zmienia tej konkretnej sytuacji. Możecie sprawdzić praktycznie wszystko, co o sobie powiedziałem, że zabito moich rodziców. Że musiałem uciekać z domu starej zbieraczki śmieci, tej w sąsiednim pokoju, którą uderzyłaś w głowę; przedtem ukrywałem się u niej od dziecka. Wszystko będzie pasowało, co dowiedzie, że jestem tym, za kogo się podaję; zwyczajnym slanem, który nigdy nie miał żadnych związków z tajną organizacją slanów. Czy możesz tak łatwo zlekceważyć moją propozycję, taką okazję? Najpierw ty i twoi pobratymcy musicie mi pomóc w odnalezieniu slanów, potem ja działając jako łącznik nawiążę dla was kontakty, po raz pierwszy w waszej historii. Powiedz mi, czy odkryłaś kiedykolwiek, dlaczego slani zwyczajni was nienawidzą?
- Nie - odparła z wahaniem. - Trafiały się zabawne oświadczenia składane przez pojmanych slanów; wynikało z nich, że oni po prostu nie tolerują istnienia żadnej odmiany slanów. Przetrwać musi wyłącznie doskonałe dzieło maszyny Samuela Lanna.
- Maszyny… Samuela… Lanna! - Jommy raptownie doznał fizycznego wręcz rozdarcia, jakby wyrwano z korzeniami wątek jego myśli.
- Czy ty… Czy ty naprawdę… To znaczy, czy to prawda, że pierwszych slanów wyprodukowano maszynowo?
Spostrzegł, że kobieta przypatruje mu się z mocno ściągniętymi brwiami. Powiedziała wolno:
- Prawie zaczynam wierzyć w twoją historię. Myślałam, że każdy slan słyszał o tym, jak Samuel Lann użył na swojej żonie maszyny mutacyjnej. Później, podczas bezimiennego okresu, jaki nastąpił po wojnie slanów, maszyna mutacyjna wydała nowy gatunek: slana bezczułkowego. Czy twoi rodzice nie wiedzieli niczego o tych sprawach?
- To miało być moje zadanie - powiedział Jommy markotnie. - Miałem prowadzić badania, nawiązywać kontakty, a w tym czasie mama i tata mieli przygotować…
Ugryzł się w język, sam na siebie wściekły. To nie był moment na ujawnianie, że jego ojciec poświęcił życie nauce i nie chciał zmarnować ani jednego dnia na poszukiwanie slanów, co - jak sądził - mogło być długie i żmudne. Pierwsza wzmianka o nauce mogła naprowadzić tę wybitnie inteligentną kobietę na myśl, by zbadać jego broń. Najwyraźniej do tej pory uznawała ów przyrząd za odmianę swojej własnej broni elektrycznej.
- Jeśli te maszyny nadal istnieją - podjął - to wszystkie oskarżenia ludzi, że slany robią potworki z ludzkich dzieci - są słuszne.
- Widziałam trochę tych potworków - przyznała Joanna Hillory. - To

są oczywiście błędy. Jest ich całkiem sporo.
Jommy odnosił wrażenie, że szok mu już minął. Wszystko, w co tak długo wierzył, wierzył z pasją i dumą, waliło się jak domek z kart. Paskudne kłamstwa nie były kłamstwami. Ludzie walczyli z makiaweliczną plagą, wręcz niewyobrażalnie nieludzką. Dotarło do niego, że Joanna Hillory mówi dalej:
- Muszę przyznać, że niezależnie od mego przeświadczenia, iż Rada każe cię zlikwidować, argumenty, które przedstawiłeś, rzeczywiście stwarzają bardzo szczególną sytuację. Postanowiłam cię przedstawić Radzie.
Upłynęła dłuższa chwila, nim znaczenie jej słów dotarło do niego. A potem - potem ogarnął go dziki przypływ ulgi. Miał wrażenie, że pozbywa się jakiegoś nieznośnego ciężaru… Pojawił się szalony optymizm. Wreszcie miał to, czego tak rozpaczliwie potrzebował: czas, cenny czas! Skoro miał czas, nawet czysty przypadek mógł mu dopomóc w ucieczce.
Przypatrywał się, jak kobieta ostrożnie podchodzi do wielkiego pulpitu sterowniczego. Nacisnęła palcem guzik. Jej pierwsze słowa wzbiły się wysoko, aż ku wyżynom, gdzie zastygły jego nadzieje… i strąciły je na samo dno. Powiedziała:
- Wzywam członków Rady… Pilne… Proszę natychmiast połączyć się z 7431 w celu doraźnego osądzenia specjalnego przypadku slana.
Sąd doraźny! Był na siebie wściekły za jakiekolwiek nadzieje. Powinien był się domyślić, że fizyczne postawienie go przed Radą nie jest niezbędne, skoro ich technika radiowa eliminuje wszelkie zagrożenia powodowane taką zwłoką. Jeżeli członkowie Rady powodowali się tą samą logiką co Joanna Hillory, był załatwiony.
Na czas wyczekiwania zapadła cisza, cisza bardziej pozorna niż rzeczywista. Słychać było ciągły, wysoki, pulsujący ryk silników rakietowych i cichy świst powietrza na zewnętrznym pancerzu, oznaczający, że statek nadal leci przez gęste warstwy atmosfery ziemskiej. No i ten natarczywy strumień myśli Babuni - razem wzięte na pewno w niczym nie przypominało to ciszy.
Wrażenie rozprysło się na kawałki. Babunia. Aktywny, świadomy strumień myśli Babuni. Joanna Hillory przez to, że najpierw natknęła się na jego opór, a potem zamiast natychmiast go zabić zaczęła go przesłuchiwać, dała Babuni czas na dojście do siebie po ciosie, który - co teraz stało się oczywiste - miał służyć tylko osiągnięciu doraźnego celu, czyli podejściu go po cichu od tyłu. Cios śmiertelny mógł spowodować wyraźny odgłos, uchwytny dla czułych uszu młodego slana. Lekkie uderzenie poskutkowało, ale nie na długo. Stara przebudziła się. Jommy szeroko otworzył umysł dla nadpływających myśli Babuni.
- Jommy, ona zabije nas oboje. Ale Babunia ma plan. Daj jakiś znak,

że usłyszałeś. Tupnij nogą, Jommy. Babunia ma pomysł, co zrobić, żeby ona nas nie zabiła.
Raz po raz nadchodziła natarczywa wiadomość, nigdy dokładnie taka sama, zawsze w otoczeniu ubocznych myśli i niekontrolowanych dygresji. Żaden ludzki mózg tak tępy jak mózg Babuni nie był w stanie utrzymać całkowicie prostoliniowego toku myśli. Ale zasadnicza kwestia pozostawała ta sama. Babunia żyła. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. I była gotowa posunąć się do desperackich kroków, by to niebezpieczeństwo oddalić.
Jommy zaczął obojętnie postukiwać piętą w podłogę, mocniej, głośniej, aż…
- Babunia słyszy. - Przestał tupać; jej podniecone myśli nadpływały dalej: - Tak naprawdę, to Babunia ma dwa plany. Pierwszy jest taki, że Babunia zrobi głośny hałas. To przestraszy kobietę i da ci szansę rzucić się na nią. Potem Babunia ci pomoże. Drugi plan jest taki, że Babunia wstanie z podłogi, gdzie teraz leży, podkradnie się do drzwi, a potem, jak tamta będzie przechodzić koło drzwi, to się na nią rzuci. Ona się przestraszy, a ty będziesz mógł natychmiast na nią skoczyć. Babunia powie „jeden” a potem „dwa”; tupnij nogą po numerze planu, który uznasz za lepszy. Przemyśl se to przez chwilę.
Nie musiał myśleć. Plan numer jeden odrzucił natychmiast. Żaden głośny hałas nie był w stanie szarpnąć stalowymi nerwami slana. Napaść fizyczna, coś konkretnego, stanowiła jedyną nadzieję.
- Jeden! - powiedziała Babunia w myśli. Poczekał, z ironią wyczuwając w jej myślach echo niepokoju, beznadziejne złudzenie, że on uzna plan pierwszy za odpowiedni i przez to zmniejszy zagrożenie dla jej cennej skóry. Była jednak praktyczną starą wiedźmą, toteż głęboko w jej mózgu tkwiło przeświadczenie, że pierwszy plan jest kiepski. W końcu jej umysł niechętnie wypluł słowo „dwa”.
Jommy tupnął nogą. Równocześnie zauważył, że Joanna Hillory mówi do mikrofonu, przekazując jego historię i propozycję współpracy; skończywszy dodała swą własną opinię, że trzeba go zlikwidować.
Naszła go myśl, że kilka minut temu siedziałby z zapartym tchem, śledząc dyskusję i odpowiedzi, które zaczęły kolejno napływać z ukrytego głośnika. Niskie głosy mężczyzn; głębokie, energiczne głosy kobiet! Ale teraz prawie nie zwracał uwagi na przebieg ich dyskusji. Dotarło do niego, że zaistniała pewna różnica zdań. Jedna z kobiet chciała wiedzieć, jak się nazywa schwytany chłopak. Minęła dłuższa chwila, zanim skojarzył, że zwracają się bezpośrednio do niego.
- Twoje nazwisko? - powiedział głos z radia.
Joanna Hillory odsunęła się od odbiornika w stronę drzwi.
- Głuchy jesteś? - odezwała się ostro. - Ona chce wiedzieć, jak się nazywasz.
- Moje nazwisko? - powtórzył Jommy, częścią umysłu odczuwając

zaskoczenie tym pytaniem. Ale nic nie było w stanie rozproszyć go w tym kluczowym momencie. Teraz albo nigdy. Tupnął nogą i w tym momencie wszystkie uboczne myśli znikły z jego mózgu. Zdawał sobie tylko sprawę z tego, że Babunia stoi za drzwiami, z dobiegających od niej wibracji myślowych. Świadomość napięcia jej ciała, postawy gotowej do skoku i w ostatniej chwili - przerażenia. Czekał bezradnie, a ona tam stała; jej wyniszczone ciało zastygło jak porażone paraliżem.
W końcu dzięki tysiącom przestępczych eskapad, jakich dokonała podczas swego mrocznego życia, wykrzesała z siebie dość sił. Wpadła do sterowni; z ogniem w oczach i wyszczerzonymi zębami skoczyła Joannie Hillory na plecy. Jej cienkie ręce oplotły barki i ramiona slanki.
Broń w dłoni Joanny Hillory wypaliła z daremną furią w podłogę, krzesząc snop iskier. Zwinna jak kot, młoda kobieta obróciła się z niesamowitą siłą. Przez jedną rozpaczliwą chwilę Babunia wisiała na jej ramionach. To był ten jedyny potrzebny moment. W tym momencie Jommy skoczył.
Również w tej samej chwili rozległ się przeraźliwy wrzask Babuni. Jej szponiaste łapy nie wytrzymały morderczego szarpnięcia i wychudłe śniade ciało pojechało po podłodze.
Jommy Cross ani przez chwilę nie próbował sprostać sile, której dorównać z pewnością obecnie by nie zdołał. Gdy Joanna Hillory błyskawicznie odwracała się w jego stronę, zadał jej mocny, szybki cios kantem dłoni w kark. Był to niebezpieczny cios; wymagał doskonałej koordynacji nerwów i mięśni. Z łatwością mógł przetrącić jej kark, lecz zadany z wyczuciem, umiejętnie i skutecznie pozbawił ją przytomności. Jommy uchwycił padające ciało w locie; jeszcze nim zdążył złożyć je na podłodze, jego umysł już wnikał do jej mózgu poprzez resztki ekranu mentalnego, pośpiesznie szperając. Ale nieprzytomny mózg wibrował zbyt wolno, kalejdoskop obrazów zanadto znieruchomiał.
Zaczął nią delikatnie potrząsać, śledząc zmienny układ jej myśli, w miarę jak rytmiczne ruchy szybko wywoływały subtelne przemiany chemiczne w jej ciele, które z kolei zmieniały stan myśli kobiety. Nie było jednak czasu na szczegóły; kiedy z zarysu obrazów poczęło wyzierać coraz okropniejsze zagrożenie, raptownie zostawił ją i doskoczył do radia. Najspokojniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć, powiedział:
- Nadal jestem gotów omówić sprawę nawiązania przyjaznych stosunków. Mogę być bardzo pożyteczny dla slanów bez-czułkowych.
Żadnej odpowiedzi. Powtórzył swe słowa z większym naciskiem i dodał: - Zależy mi na nawiązaniu kontaktu z organizacją tak potężną jak wasza. Zwrócę wam nawet statek, jeśli tylko potraficie mi

wykazać, że zdołam się oddalić nie wpadłszy w pułapkę.
Cisza! Wyłączył radio i odwróciwszy się spojrzał posępnie na Babunię, na poły siedzącą, na poły leżącą na podłodze.
- No to klops - powiedział. - To wszystko: ten statek, ta slanka, to tylko elementy pułapki, w której niczego nie pozostawiono przypadkowi. Dokładnie w tej chwili ściga nas siedem ciężkozbrojnych stutysiąctonowych krążowników. Ich detektory reagują na nasze płyty antygrawitacyjne, więc nawet ciemność nie stanowi osłony. A więc już po nas.
Ciągnęły się nocne godziny, a z każdą upływającą chwilą problem, co dalej robić, stawał się coraz bardziej palący. Spośród czworga istot zawisłych na czarnogranatowym niebie tylko Babunia rozciągnęła się w niespokojnym śnie na jednym z pneumatycznych foteli. Dwoje slanów nie spało; nie spał też statek rwący niestrudzenie przed siebie z rykiem silników.
Fantastyczna noc! Z jednej strony świadomość istnienia niszczycielskiej potęgi, która w każdej chwili mogła uderzyć, z drugiej… Jommy Cross spoglądał zafascynowany na wideoekran, na przemykający pod nim cudowny obraz. A w dole rozlewał się ocean świateł, jarzących się w każdym kierunku, pokąd wzrok sięgał… Światła, światła i jeszcze raz światła. Kałuże, baseny, stawy, jeziora, oceany, światła - gospodarstwa rolne, wioski, miasteczka, miasta i co parę chwil kilometry i kilometry kolosalnego megalopolis. Wreszcie oderwał wzrok od wideoekranu i zwrócił się ku siedzącej ze skrępowanymi rękami i nogami Joanny Hillory. Jej szare oczy pytająco zareagowały na spojrzenie brązowych oczu chłopca. Nim zdążył się odezwać, powiedziała pierwsza:
- No i co, czy już postanowiłeś?- Czy co postanowiłem?- Kiedy mnie zabijesz, oczywiście.Jommy Cross powoli, surowo pokręcił głową. - Dla mnie - powiedział cicho - przerażającą rzeczą w twoich słowach jest nastawienie psychiczne oparte na założeniu, że każdy musi zadawać śmierć albo zginąć. Nie mam zamiaru cię zabić. Chcę cię uwolnić.
Milczała przez chwilę, a potem powiedziała: - W moim nastawieniu nie ma nic zaskakującego. Przez sto lat zwyczajni slani strzelali bez ostrzeżenia do mojego ludu; od czterystu lat my się im rewanżujemy. Cóż może być bardziej naturalnego?
Jommy niecierpliwie wzruszył ramionami. Nękało go zbyt wiele wątpliwości co do zwyczajnych slanów, by mógł teraz o nich dyskutować, skoro wszystkie myśli musiał skoncentrować na ucieczce.
- Nie interesuje mnie ta żałosna, bezcelowa wojna w trójkącie pomiędzy ludźmi i slanami - powiedział. - Teraz istotne są te krążowniki, które nas w tej chwili ścigają.
- Tym gorzej dla ciebie, że się o nich dowiedziałeś - powiedziała cicho

slanka. - Stracisz teraz czas dręcząc się bezcelowo i planując. O wiele lepiej byłoby, gdybyś tkwił w przekonaniu, że jesteś bezpieczny, a w pewnym momencie umarł odkrywszy, że jest inaczej.
- Jeszcze żyję! - cisnął Jommy i nagle w jego głosie ostro zabrzmiało zniecierpliwienie. - Nie wątpię, iż przekonanie, do którego właśnie dochodzę - że z tej pułapki musi być jakieś wyjście - trąci zarozumialstwem w ustach nie całkiem dojrzałego slana. Mam pełny szacunek dla inteligencji dorosłych slanów, ale też nie zapominam, że jak dotychczas twój gatunek doznał już kilku porażek. Na co, przykładowo, czekają tamte statki, skoro zlikwidowanie mnie jest takie pewne? Po co zwlekają?
Joanna Hillory roześmiała się; z jej ładnej, stanowczej twarzy zniknęło napięcie.
- Nie sądzisz chyba poważnie, że odpowiem na twoje pytania? Prawda?
- Zgadza się. - Uśmiechnął się, ale niezbyt radośnie. - Widzisz - ciągnął napiętym, urywanym głosem - cokolwiek wydoroślałem przez te kilka ostatnich godzin. Jeszcze poprzedniego wieczoru byłem bardzo naiwny, bardzo idealistyczny. Na przykład podczas tych pierwszych kilku minut, kiedy celowaliśmy do siebie z pistoletów, mogłaś mnie zlikwidować bez oporu z mojej strony. Dla mnie byłaś przedstawicielem rasy slanów, a wszyscy slani muszą ze sobą trzymać. Nie mógłbym wtedy pociągnąć za spust nawet za cenę życia. Przegapiłaś sprawę, oczywiście, bo chciałaś mnie przesłuchać - ale miałaś szansę. Teraz taka sytuacja już się nie powtórzy.
Śliczne usta kobiety ściągnęły się pod wpływem nagłej, dojmującej myśli.
- Chyba zaczynam rozumieć, o co ci chodzi.
- To bardzo proste - przytaknął poważnie Jommy Cross. - Albo odpowiesz na moje pytania, albo uderzę cię w głowę i uzyskam informacje z twego nieprzytomnego mózgu.
- A skąd byś wiedział, czy ci mówię praw… - zaczęła kobieta; przerwała, a jej oczy rozszerzyły się w przypływie zrozumienia. Cisnęła mu wściekłe spojrzenie. - Czyżbyś ty oczekiwał…
- No właśnie! - Spojrzał ironicznie w pałające nienawiścią oczy. - Opuścisz swój ekran mentalny. Oczywiście nie spodziewam się całkowicie swobodnego dostępu do twego mózgu. Nie mam zastrzeżeń do kontrolowania przez ciebie myśli w wąskim zakresie wokół danego tematu. Ale masz opuścić ekran - natychmiast!
Siedziała bardzo sztywno: ciało stężałe, szare oczy rozpłomienione odrazą. Jommy przypatrywał się jej z zaciekawieniem.
- Jestem zdumiony - powiedział. - Cóż za przedziwne układy tworzą się w mózgach pozbawionych bezpośredniej łączności z innymi. Czyżby slani bezczułkowi budowali w swych wnętrzach małe, tajemne

święte światy i jak każda wrażliwa ludzka istota wstydzili się dać komuś wgląd w taki światek? Przecież to jest temat do badań psychologicznych, które mogą ujawnić zasadniczą przyczynę wojny między slanami. Jednakże zostawmy to.

Pamiętaj - zakończył - że już byłem w twoim umyśle. Pamiętaj też, iż zgodnie z twoją logiką za kilka godzin zostanę ostatecznie unicestwiony w oślepiającym błysku miotaczy elektronowych.

- Oczywiście, że tak - rzekła pośpiesznie. - Przecież ty niebawem umrzesz. No dobrze, odpowiem na twoje pytania.

Umysł Joanny Hillory przypominał nieskończenie grubą księgę o prawie nieskończonej liczbie stron do zbadania; była to niesamowicie bogata, niesamowicie skomplikowana struktura usłana miliardem miliardów wrażeń zgromadzonych przez wybitnie spostrzegawczy intelekt na przestrzeni wielu lat. Jommy pochwycił szybkie, gorączkowe migawki z jej niedawnych przeżyć. Na moment pojawił się obraz niewyobrażalnie jałowej planety, piaszczystej, pagórkowatej, zamarzniętej - doszczętnie zamarzniętej: obraz Marsa! Mignęły widoki wspaniałego miasta pod szklanym dachem, olbrzymich maszyn wgryzających się w grunt przy świetle baterii oślepiająco jasnych reflektorów. Gdzieś szalała zamieć śnieżna, ze zjadliwą, nieziemską furią… i na chwilę mignął czarny statek kosmiczny, lśniący w słońcu jak klejnot, oglądany przez szybę z grubego pancernego szkła.

Zamęt myślowy uspokoił się, gdy zaczęła mówić. Mówiła powoli, a on nie próbował jej poganiać, wbrew swemu przeświadczeniu, że liczy się każda sekunda, że lada moment na jego bezbronny statek może się z nieba zwalić śmierć. Jej słowa i weryfikujące je myśli olśniewały precyzją jak po mistrzowsku oszlifowane klejnoty.

Slani bezczułkowi wiedzieli już od momentu, gdy zaczął się wspinać po ścianie, że pojawił się intruz. Choć mogli go bez trudu zlikwidować, nie przedsięwzięli nic, by go zatrzymać, zainteresowani przede wszystkim celem jego działań. Specjalnie dla niego pozostawili otworem kilka wejść do statku, a on skorzystał z jednego z nich, jakkolwiek - i tu pojawił się niewiadomy i niespodziewany czynnik - urządzenia alarmowe przy tym konkretnym wejściu nie zadziałały.

Jednostki bojowe nie zlikwidowały go od razu, bo zawahano się przed użyciem reflektorów do lokalizacji celu nad tak gęsto zaludnionym kontynentem. Gdyby jego statek wzbił się dostatecznie wysoko lub poleciał nad ocean, zostałby bezzwłocznie zniszczony. Z drugiej strony, gdyby postanowił krążyć nad kontynentem, za około dwanaście godzin skończy mu się paliwo, a jeszcze wcześniej wstanie świt umożliwiając krążownikom użycie miotaczy elektronów z błyskawicznym morderczym skutkiem.

- Przypuśćmy - powiedział Jommy - że wyląduję w śródmieściu jakiegoś wielkiego miasta. Najprawdopodobniej zdołałbym uciec w

takiej gęstwinie domów, wieżowców i ludzi.
Joanna Hillory pokręciła głową.
- Jeśli prędkość tego statku spadnie poniżej trzystu kilometrów na godzinę, zostanie zniszczony niezależnie od związanego z tym ryzyka, niezależnie od tego, że mają nadzieję uratować mi życie poprzez ujęcie nienaruszonego statku. Widzisz, że jestem z tobą zupełnie szczera.
Jommy milczał. Został przekonany, przytłoczony rozmiarami niebezpieczeństwa. W planie tamtych nie kryła się żadna chytrość. Opierał się on wyłącznie na zaufaniu do ciężkich miotaczy, bardzo wielu ciężkich miotaczy.
- I to wszystko - zdumiał się wreszcie - z powodu jednego żałosnego slana, jednego statku. Jakże potężny musi być strach, który skłania do takich wysiłków, takich kosztów za tak niewiele w zamian!
- Wyjęliśmy gady spod naszego prawa - usłyszał chłodną odpowiedź. Jej szare oczy płonęły spokojnym ogniem, a umysł skupił się na ciągu wypowiadanych słów:
- Ludzkie sądy nie zwalniają podejrzanych tylko dlatego, że więzienie ich będzie kosztować więcej niż wart był przedmiot kradzieży. Poza tym to, co ty skradłeś, jest tak cenne, że gdyby udało ci się uciec, byłaby to największa katastrofa w naszej historii.
Zniecierpliwił się nagle.
- Zbyt pochopnie zakładacie, że zwyczajni slani nie są jeszcze w posiadaniu tajemnicy antygrawitacji. Moje zadanie na najbliższe lata, to odnaleźć kryjówkę zwyczajnych slanów. Mogę ci już teraz powiedzieć, że praktycznie nic z tego, co mi powiedziałaś, nie stanowi dla mnie dowodu. Już sam fakt, że są tak dokładnie ukryci, wskazuje na ich olbrzymie możliwości.
- Nasze rozumowanie jest bardzo proste - powiedziała Joanna Hillory.
- Nie widzieliśmy ich nigdy w rakietach - a zatem nie mają statków rakietowych. Nawet wczoraj, podczas tego bezsensownego przelotu nad pałacem, ich pojazd, chociaż bardzo ładny, napędzany był pulsacyjnymi silnikami odrzutowymi - jakie my zarzuciliśmy sto lat temu. Rozum, podobnie jak nauka, polega na dedukcji opartej na spostrzeżeniach, a zatem…
Jommy Cross zmarszczył markotnie brwi. Wszystko, co wiązało się ze slanami, było złe. Byli głupcami i mordercami. Zapoczątkowali bezsensowną, okrutną bratobójczą wojnę ze slanami bezczułkowymi. Krążyli cichaczem po świecie, poddając matki ludzkich dzieci działaniu diabolicznej maszyny mutacyjnej, a szpitale likwidowały potem wynikłe z tego potworki. Obłędna, bezcelowa destrukcja! To po prostu nie trzymało się kupy!
To nie pasowało do szlachetnego charakteru jego ojca i matki. Nie pasowało do geniuszu ojca ani do faktu, że on sam, przeżywszy sześć

lat pod wpływem plugawego umysłu Babuni, pozostał mimo to nieskażony, nietknięty. No i wreszcie nie pasowało to do faktu, iż on, na poły dorosły zwyczajny slan, poradził sobie z pułapką, której istnienia nawet nie podejrzewał, i dzięki jednej luce w sieci, jednemu nieznanemu im czynnikowi, jak dotąd uniknął ich zemsty.
Jego miotacz atomowy! Jedyny czynnik, którego istnienia nadal się nie domyślali. Oczywiście byłby bezużyteczny przeciw krążownikom bojowym, lawirującym za nim w ciemności. Zbudowanie miotacza o strumieniu wystarczająco potężnym, by sięgnąć tamtych statków i rozerwać je na strzępy, zajęłoby rok albo i więcej. Ale jedno jego miotacz potrafił: rozpylał niszczącym płomieniem na składowe atomy to, czego mógł sięgnąć.
Na Boga! Znalazł wyjście, jeśli tylko będzie miał czas i odrobinę szczęścia.
Wideoekrany zalał blask reflektora. Równocześnie statek podskoczył jak zabawka porażona straszliwym ciosem. Jęknął metal, zadrżały ściany, przygasły światła; gdy po chwili morderczy łoskot opadł do poziomu groźnych poszeptów, Jommy odbił się z głębi fotela, gdzie go wcisnęło, i walnął w dźwignię odpalania silników rakietowych.
Rakieta skoczyła naprzód z oszałamiającym przyspieszeniem. Pokonując napór miażdżącego przeciążenia sięgnął do pulpitu i włączył radio.
Bitwa się rozpoczęła; jeśli nie zdoła ich namówić do zaniechania działań, to szansa na realizację tego jednego jedynego pomysłu nigdy nie zaistnieje. Głęboki, melodyjny głos Joanny Hillory jak echo powtórzył myśl kołaczącą się w jego mózgu:
- Co chcesz zrobić? Przekonać ich, by zaniechali swoich planów? Nie bądź głupi. Jeśli w końcu zdecydowali się mnie poświecić, to chyba sobie nie wyobrażasz, że wezmą pod uwagę twoje dobro - nie sądzisz?

11

Na zewnątrz ciemne nocne niebo. Zimny blask gwiezdnego pyłu pośród bezksiężycowej nocy. Ani śladu wrogiego statku, nawet cienia, nawet ruchu na tle bezmiaru wysklepionego, granatowoczarnego nieboskłonu.
Wewnątrz napiętą ciszę panującą w sterowni strzaskał stłumiony, chrapliwy okrzyk z sąsiedniej kabiny. Podążyła za nim wściekła kanonada złorzeczeń. Babunia obudziła się.
- Co się dzieje? Gdzie ja jestem?
Chwila ciszy, potem raptowny koniec złości i obłędny przypływ paniki. Natychmiast trysnęły wściekłą falą jej zatrwożone myśli. Zrodzone z przerażenia ohydne przekleństwa wypełniły atmosferę. Babunia nie chce umierać. Zabijcie wszystkie slany, ale nie Babunię. Babunia ma forsę na…

Była pijana. Sen umożliwił trunkowi ponownie przejąć nad nią kontrolę. Jommy odciął się mentalnie od jej myśli i głosu. Stanowczo przemówił do mikrofonu:
- Wzywam dowódcę okrętów wojennych! Wzywam dowódcę! Joanna Hillory żyje. Zgadzam się wypuścić ją o świcie, pod jednym tylko warunkiem: dacie mi ponownie wystartować.
Zapadła cisza, a potem w sterowni rozległ się cichy głos kobiecy:- Joanno, jesteś tam?- Jestem, Marion. - A więc dobrze - ciągnął spokojny głos tamtej. - Zgadzamy się, pod następującymi warunkami: na godzinę przed lądowaniem powiadomisz nas, gdzie nastąpi. Miejsce lądowania musi być oddalone co najmniej o pięćdziesiąt kilometrów - czyli pięć minut, uwzględniając rozpędzenie i hamowanie - od najbliższego dużego miasta. Oczywiście zakładamy, że wierzysz w możliwość ucieczki.
W porządku. Dostaniesz szansę w postaci dwóch dodatkowych godzin. My będziemy mieli Joannę Hillory. Uczciwa zamiana!
- Zgadzam się - powiedział Jommy.
- Zaczekaj! - krzyknęła Joanna Hillory. Ale Jommy Cross był dla niej za szybki. Na sekundę zanim słowo wyrwało się z jej ust, pstryknął przełącznik radia.
Błyskawicznie odwrócił się w jej stronę.
- Nie powinnaś była stawiać ekranu mentalnego. Innego ostrzeżenia nie potrzebowałem. Ale miałem cię tak czy inaczej; gdybyś nie postawiła ekranu, przechwyciłbym myśl z twojego mózgu. - Zerknął na nią podejrzliwie. - A cóż to za nagły, szaleńczy poryw, by poświęcić się tylko po to, żeby odebrać mi te dodatkowe dwie godziny życia?
Milczała. Przez całą noc jej szare oczy nie były tak czujne jak w tym momencie. Jommy pozwolił sobie na subtelne szyderstwo:
- Czyż to możliwe, byś naprawdę dopuszczała możliwość, że uda mi się uciec?
- Zastanawiałam się - odparła - dlaczego tam, w hangarze, alarmy nie uprzedziły nas, z której konkretnie strony zbliżyłeś się do statku. Dowodzi to istnienia jakiegoś czynnika, którego najwyraźniej nie wzięliśmy pod uwagę. Gdybyś rzeczywiście uciekł z tym statkiem…
- Owszem, ja ucieknę - powiedział cicho Jommy Cross. - I będę żyć wbrew ludziom, wbrew Kierowi Grayowi i Johnowi Petty’emu, wbrew upiornej ekipie morderców mieszkających w pałacu. Przeżyję mimo potęgi organizacji slanów bezczułkowych, mimo ich morderczych zamiarów. I któregoś dnia odnajdę zwyczajnych slanów. Jeszcze nie teraz, bo młodzik nie może liczyć na sukces tam, gdzie całe tysiące slanów bezczułkowych doznały porażki. Ale ja ich odnajdę i tego dnia… - Przerwał, po czym dodał poważnie: - Joanno Hillory, zapewniam cię, że ani ten, ani żaden inny statek nie będzie użyty przeciw twemu ludowi.

- Chyba nie przemyślałeś tego, co mówisz. - W jej głosie nagle zabrzmiała nuta goryczy. - Jak możesz zapewniać o czymkolwiek w imieniu tych bezlitosnych osobników, co zdominowali władze gadów?
Jommy przyjrzał się jej uważnie. Jej słowa brzmiały prawdziwie. A mimo to coś z wielkości, która miała stać się jego udziałem, spłynęło nań właśnie w tej chwili, gdy tak siedział wygodnie rozparty w cudownie skonstruowanym fotelu, we wnętrzu precyzyjnie zbudowanej sterowni z błyszczącym pulpitem sterowniczym i lśniącymi wideoekranami. Wszak był synem swego ojca, dziedzicem wytworów jego geniuszu. Mając czas, stanie się panem potęgi, której nic nie zdoła się oprzeć. Gdy przemówił, w jego głosie tlił się subtelny żar owych myśli:
- Joanno Hillory, przy całej swej skromności muszę stwierdzić, że żaden ze wszystkich żyjących w tej chwili na świecie slanów nie jest ważniejszy od syna Petera Crossa. Gdziekolwiek pójdę, moje słowa i moja wola zostaną wzięte pod uwagę. W dniu, gdy odnajdę zwyczajnych slanów, wojna z wami zakończy się na zawsze. Powiedziałaś, że moja ucieczka byłaby katastrofą dla slanów bezczułkowych; przeciwnie: ona będzie ich największym zwycięstwem. Kiedyś wszyscy zdacie sobie z tego sprawę.
- A na razie - uśmiechnęła się posępnie slanka - masz dwie godziny, żeby uciec siedmiu krążownikom należącym do rzeczywistych władców Ziemi. Wygląda na to, że nie zdajesz sobie sprawy, iż w rzeczywistości nie obawiamy się ani ludzi, ani gadów; że ogrom naszej organizacji przekracza wszelkie wyobrażenia. W każdej wiosce, każdym mniejszym i większym mieście jest pewna liczba slanów bezczułkowych. Znamy swoją potęgę i któregoś dnia wyjdziemy z ukrycia, przejmiemy władzę i…
- To będzie oznaczało wojnę! - wybuchnął Jommy. Jej odpowiedź zionęła chłodem:
- Zniszczymy wszystko, co mają, w dwa miesiące.
- A co potem? Co będzie z ludźmi w tym późniejszym świecie? Jak sobie wyobrażacie cztery miliardy wiecznych niewolników?!
- Przecież jesteśmy od nich niewspółmiernie doskonalsi. Czy to my mamy bez końca żyć w ukryciu, znosić niewygody życia na zimniejszych planetach, skoro tęsknimy za zieloną Ziemią i zakończeniem tej wiecznej walki z naturą… i z ludźmi, których tak dzielnie bronisz? Nie zawdzięczamy i m niczego prócz cierpień. Okoliczności zmuszają nas do odpłacenia z nawiązką!
- Według mnie to się skończy dla wszystkich katastrofą - powiedział Jommy. Slanka wzruszyła ramionami i mówiła dalej:
- Ów czynnik, który zadziałał na twoją korzyść wtedy, w Centrum Lotniczym, kiedy nasze pasywne nastawienie polegało na oczekiwaniu na rozwój wydarzeń, najpewniej nie będzie ci w stanie pomóc teraz,

kiedy nasze nastawienie jest krańcowo dynamiczne i zmierza do zlikwidowania ciebie przy użyciu najcięższej broni. Minuta ognia strawi ten statek na popiół, który opadnie na ziemię jako obłoczek drobniutkiego pyłu.
- Tylko minuta! - wykrzyknął Jommy. Zamurowało go. Nawet mu się nie śniło, że margines czasu będzie tak wąski i że przyjdzie mu się teraz zdać na niepewne założenie psychologiczne, iż prędkość rozwijana przez jego statek uśpi podejrzenia tamtych.
- Dość tego głupiego gadania - rzucił ostro. - Teraz muszę cię zanieść do kabiny obok. Będę mocować uchwyt w czubie statku i nie chcę, żebyś widziała, co w nim umieszczę.
Na chwilę przed lądowaniem Jommy dojrzał na zachodzie światła miasta. Potem widok roziskrzonego morza blasku przesłoniło mu zbocze doliny. Rakieta delikatnie jak puszek dotknęła powierzchni ziemi i kiedy Jommy nastawił płyty antygrawitacyjne na utrzymanie równowagi, zawisła nad nią z nieziemską nieważkością. Pstryknął przełącznikiem; drzwi się otworzyły. Rozwiązał slankę.
Z jej elektrycznym pistoletem w ręce (swoją własną broń włożył w uchwyt zainstalowany w czubie statku) obserwował Joannę Hillory, która na moment zastygła w drzwiach. Od wschodu nad pagórkami wstawał świt; wciąż jeszcze mdłe szare światło dziwacznie obrysowywało jej muskularną, zgrabną figurę. Bez słowa zeskoczyła na ziemię. Podchodząc do krawędzi włazu widział na poziomie dolnej części otworu jej włosy oświetlone blaskiem padającym z wnętrza statku.
Odwróciła się; na skierowanej ku niemu twarzy malowała się głęboka powaga.
- Jak się czujesz? - zapytała. Wzruszył ramionami.
- Trochę roztrzęsiony, ale śmierć wydaje mi się czymś odległym; czymś, co mnie nie dotyczy.
- To coś więcej - powiedziała poważnie. - System nerwowy slana to twierdza prawie nie do zdobycia. W rzeczy samej nie może go dotknąć szaleństwo, „nerwy” czy panika. Gdy zabijamy, jest to taktyka wynikająca z żelaznej logiki. Kiedy śmierć zagraża naszym życiom osobniczym, godzimy się z sytuacją i walczymy do końca, w nadziei, że ujawni się nieprzewidziany czynnik mogący nas uratować, aż wreszcie opornie oddajemy ducha, ze świadomością, iż nie żyliśmy na próżno.
Popatrzył na nią ze zdumieniem, mentalnie wnikając w jej myśli, sondując delikatnie pulsujące echa, brzmiącą w jej głosie dziwną półprzyjaźń, która także wypływała z jej umysłu. Przymrużył oczy. Jaki zamysł kształtował się w tym czujnym, wrażliwym, nieskorym do sentymentów mózgu? Mówiła dalej:
- Może cię to zdziwi, Jommy, że zaczęłam wierzyć w twoją historię - i

to nie tylko, że jesteś tym, za kogo się podajesz, ale także, iż rzeczywiście wyznajesz ideały, które zadeklarowałeś. Jesteś pierwszym zwyczajnym slanem, jakiego spotkałam, i po raz pierwszy w życiu doznałam ulgi, jak gdyby po upływie stuleci złowrogi mrok począł rzednąć. Błagam cię - jeśli ujdziesz naszym miotaczom, pozostań wierny swym ideałom w miarę dorastania i nie zdradź nas, proszę. Nie stań się narzędziem istot, które przez tak wiele, wiele lat posługiwały się tylko morderstwami i zniszczeniem. Wniknąłeś do mojego umysłu i wiesz, że ci o nich nie kłamałam. Ich filozofia, choćby nie wiem jak logiczna, jest błędna, ponieważ jest nieludzka. Musi być błędna, bo owocowała nieprzerwanym pasmem cierpień.
Gdyby uciekł! A więc to o to chodzi! Jeśli ucieknie, będą zdani na jego łaskę, i dlatego ze wszystkich sił tak do niego apelowała.
- Ale pamiętaj jedno - ciągnęła. - Nie możesz się spodziewać od nas żadnej pomocy. W imię naszego bezpieczeństwa musimy uważać cię za wroga. Zbyt wiele od tego zależy; losy zbyt wielu osób są w to wplątane. Zatem nie spodziewaj się, że kiedyś w przyszłości możesz liczyć na naszą litość przez to, co przed chwilą powiedziałam, czy dlatego, że mnie uwolniłeś. Ostrzegam cię, Jommy, nie wchodź nam w drogę, bo to oznacza nagłą śmierć.
Bo widzisz, zakładamy, że zwyczajni slani dysponują inteligencją większą od naszej czy raczej wyższym stopniem rozwoju inteligencji dzięki ich zdolności do czytania w myślach. Naszym zdaniem żaden wybieg nie jest poza zasięgiem ich możliwości, żadne okrucieństwo poza ich moralnością. Można się po nich spodziewać działań przynoszących wyniki dopiero po trzydziestu czy nawet stu latach. Dlatego - chociaż wierzę w to, co mi powiedziałeś - gdyby było to w mojej mocy, zabiłabym cię tu, w tej chwili, nie mając pewności, kim zostaniesz, kiedy podrośniesz. Przenigdy nie wystawiaj na próbę naszej dobrej woli. Kierujemy się podejrzliwością, a nie tolerancją. A teraz żegnaj, i - choć może to zabrzmieć paradoksalnie - powodzenia!
Patrzył, jak szybkim, lekkim krokiem weszła w gęstą ciemność zalegającą od zachodu nad doliną; szła w stronę miasta - czyli tam, dokąd i on się wybierał. Po chwili jej sylwetka była już tylko cieniem pośród lepkiego, nocnego oparu. Zniknęła za wzgórzem.
Pośpiesznie zamknął drzwi, wpadł do magazynu i porwał ze ściany dwa skafandry kosmiczne. Starucha zabełkotała coś, słabo protestując, kiedy wtłaczał ją siłą w jeden z nich. Dopinając swój wpadł do sterowni.
Zatrzaskując drzwi ujrzał jeszcze za szybką hełmu grymas otrzeźwienia, który wykrzywił twarz Babuni, i w sekundę siedział już w fotelu, wpatrując się w napięciu w wideoekran pokazujący niebo. Wyciągnął rękę ku aktywatorom płyt antygrawitacyjnych… i tu się zawahał; opadły go wątpliwości, narastające z każdą sekundą

nieubłaganie zbliżającą początek akcji. Czyżby jego prosty plan mógł się rzeczywiście powieść?
Jommy widział tamte statki - maleńkie, ciemne kropeczki na niebie, dokładnie nad nim. Tam, w górze świeciło słońce - strumień światłości uwydatniający drobniutkie cygarowate kształty, widoczne jak liczne ślady po muchach na ogromnym błękitnym sklepieniu. Chmury i opar nad doliną rozpraszały się z magiczną szybkością i jeśli wyrazistość, z jaką widział je na wideoekranach, stanowiła jakieś kryterium, to nawet pogoda była przeciw niemu. Pozostawał jeszcze w cieniach tej rozkosznej, pustej dolinki, ale za kilka minut właśnie piękno wstającego dnia zacznie rujnować jego szansę na ucieczkę.
Jommy skupił się tak intensywnie, że przez chwilę zniekształcona myśl wpływająca do jego mózgu wydawała mu się jego własną.
- …nie trza się martwić. Babunia pozbędzie się slana. Skombinuje trochę kosmetyków i zmieni sobie twarz. Nie po to się było aktorką, żeby nie umieć zmienić rysopisu. Babunia zrobi sobie bielutkie, milusie ciałko, jakie miała dawniej, i zmieni tę starą twarz. Brrr!
Brzmiało to tak, jakby splunęła z obrzydzeniem na myśl o swojej twarzy; Jommy uwolnił myśli od tego obrazu. Zwrócił jednak uwagę na jej słowa. Jego rodzice używali peruk, ale konieczność przygniatania i ciągłego przycinania naturalnych włosów sprawiały wiele kłopotów. Tym niemniej zwyczajni slani musieli na pewno robić to cały czas; teraz gdy był już dostatecznie dorosły, by skutecznie sobie z tym poradzić wykorzystując doświadczenie i pomoc Babuni - to mogło okazać się dobrym rozwiązaniem.
Dziwne - kiedy tylko zaczął snuć plany na przyszłość, wahanie zniknęło. Statek oderwał się od ziemi leciutko jak piórko i kiedy rakiety odpaliły, natychmiast ruszył z olbrzymią prędkością. Pięć minut na przyspieszenie, pięć na hamowanie, powiedział dowódca slanów. Jommy Cross uśmiechnął się posępnie. Wcale nie zamierzał hamować. Nie zmniejszając szybkości zanurkował ku rzece tworzącej szerokie, czarne rozlewisko na przedmieściach miasta; miasta, które wybrał dlatego, że przepływała przez nie rzeka. Dopiero w ostatnim momencie dał pełne hamowanie.
I w tym ostatnim momencie, kiedy było już za późno, dowódcy slanów najwyraźniej musieli stracić pewność siebie. Zapomnieli o wahaniach przed użyciem miotaczy i pokazywaniem statków tak blisko ludzkich siedzib. Krążowniki zleciały się jak wielkie sępy i ze wszystkich siedmiu trysnęły wiązki ognia… Jommy Cross delikatnie pociągnął drut, który naciskał spust jego własnej broni znajdującej się w uchwycie na dziobie statku.
Gwałtowny cios z zewnątrz dodatkowo pchnął statek pędzący z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę; Jommy wszakże ledwie zauważył ten jedyny efekt ognia slanów. Skupił uwagę na własnej

broni. Gdy pociągnął za drut, rozbłysło oślepiające białe światło. Równocześnie w grubym dziobie statku zniknął kolisty fragment o średnicy kilkudziesięciu centymetrów. Do przodu trysnął biały, zjadliwy, rozchodzący się lejkowato płomień, unicestwiając wodę przed statkiem kosmicznym, który wśliznął się w powstały przed nim tunel, hamując z całą potworną mocą dysz czołowych.
Ekrany pociemniały od wody poniżej i powyżej, potem jeszcze bardziej, kiedy woda się skończyła, a niewyobrażalnie potężny rozbijacz atomów wwiercał się niepowstrzymanie dalej w grunt dna rzeki, coraz głębiej i głębiej.
Przypominało to lot przez powietrze, tyle że nie czuło się żadnego oporu prócz ciśnienia gazów wylatujących z dysz silników rakietowych. Atomy ziemi rozbite na części składowe natychmiast traciły swą czysto matematyczną masywność i przybierały rzeczywistą postać przestrzeni wypełnionej śladowymi resztkami materii. Ściskane od dziesięciu milionów milionów lat siłami kohezji, rozpadały się do stanu pramaterii.
Jommy Cross bez zmrużenia oka wpatrywał się w sekundową wskazówkę zegarka: dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści… minuta. Zaczął unosić dziób statku ku górze, ale olbrzymie przeciążenie powodowane hamowaniem uniemożliwiało fizyczną zmianę kierunku. Dopiero po następnych trzydziestu sekundach wygasił część dysz i zbliżał się do końca jazdy.
Po dwóch minutach i dwudziestu sekundach podziemnego lotu statek się zatrzymał. Znajdował się gdzieś blisko centrum miasta, a za sobą miał około dwunastu kilometrów tunelu, do którego wlewała się teraz woda ze skatowanej rzeki. Woda na pewno zakryła otwór, ale nikt nie musiał tłumaczyć zawiedzionym bezczułkowym slanom, co się stało. Poza tym ich przyrządy powinny już w tej chwili wskazywać umiejscowienie statku.
Jommy roześmiał się radośnie. Niech sobie wiedzą. Co mu teraz mogą zrobić? To prawda, czekały go jeszcze niebezpieczeństwa - poważne niebezpieczeństwa, zwłaszcza kiedy on i Babunia dotrą na powierzchnię. Już teraz cała organizacja slanów bezczułkowych jest pewnie zaalarmowana. Tym niemniej to dotyczyło przyszłości. Na razie zwycięstwo należało do niego i smakowało słodko, po tylu rozpaczliwie męczących godzinach. A teraz plan Babuni, zakładający, że ma się od niej oddzielić i ucharakteryzować.
Uśmiech zniknął z jego twarzy. Przez chwilę siedział myśląc; potem wstał i bezszelestnie wśliznął się do sąsiedniego pomieszczenia. Czarna torba z pieniędzmi leżała na podołku staruchy, chroniona jej szponiastą łapą. Nim zdążyła sobie uświadomić jego zamiar, już ją miał. Babunia zawrzasnęła i skoczyła na niego z pazurami. Powstrzymał ją spokojnie.

- Nie podniecaj się tak. Zdecydowałem się przyjąć twój plan. Spróbuję dać sobie radę w charakteryzacji człowieka i rozdzielimy się. Dam ci z tego pięć tysięcy. Resztę dostaniesz mniej więcej za rok. Oto co masz zrobić: potrzebuję mieszkania, więc udasz się w góry i kupisz jakieś ranczo czy coś. Kiedy się już osiedlisz, daj ogłoszenie do lokalnej gazety. Ja zamieszczę odpowiedź i połączymy się. Forsę zatrzymuję na wypadek, gdyby ci przyszło do głowy mnie wykiwać. Daruj, ale to ty mnie na początku złapałaś, więc nie masz innego wyjścia: musisz trzymać ze mną. A teraz muszę iść do tyłu i zablokować tunel. Kiedyś wyposażę ten statek w napęd atomowy i nie chcę, żeby mi tu ktoś tymczasem szperał.
Powinien szybko opuścić to miasto, miasto stanowiące oczywiście w tym momencie pierwszy etap podróży dookoła kontynentu. Gdzieś tam muszą być inni slani z czułkami. Tak jak jego matka i ojciec spotkali się przypadkowo, tak i on powinien spotkać przez czysty przypadek co najmniej jednego slana. A poza tym należało dokonać pierwszych badań w ramach wciąż nie do końca sprecyzowanego, acz wielkiego zamierzenia, które dojrzewało w jego głowie. Zamierzenia, by myślą dotrzeć do zwyczajnych slanów.

12

Szukał - i pracował. Na położonym w dolinie ranczu Babuni, w ciszy jego ukrytego laboratorium pomysły i projekty wpisane mu przez ojca pod hipnozą powoli stawały się rzeczywistością. Poznał sto metod wykorzystywania nieograniczonej energii, nad którą sprawował powiernictwo w imię dobra tak slanów, jak i ludzi.
Odkrył, że skuteczność wynalazku ojca wynika z dwóch podstawowych faktów: źródło energii mogło być maleńkie - wystarczało kilkadziesiąt miligramów materii - a jej emisja nie musiała następować w formie ciepła.
Dawała się przekształcać w ruch, drgania i promieniowanie oraz - bezpośrednio - w elektryczność.
Zaczął budować sobie arsenał. Górę w pobliżu rancza przekształcił w fortecę, mając wprawdzie świadomość, iż nie oparłaby się skoncentrowanemu atakowi - ale zawsze to było coś. Chroniony przez coraz to obszerniejszą wiedzę wprowadził swe poszukiwania w bardziej zdecydowaną fazę.
Można było odnieść wrażenie, że Jommy Cross jest zawsze w podróży, bądź to goniąc po lśniącej nitce autostrady odległy horyzont, bądź objeżdżając obce miasta, wszystkie podobnie zatłoczone bezkresnymi rzeszami ludzi. Słońce wstawało i zachodziło, wstawało i zachodziło, upływały pochmurne, dżdżyste dni, mijały niezliczone noce. Chociaż zawsze był sam, nie doskwierała mu samotność, bo jego rozpierana wrażeniami dusza syciła się z bezgraniczną gorliwością wielkim

dramatem co dnia rozgrywającym się na jego oczach. Gdziekolwiek się zwrócił, wzrok jego napotykał przyczółki organizacji slanów bezczułkowych. Z tygodnia na tydzień narastało jego zdumienie. Gdzie się podzieli zwyczajni slani?
Ta zagadka dręczyła go jak obłędna, niepojęta zmora, która nigdy go nie odstępowała. Towarzyszyła mu i teraz, gdy szedł powoli ulicą setnego - a może tysięcznego - miasta.
Nad miastem zapadła noc rozświetlana przez wielobarwny blask niezliczonych wystaw sklepowych i sto milionów jaskrawych świateł. Podszedł do kiosku, kupił wszystkie miejscowe gazety i wrócił do samochodu, tego zupełnie zwyczajnie wyglądającego wozu bojowego na kołach, którego nigdy nie spuszczał z oka. Przystanął obok długiej, nisko zawieszonej maszyny. Wertował gazetę strona po stronie, szybko przebiegając wzrokiem kolumny, a przeszywająco zimny nocny wiatr szarpał wściekle płachtą papieru.
Kiedy tak stał, chłodniejszy już wiatr przyniósł wilgotno-słodki zapach deszczu. Poryw zimnego powietrza złapał za skraj gazety, przez chwilę szarpał nią dziko, nagle oderwał kawałek i wyjąc zwycięsko popędził dalej ulicą goniąc wściekle ów strzęp papieru. Pośród narastającego zawodzenia wichru Jommy zdecydowanym ruchem złożył gazetę i wsiadł do samochodu. Godzinę później cisnął siedem dzienników do chodnikowego pojemnika na śmieci. Głęboko pogrążony w myślach wrócił do samochodu i usiadł za kierownicą.
To samo co zawsze. Dwie z gazet były pod kontrolą slanów bezczułkowych. Jego umysł z łatwością potrafił wychwycić subtelną różnicę, szczególny ton artykułów, samo użycie słów, wyraźny kontrast pomiędzy dziennikami należącymi do ludzi i kierowanymi przez slanów bezczułkowych. Dwie gazety spośród siedmiu. Ale te dwie miały najwyższe nakłady. Tak było zazwyczaj.
I po raz kolejny to było wszystko. Człowiek i slan bezczułkowy. Żadnej trzeciej grupy, ani śladu różnicy, która z pewnością rzuciłaby mu się w oczy, gdyby gazetę prowadzili zwyczajni slani, gdyby jego teoria była słuszna. Pozostawało tylko zdobyć wszystkie tygodniki i spędzić wieczór tak jak dzień, jeżdżąc po ulicach, sprawdzając każdy dom, każdy napotkany umysł. Potem, gdy już jechał kierując się ku odległemu wschodowi, burza, na którą się zbierało od paru godzin, uderzyła pośród czarnej nocy niczym jakaś nieposkromiona bestia.
A za nim nawałnica i noc wchłonęły kolejne miasto, kolejną porażkę.
Trzy lata później, kiedy Jommy wrócił wreszcie do tunelu, statek kosmiczny otaczała czarna, nieruchoma woda. Uwijał się w błocie, kierując ogniste tchnienie swoich napędzanych energią atomową maszyn na okaleczoną metalową konstrukcje.
Dziesięciopunktowa stal pokryła otwór wycięty przez jego dezintegrator w dniu, kiedy uciekł bezczułkowym slanom. I przez

jeden cały, ciągnący się niemal bez końca tydzień ściśle przylegający do kadłuba metalowy stwór o kształtach pijawki pełzał centymetr po centymetrze na powierzchni statku, napierając całą swą przerażającą mocą na samą strukturę atomów, aż grube na trzydzieści centymetrów ściany długiej, smukłej rakiety przekształciły się od końca do końca w dziesięciopunktową stal.
Kilka tygodni zajęło mu zbadanie płyt antygrawitacyjnych i sterującego nimi generatora elektronicznego, oraz zbudowanie ich kopii, którą z posępną ironią zostawił w tunelu, jako że detektory slanów wykrywały właśnie płyty antygrawitacyjne. Niech myślą, że ich pojazd ciągle tam jest.
Przez trzy miesiące harował, a potem, w środku pewnej zimnej październikowej nocy statek cofnął się dziesięć kilometrów tunelem, wynurzył i pomknął w górę przez mgiełkę lodowatego deszczu.
Deszcz przeszedł w deszcz ze śniegiem, a potem w śnieg i wtem Jommy znalazł się ponad chmurami, ponad śmiesznymi ziemskimi żywiołami. Rozległy firmament mienił się nad nim olśniewającą feerią gwiazd mrugających do jego niezrównanego statku. Tamta duża to Syriusz, najjaśniejszy klejnot w owym diademie, a ta czerwona to Mars.
Ale dziś nie leciał na Marsa. To była tylko krótka wycieczka rozpoznawcza, ostrożny wypad na Księżyc, lot próbny w celu zdobycia najniezbędniejszych doświadczeń, które jego umysł spożytkuje jako podstawę do długiej, niebezpiecznej podróży; podróży, która z każdym upływającym miesiącem całkowicie bezowocnych poszukiwań zdawała się coraz bardziej nieunikniona. Pewnego dnia będzie musiał polecieć na Marsa.
Pod nim przesuwał się niewyraźny obraz spowitej nocą planety. Wpatrywał się weń, bo łuna światła na jednej z krawędzi globu właśnie pojaśniała; wtem jego kontemplacja piękna zbliżającego się wschodu słońca została brutalnie przerwana przez terkot dzwonka alarmowego. Wysoko u góry na czołowym wideoekranie pulsował punkcik światła. Hamując z maksymalną szybkością obserwował pozycję światełka. Nagle wyłączyło się, a na granicy zasięgu wizji pojawił się w tym miejscu statek.
Okręt bojowy nie leciał wprost na niego. Powiększał się, teraz już wyraźnie widoczny tuż poza granicą cienia Ziemi, w pełnym blasku słońca. Przeleciał obok w odległości mniejszej niż dwieście kilometrów - trzystumetrowa konstrukcja z gładkiego, ciemnego metalu. Zanurzył się w cień i natychmiast zniknął. Po pół godzinie dzwonek ucichł.
A potem, dziesięć minut później, zaterkotał znowu. Następny statek był dużo dalej i poruszał się pod kątem prostym do kursu poprzedniego. Statek dużo mniejszy, o rozmiarach niszczyciela; nie leciał stałym kursem, a myszkował to tu, to tam.

Kiedy zniknął w oddali, Jommy Cross ruszył powoli do przodu. Opadły go wątpliwości, graniczące z konsternacją zdumienie. Pancernik i niszczyciel! Ale po co? To wyglądało na patrol. Ale kogo szukali? Z pewnością nie ludzi; ci nawet nie wiedzieli, że istnieją slani bezczułkowi i ich okręty.
Zwolnił lot statku, zatrzymał się. Nie był jeszcze przygotowany na ryzyko wpadnięcia pomiędzy dobrze wyposażone pancerniki. Uważnie zaczął robić zwrot w tył… i w połowie manewru ujrzał mały, ciemny obiekt, pędzący wprost na niego, niczym meteor.
Błyskawicznie odskoczył w bok. Obiekt zakręcił za nim niczym żywy potwór rodem z Kosmosu. Mignął wysoko, w górze, na tylnym ekranie - ciemna metalowa kula o średnicy około metra. Jommy usiłował pośpiesznie wymanewrować statek z jej toru, ale zanim zdążył zrobić zwrot, rozległ się ogłuszający wybuch.
Eksplozja cisnęła nim o podłogę; leżał oszołomiony, ogłuszony, potłuczony - ale żył i wiedział, że mocne burty wytrzymały cios prawie nie do odparcia. Statek aż dygotał od przerażającego przyśpieszenia. Choć jeszcze oszołomiony, Jommy pozbierał się z podłogi i wspiął z powrotem na fotel pilota. Wpadł na minę. Na latającą minę! Jakież ogromne środki ostrożności tu przedsięwzięto - i przeciw komu?
Ostrożnie wprowadził pogięty, prawie niezdolny do lotu statek do tunelu pod rzeką przecinającą ranczo Babuni; tunelu, który wznosił się do góry, do serca górskiego szczytu, pod powierzchnią wirującej z tyłu wody. Nie potrafił nawet w przybliżeniu określić, na jak długo trzeba będzie pozostawić statek w tej kryjówce; silna radioaktywność zewnętrznej powłoki czyniła pojazd - już choćby z tego powodu - czasowo bezużytecznym. Za to co do innej sprawy nie miał wątpliwości. Nie był jeszcze gotów do walki z bezczułkowymi slanami ani nie potrafił ich przechytrzyć.
Dwa dni później Jommy Cross stanął w drzwiach opatrzonego licznymi przybudówkami wiejskiego domu, patrząc, jak ścieżką między dwoma sadami kroczy w jego stronę zacisnąwszy usta pani Lanahan, ich najbliższa sąsiadka. Była to pulchna blondynka o okrągłej, dziecinnej twarzy, która maskowała wścibski, złośliwy umysł. Jej niebieskie oczy łypały podejrzliwie na wysokiego, czarnowłosego, ciemnookiego wnuka Babuni.
Otwierając jej drzwi i wchodząc za nią do domu Jommy spoglądał na nią z rozbawieniem. W jej głowie tkwiła ignorancja typowa dla ludzi spędzających całe życie w zaściankowych wiejskich okolicach, w świecie, gdzie wykształcenie stało się wyblakłym cieniem, bladym, bezkształtnym odbiciem urzędowego cynizmu. Nie wiedziała dokładnie, czym jest slan, ale uważała go za jednego z nich i przyszła to sprawdzić. Nadawała się dobrze do ciekawego doświadczenia z jego

metodą hipnotyzowania za pomocą kryształu. Z fascynacją obserwował, jak co chwila zerkała na maleńki kryształek, który położył na stole przy jej krześle. Zauważył, że trajkocząc dokładnie w swoim stylu w ogóle nie zwróciła uwagi na moment, kiedy utraciwszy niezależność stała się jego niewolnicą.
W końcu wyszła na dwór, w promienie późnojesiennego słońca, najwyraźniej niezmieniona. Ale o celu, który przywiódł ją do chałupy Babuni, zupełnie zapomniała, bo jej umysł został przeprogramowany na nowe nastawienie do slanów. Nie było w nim już nienawiści - to na rzecz możliwej do przewidzenia przyszłości; nie było tam też akceptacji - to dla jej własnego bezpieczeństwa w świecie ludzi nienawidzących slanów.
Następnego dnia spotkał na odległym polu jej męża, czarnobrodego olbrzyma. Cicha rozmowa i odmiennie zastosowany kryształ pozwoliły roztoczyć kontrolę i nad nim.
Podczas miesięcy wypoczynku w towarzystwie hipnotycznie uprzyjemnionej staruszki, która kiedyś była Babunią, zdobył kontrolę mentalną nad każdym z setek wieśniaków żyjących w idyllicznym klimacie tej leżącej na wiecznie zielonym pogórzu doliny. Początkowo musiał używać kryształu, ale gdy jego wiedza o ludzkim umyśle wzrosła, odkrył, że jakkolwiek zabiera to więcej czasu, może sobie całkowicie darować te atomowo niezrównoważone szkiełka.
Szybko oszacował: nawet w tempie dwóch tysięcy zahipnotyzowanych rocznie i to bez uwzględnienia nowych pokoleń, zdołałby opanować cztery miliardy żyjących na świecie ludzi w dwa miliony lat. Jednakże dwa miliony slanów mogą to zrobić w rok, zakładając, że będą dysponować tajemnicą jego kryształów.
Potrzeba dwóch milionów, a on nie mógł znaleźć nawet jednego, jedynego slana. Przecież gdzieś na świecie musi być jakiś zwyczajny slan. Zatem w ciągu lat, które muszą jeszcze upłynąć, nim zdoła w rozsądny sposób ukierunkować swą inteligencję w celu wykonania zadania intelektualnego polegającego na odnalezieniu organizacji slanów zwyczajnych, musi szukać i jeszcze raz szukać choćby tego jednego.

13

Kathleen Layton zastygła na moment w bezruchu. Wpadła w pułapkę. Podniosła się znad otwartej szuflady biurka Kiera Graya, której zawartość przeglądała. Spłoszona, czujnie wybiegła umysłem w przestrzeń i przenikając po drodze zamknięte drzwi dotarła do miejsca, gdzie Kier Gray i drugi mężczyzna otwierali wejście prowadzące z jej pokoju przez korytarz i jeszcze jeden pokoik do prywatnego gabinetu dyktatora.
Zdawała sobie sprawę ze swej sytuacji. Od wielu tygodni oczekiwała

na posiedzenie Rady wymagające obecności Kiera Graya, co miało jej dać bezpieczny dostęp do jego gabinetu - a tu taka głupia wpadka. Po raz pierwszy za jej pamięci Kier Gray poszedł do jej pokoju zamiast wezwać ją do siebie. Wszystkich pozostałych wyjść pilnowali strażnicy, zatem jedyna droga odwrotu była odcięta.
Znalazła się w pułapce! Mimo to nie żałowała, że tu przyszła. Uwięziony slan nie myśli o niczym innym oprócz ucieczki. Z każdą chwilą coraz dosadniej trafiała do jej świadomości powaga sytuacji, w jakiej się znalazła. Dać się złapać na gorącym uczynku! Nagle przestała wkładać papiery z powrotem do szuflady. Za mało czasu. Mężczyźni byli już o krok od drzwi.
Błyskawicznie podjąwszy decyzję zamknęła szufladę, zgarnęła papiery na nieforemny stos w jednym końcu biurka i jak spłoszona łania skoczyła do fotela. Równocześnie otwarły się drzwi i wszedł John Petty, a za nim Kier Gray. Zobaczywszy ją mężczyźni znieruchomieli. Przystojna twarz szefa policji spoważniała; oczy zwęziły się w szparki, pytające spojrzenie padło na twarz dyktatora. Przywódca ironicznie zmarszczył brwi, a w uśmiechu, który pojawił się na jego twarzy, widniała ledwo dostrzegalna kpina.
- Witaj - odezwał się. - Cóż cię tu sprowadza?
Kathleen podjęła już decyzję, co powiedzieć, ale nim zdążyła przemówić, odezwał się John Petty. Kiedy chciał, potrafił mówić bardzo pięknym głosem - i użył go właśnie teraz:
- Najwyraźniej cię szpiegowała, Kier.
W tym człowieku było coś szczególnego, co wiązało się z jego kąśliwą logiką; deprymowało ją to i wzbudzało czujność. Wyglądało, że dzięki jakiemuś tajemniczemu przeznaczeniu szef tajnej policji zawsze jest obecny w krytycznych momentach jej życia; wiedziała też, czując, jak opuszcza ją odwaga, że właśnie teraz jest taki moment i że spośród wszystkich ludzi na świecie właśnie John Petty, powodowany nienawiścią do niej, dołoży wszelkich starań, by moment ten przyniósł jej śmiertelne zagrożenie.
Szef policji ciągnął spokojnie: - I zobacz, Kier, jak to się dramatycznie wiąże z tym, o czym mówiliśmy. W przyszłym tygodniu ta slanka ukończy dwadzieścia jeden lat, osiągając pełnoletność pod każdym prawnym względem. Czy ma tu mieszkać do czasu, aż umrze ze starości w wieku stu pięćdziesięciu lat albo i później? Czy jak?
Twarz Kiera Graya spoważniała.
- Czy nie wiedziałaś, Kathleen, że jestem na posiedzeniu Rady?
- Pewno że wiedziała - wtrącił się Petty. - A niespodziewane zakończenie posiedzenia to przykra niespodzianka.
- Nie będę odpowiadać na żadne pytania w obecności tego człowieka - powiedziała chłodno Kathleen. - Usiłuje mówić spokojnie i rozsądnie, ale już teraz bije od niego wyraźny strumień podniecenia, choć w

osobliwy sposób próbuje ukrywać swe myśli. A na powierzchnię jego umysłu przedostała się myśl, iż nareszcie będzie w stanie cię przekonać, że powinno się mnie zlikwidować. Wyraz dziwnej wrogości towarzyszył zamyśleniu, które pojawiło się na twarzy przywódcy. Umysł Kathleen musnął leciutko powierzchnię jego mózgu i była tam myśl nabierająca kształtu, zapadająca decyzja, niemożliwa do odczytania.
- Historycznie rzecz biorąc, John - powiedział wreszcie Kier Gray - jej oskarżenie jest słuszne. Twoje pragnienie jej śmierci jest… hmm… dowiedzione; oczywiście powoduje je twoja antyslańska zawziętość, ale u tak nadzwyczajnie uzdolnionego człowieka zakrawa to już na osobliwy fanatyzm.
John Petty jakby odtrącił słowa niecierpliwym gestem dłoni.
- Prawda jest taka, że i chcę, i nie chcę jej śmierci. Według mnie ona przedstawia poważne zagrożenie dla państwa, dopóki posiadając zdolność czytania myśli przebywa tu, w pałacu. Chcę po prostu mieć ją z głowy, a że slanów nie darzę przesadnym sentymentem, uważam śmierć za najskuteczniejszą metodę. Tym niemniej nie będę nalegał na taki wyrok, skoro moja reputacja świadczy o osobistej wrogości. Ale poważnie sądzę, że moja propozycja zgłoszona dziś na posiedzeniu jest dobra. Powinno się ją przenieść do innej rezydencji.
Żadna myśl na powierzchni umysłu Kiera Graya nie wskazywała na to, by miał zamiar się odezwać. Wpił w nią wzrok z niepotrzebną uporczywością. Kathleen ciągnęła zjadliwie:
- Jak tylko opuszczę pałac, natychmiast mnie zamordują. Jak wyraził się o tym dziesięć lat temu pan Gray, wówczas gdy pański oprawca próbował mnie zabić: kiedy slan już nie żyje, nadmierne wgłębianie się w sprawę wzbudza podejrzenia.
Zauważyła, że Kier Gray pokręcił głową. Pozbawionym wszelkiej stanowczości, najłagodniejszym tonem, jaki kiedykolwiek słyszała z jego ust, powiedział:
- Zakładasz o wiele za pochopnie, że nie jestem w stanie zapewnić ci bezpieczeństwa, Kathleen. Ogólnie rzecz biorąc sądzę, że to najlepsze rozwiązanie.
Popatrzyła na niego, zesztywniała z grozy. Mówił dalej; jego głos nie brzmiał już łagodnie, lecz surowo i stanowczo, słowa zaś stanowiły faktycznie wyrok śmierci:
- Spakuj swoje rzeczy i ubrania, i bądź gotowa do wyjazdu w ciągu dwudziestu czterech godzin.
Szok ustąpił. W jej myślach zapanował spokój. Z tak dojmującą wyrazistością zrozumiała, że Kier Gray wycofał ochronę, jaką ją dotychczas otaczał, iż mogła sobie darować huśtawkę nastrojów i wątpliwości, czy aby się nie przesłyszała.
Zdumiewało ją jedynie to, że jak dotychczas nie istniały żadne

dowody, na podstawie których dyktator mógł wydać ów skazujący wyrok. Nawet nie zerknął na papiery, które tak pośpiesznie ułożyła na biurku. Stąd wniosek, iż jego decyzja zapadła tylko w wyniku jej obecności w gabinecie i oskarżeń Johna Petty'ego.
A to było zdumiewające, jako że w przeszłości bronił jej przed Pettym w znacznie groźniejszych okolicznościach. No i przy innych okazjach co najmniej kilka razy wchodziła bez przeszkód i całkiem bezkarnie do jego gabinetu.
Wszystko to oznaczało, iż decyzja musiała zapaść już wcześniej, toteż nie miała na nią wpływu, nawet gdyby zdołała przedstawić jakieś argumenty. Zauważyła, że fale zdumienia przebiegają także przez mózg Petty'ego. Mężczyzna był zaskoczony łatwością zwycięstwa. Powierzchnia jego umysłu przelotnie zadrżała niewielkim przypływem niezadowolenia; potem nastąpiła nagła decyzja, by iść za ciosem. Jego bystre spojrzenie obiegło gabinet i spoczęło na biurku.
- Chodzi jeszcze o to, czego się dowiedziała będąc sama w twoim gabinecie. Co to za papiery?
Nie był człowiekiem nieśmiałym i nim jeszcze dokończył pytanie, już kroczył w stronę biurka. Kier Gray podszedł i stanął za nim; Petty już przewracał kartki.
- Hmm… Lista wszystkich kryjówek, których nadal używamy do wyłapywania niezorganizowanych slanów. Na szczęście jest ich tyle setek, że nie mogła zdążyć zapamiętać ich nazw, a tym bardziej opisów lokalizacji.
Błędne wnioskowanie Petty'ego nie miało dla Kathleen znaczenia w momencie odkrycia tego faktu. Najwyraźniej żaden z nich nie podejrzewał, że w jej umyśle zostało trwale zakodowane nie tylko umiejscowienie każdej kryjówki slanów, ale i wręcz fotograficzny zapis systemów alarmowych zainstalowanych w każdym z takich miejsc, żeby zawiadamiać tajną policję, kiedy wchodzi niczego nie podejrzewający slan. Wedle błyskawicznej analizy jednego z raportów, musiał istnieć jakiś nadajnik myśli umożliwiający obcym slanom lokalizowanie kryjówek. Ale w tej chwili to nie miało znaczenia.
Istotne było to, jak zachowa się Kier Gray. Przywódca patrzył ze zdumieniem na papiery.
- To jest poważniejsze, niż myślałem - powiedział. - Grzebała w moim biurku.
Kathleen pomyślała z wyrzutem: Nie musiał tego mówić Petty'emu. Dawny Kier Gray nie dostarczyłby jej najgorszemu wrogowi amunicji nadającej się do użycia przeciw niej.
Kiedy dyktator zwrócił się w końcu w jej stronę, z jego oczu zionął chłód. Co dziwne, powierzchnia mózgu Graya sprawiała wrażenie tak spokojnej i beznamiętnej, jaką zawsze ją znała. Stwierdziła, że nie jest rozgniewany, że po prostu zrywał z nią na zimno i ostatecznie.

- Pójdziesz do swojego pokoju i spakujesz się… i oczekuj dalszych poleceń.
Już się odwracała, kiedy John Petty powiedział: - Mówiłeś przy różnych okazjach, że trzymasz ją przy życiu wyłącznie w celach badawczych. Skoro usuwasz ją ze swego otoczenia, to cel ten nie odgrywa już żadnej roli. Dlatego też mam nadzieję, iż nie popełniam pomyłki zakładając, że zostanie przekazana pod ochronę tajnej policji.
Zamknąwszy za sobą drzwi Kathleen odcięła dopływ myśli tamtych i pobiegła korytarzem do swojego pokoju. Nie była ani trochę zainteresowana szczegółami jakiegoś obłudnego planu morderstwa, który przywódca i jego poplecznik mogli tam wspólnie opracowywać. Cel miała jasno sprecyzowany. Otworzyła drzwi wychodzące z jej pokoju na jeden z głównych korytarzy, skinęła głową strażnikowi, który sztywno odpowiedział na jej pozdrowienie, i spokojnie poszła do najbliższej windy.
Teoretycznie wolno jej było wjeżdżać tylko do poziomu stu pięćdziesięciu metrów, a nie do hangarów samolotowych, czyli jeszcze sto pięćdziesiąt metrów wyżej. Ale krępy młody żołnierz obsługujący windę musiał ulec sile ciosu, który wylądował na jego szczęce. Kathleen wyczytała w jego myślach, że jak większość innych mężczyzn nie dopuścił do siebie przypuszczenia, iż ta wysoka, szczupła dziewczyna może okazać się groźna dla ważącego sto kilogramów mężczyzny w pełni sił. Zanim odkrył swą pomyłkę, stracił przytomność. Było to okrutne, ale związała mu ręce i nogi przewodem elektrycznym; tego samego przewodu użyła do zamocowania knebla w jego ustach.
Dotarłszy na dach dokonała krótkiego mentalnego rozpoznania najbliższego otoczenia windy. W końcu otworzyła drzwi i szybko zamknęła je za sobą. O niecałe dziesięć metrów od niej stał samolot, a za nim następny, przy którym pracowali trzej mechanicy. Rozmawiał z nimi żołnierz.
Podejście do samolotu i wspięcie się do kabiny zajęło jej zaledwie dziesięć sekund - a nie na darmo badała przez długie lata mózgi oficerów lotnictwa. Zaszumiały silniki odrzutowe, maszyna rozpędziła się i wzbiła w powietrze.
- Hej - pobiegły za nią myśli mechanika. - Pułkownik znowu leci.
- Pewno do nowej dziewczyny - to odezwał się żołnierz.
- No - powiedział drugi mechanik. - I uwierz tu takiemu, że…
Dotarcie do wybranej uprzednio kryjówki slanów zajęło dwie godziny lotu na południe z największą szybkością. Potem nastawiła samolot na lot automatyczny i odprowadziła wzrokiem znikającą na wschodzie maszynę. W ciągu następnych dni tęsknie wypatrywała jakiegoś samochodu. Piętnastego dnia długi czarny wóz cicho szumiąc wychynął zza szpaleru drzew rosnących wzdłuż starej drogi i

skierował się w jej stronę. Poczuła, że opanowuje ją napięcie. Będzie musiała jakoś skłonić tego kierowcę do zatrzymania pojazdu, pokonać go i zabrać jego samochód. Teraz lada godzina zleci się tu tajna policja; trzeba stąd zmykać, i to szybko. Wlepiwszy oczy w samochód czekała.

14

Nareszcie miał za sobą płaski, skuty lodem bezmiar prerii. Jommy Cross skręcił bardziej na wschód, a potem na południe. Daleko na południe. I właśnie wtedy wjechał na pozornie nie kończący się ciąg blokad policyjnych. Nie próbowano go zatrzymywać, a w końcu zobaczył w umysłach kilku ludzi, że trwają poszukiwania… młodej slanki.

Odkrycie poraziło go z ogłuszającą siłą. Na chwilę ogrom nadziei przekraczał granice możliwe do zaakceptowania przez jego umysł. Ale tylko na chwilę. Ona nie mogła należeć do slanów bezczułkowych. Ludzie potrafili rozpoznać slana tylko po czułkach, mogli zatem szukać tylko zwyczajnej slanki. A to oznaczało… Oto spełniało się jego marzenie!

Celowo skierował się do rejonu, który mieli według rozkazów otoczyć. Znajdował się teraz poza główną autostradą; jechał boczną drogą wijącą się między lesistymi dolinami i wspinającą na wysokie wzgórza. Ranek był szary, ale w południe wyszło słońce i wspaniale lśniło na lazurowo błękitnym niebie.

Wyraźnie czytelne wrażenie, że jest w pobliżu samego centrum niebezpiecznej strefy, gwałtownie przybrało na sile, kiedy o jego umysł otarła się zewnętrzna myśl. Była to łagodna pulsacja, a jednak tak nadzwyczajnej wagi, że aż mu zawirowało w głowie.

- Uwaga, slani! Tu maszyna nadawcza Porgrave'a. Proszę skręcić w drogę za osiemset metrów. Dalsze instrukcje zostaną przekazane później.

Jommy poczuł narastające napięcie. Delikatna i natarczywa fala myślowa nadpływającej wiadomości tętniła znowu po powierzchni jego mózgu, łagodnie jak letni deszcz:

- Uwaga, slani!… Proszę skręcić…

Jechał dalej, spięty, ale podekscytowany. Cud się zdarzył. Gdzieś blisko są slani, wielu slanów. Taką maszynę do nadawania myśli mógł wynaleźć pojedynczy osobnik, ale treść komunikatu sugerowała jakoś istnienie społeczności i mogli to być zwyczajni slani - ale czy to możliwe?

Szybki, słodki przypływ radości przekształcił się w wąską, ospałą strugę, kiedy Jommy rozważył możliwość pułapki. Z pewnością mogło tu chodzić o urządzenie pozostałe po dawnym osiedlu slanów. Oczywiście w rzeczywistości zagrożenie nie istniało, skoro miał ten

samochód zdolny do odpierania niebezpiecznych ataków i uzbrojenie mogące sparaliżować siłę uderzeniową przeciwnika. Ale należało też wziąć pod uwagę możliwość, że to ludzie zostawili tu maszynę nadającą myśli jako pułapkę i że teraz zacieśniają wokół niej pierścień w przekonaniu, iż ktoś się tam ukrywa. W końcu i jego sprowadziła tu taka możliwość.
Kierowany przez niego piękny wóz o opływowych liniach sunął do przodu. Po chwili Jommy zobaczył drogę; była to raczej dość szeroka ścieżka. Jego nadzwyczaj długi samochód skręcił i wjechał w nią. Dróżka wiła się przez gęsto zalesiony teren, przecinając kilka dolinek. Po przejechaniu nią pięciu kilometrów Jommy raptownie zatrzymał wóz, odebrawszy następny komunikat.
- Tu nadajnik Prograve'a. Kieruję cię, zwyczajny slanie, na małą farmę przed tobą, gdzie znajduje się wejście do podziemnego miasta z fabrykami, ogrodami i mieszkaniami. Witaj. Tu nadajnik Porgrave'a…
Zatrzęsło mocno, bo samochód najechał na szereg wybojów; potem wóz przedarł się przez gęsty szpaler wierzb płaczących i wjechał na małą polankę. Jommy Cross uświadomił sobie, że patrzy przez zarośnięty chwastami ogród na sterany wiatrami i deszczami wiejski dom, przycupnięty obok dwóch innych zgrzybiałych budynków, garażu i stodoły.
Odrapany, rachityczny stary dwupiętrowy budynek łypał ku niemu ślepymi oczodołami otworów po wyłamanych oknach. Stodoła chyliła się ku upadkowi, jak próchniejący na brzegu morza starożytny wrak - bo też i była wrakiem; rozsuwana brama wisiała tylko na jednej rolce, a jej drugi koniec zarył się głęboko w porośniętą chwastami ziemię.
Wzrok Jommy'ego spoczął przez moment na garażu, potem przesunął się dalej, a później z powrotem, już uważniej. Garaż też wyglądał na dawno opuszczony - a jednak inaczej. Jommy zaczynał dostrzegać subtelną różnicę, a to z kolei wzbudziło w nim zainteresowanie. Garaż sprawiał wrażenie, jakby się miał za chwilę rozlecieć, ale wynikało to z zamysłu, a nie ze zniszczenia. Poszczególne części były solidnie przytwierdzone do mocnego metalowego szkieletu.
Pozornie zepsute drzwi opierały się ciężko o ziemię, a jednak otworzyły się lekko pod naciskiem palców ubranej w szarą sukienkę wysokiej, szczupłej dziewczyny, która wyszła na zewnątrz i spojrzała na niego z olśniewającym uśmiechem.
Miała płomienne oczy i kształtną twarz o delikatnej karnacji, a ponieważ jego myśli cały czas były wąsko skupione, wyszła przekonana, że on jest człowiekiem.
I była slanka!I on też był slanem! U Jommy'ego Crossa, przez tyle długich lat zajętego ostrożnym przeszukiwaniem świata przy bezustannej czujności i koncentracji, szok i wyjście z niego nastąpiły prawie równocześnie. Wiedział, że to się któregoś dnia zdarzy, że

któregoś dnia spotka zwyczajnego slana. Ale dla Kathleen, która nigdy nie musiała ukrywać swych myśli, zaskoczenie było druzgocące. Spróbowała się opanować i stwierdziła, że nie jest w stanie. Sporadycznie używany ekran ochronny nagle okazał się chwilowo bezużyteczny.

Szlachetna duma cechowała szeroki strumień materii myślowej, który trysnął z jej umysłu w owej chwili, gdy jej mózg był jak otwarta, bezbronna księga. Duma i wielka pokora. Pokora wynikająca z ogromnej wrażliwości i głębokiej mądrości dorównującej jego własnej, choć nie zahartowanej przez ciągłą walkę i niebezpieczeństwa. Dziewczyna emanowała płynącym z dobroci serca ciepłem, a mimo to zaznała już złośliwości i łez, spotykała się z bezgraniczną nienawiścią.

A potem jej umysł zatrzasnął się i stała patrząc na niego szeroko rozwartymi oczyma. Po dłuższej chwili uchyliła ekran i wypuściła do niego myśl:

- Nie możemy tu zostać. Byłam tu już i tak za długo. Pewnie widziałeś w moim umyśle o policji, więc najlepiej zrobimy odjeżdżając stąd natychmiast.

A on po prostu stał gapiąc się na nią pałającymi oczyma. Z każdą upływającą sekundą robiło mu się lżej na duszy, a rozkoszne ciepło przenikało całe ciało. Było to jak zrzucenie nieznośnego ciężaru. Przez te wszystkie lata wszystko spoczywało na nim. Potężna broń, przechowywana przez niego dla przyszłego świata, o którym czasami marzył, wisiała, niczym monstrualny miecz Damoklesa nad przeznaczeniem ludzi i slanów, na pojedynczej cieniutkiej niteczce jego życia. A teraz miały już istnieć dwie takie podtrzymujące nitki.

To nie była myśl, a emocja, smutna, a zarazem słodka i wspaniała emocja. Kobieta i mężczyzna, sami na świecie, spotykają się w ten sposób, tak samo jak dawno temu spotkali się jego rodzice. Uśmiechnął się do swych wspomnień i szeroko otworzył dla niej umysł. Pokręcił głową.

- Nie, nie od razu. Przechwyciłem z twojego umysłu migawkę o maszynach w podziemnym mieście i chciałbym na nie zerknąć. Ciężkiego sprzętu brakuje mi najbardziej. - Uśmiechnął się uspokajająco. - Nie przejmuj się zbytnio niebezpieczeństwem. Dysponuję uzbrojeniem, któremu ludzie nie mogą sprostać, a ten samochód ma bardzo szczególne właściwości ułatwiające ucieczkę. Może się poruszać praktycznie wszędzie. Mam nadzieję, że znajdzie się dla niego miejsce w jaskini.

- O, tak; najpierw zjeżdża się kilkoma windami. Potem można już wszędzie dojechać. Ale nie możemy zwlekać. Musimy… Jommy Cross roześmiał się wesoło.

- Żadnych „ale”! - powiedział.

Później Kathleen powróciła do swych obaw.

- Naprawdę myślę, że nie powinniśmy tu zostawać. Czytam w twych myślach o twojej wspaniałej broni i że twój wóz jest zbudowany z czegoś, co nazywasz dziesięciopunktową stalą. Ale masz zarazem skłonność do lekceważenia ludzi. Nie wolno ci! W walce przeciw slanom tacy jak John Petty zmuszają swe mózgi do pracy na nadzwyczajnych obrotach. A John Petty, żeby mnie zlikwidować, nie powstrzyma się przed niczym. Nawet w tym momencie jego sieć na pewno zaciska się systematycznie wokół różnych kryjówek slanów, w których mogłabym przebywać.
Jommy spojrzał na nią zatroskanym wzrokiem. Wokół nich panowała cisza jaskiniowego miasta; białe niegdyś ściany, dzielnie podpierające spękany sufit, rzędy i rzędy kolumn zniszczonych i powyginanych bardziej wagą lat niż cisnącej na nie z góry ziemi. Na lewo od siebie zobaczył początek rozległych terenów sztucznego ogrodu i połyskujący strumyczek, który zasilał wodą ten mały podziemny świat. Po prawej ciągnął się długi rząd drzwi do mieszkań, a plastykowe ściany mieniły się jeszcze spłowiałymi kolorami.
Bezlitosny wróg przepędził żyjącą tu niegdyś populację slanów, ale złowieszcza atmosfera ucieczki zdawała się nadal wisieć w powietrzu. Rozejrzawszy się dookoła Jommy ocenił, że osiedle ewakuowano nie później niż dwadzieścia lat temu; wszystko to nadal sprawiało wrażenie czegoś bliskiego i śmiertelnie groźnego. Zwrócił się do Kathleen; przytłaczająca atmosfera wszechobecnego zagrożenia znalazła odbicie w jego odpowiedzi:
- Zgodnie z prawami logiki musimy tylko uważać na myśli z zewnątrz i nie oddalać się od mojego samochodu dalej niż na kilkaset metrów, a będziemy absolutnie bezpieczni. Mimo to jestem zaniepokojony twoimi przeczuciami. Proszę, przeszukaj swój mózg i spróbuj ustalić przyczyny twoich obaw. Nie mogę tego dla ciebie zrobić tak dobrze jak ty sama.
Dziewczyna milczała. Zamknęła oczy. Postawiła ekran mentalny. Siedziała w samochodzie obok niego, dziwnie przypominając śliczne przerośnięte dziecko, które zapadło w sen. Wreszcie jej wrażliwe wargi drgnęły. Po raz pierwszy odezwała się na głos:
- Powiedz mi, co to jest stal dziesięciopunktowa?
- Aha! - zaczął Jommy z zadowoleniem. - Zaczynam rozumieć, o jakie czynniki psychologiczne tu chodzi. Telepatyczne porozumiewanie się ma wiele zalet, ale nie może przekazać na przykład mocy rażenia broni tak dobrze jak wykres na papierze czy nawet słowo mówione. Moc, rozmiar, siła i podobne pojęcia nie przekazują się dobrze.
- Mów dalej.
- Wszystko, czego dokonałem - wyjaśniał Jommy - opierało się na wielkim odkryciu mego ojca, odkryciu pierwszego prawa energii atomowej - koncentracji w przeciwieństwie do starej koncepcji

rozszczepiania. O ile wiem, ojciec nigdy nie podejrzewał istnienia możliwości wzmacniania metali, lecz jak wszyscy badacze, którzy przychodzą po wielkim człowieku i jego głównym odkryciu, ja także skoncentrowałem się na szczegółach wynalazku, częściowo opierając się na jego pomysłach, częściowo zaś na pomysłach, które nasuwały się same.

Wszystkie metale - mówił dalej - zachowują spójność dzięki siłom atomowym, z czego wynika teoretyczna wytrzymałość danego metalu. W przypadku stali określiłem tę wartość teoretyczną na jeden punkt. Dla porównania, kiedy pierwotnie wynaleziono stal, jej wytrzymałość wynosiła około 2000 punktów. Zabiegi technologiczne gwałtownie zwiększyły tę wartość do 1000 punktów, a potem na przestrzeni kilkuset lat do obecnego poziomu osiąganego przez ludzi, to jest do 750 punktów. Slani bezczułkowi uzyskali stal pięćsetpunktową, ale nawet ten nadzwyczaj twardy produkt nie może się równać z uzyskanym przeze mnie dzięki zastosowaniu zgniatacza atomów, który zmienia samą ich strukturę i daje bliską doskonałości stal dziesięciopunktowa. Trzy milimetry dziesięciopunktówki wytrzymują eksplozję najpotężniejszych materiałów wybuchowych znanych ludziom i bezczułkowym slanom!

Pokrótce opisał swą próbę podróży na Księżyc i zderzenie z miną, po którym zmykał na Ziemię w paskudnie uszkodzonym statku. Mówił dalej:

- Zapamiętać warto z tego przede wszystkim fakt, iż bomba atomowa najwyraźniej wystarczająco duża, aby rozwalić wielki pancernik, nie przebiła trzydziestu centymetrów dziesięciopunktówki, chociaż kadłub był potem szpetnie pogięty, a maszynownia w rozsypce od wstrząsu.

Kathleen wpatrywała się w niego rozpromienionymi oczyma.

- Jaka ja jestem głupia - szepnęła. - Spotkałam największego z żyjących współcześnie slanów i próbuję go poić swoimi lękami, nagromadzonymi przez dwadzieścia jeden lat życia wśród ludzi, wśród ich stosunkowo znikomych sił i możliwości.

Jommy z uśmiechem pokręcił głową.

- Ten wielki slan to nie ja, a mój ojciec, choć i on popełniał błędy; największym z nich był brak dostatecznej ochrony. Ale taki jest prawdziwy geniusz. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Niemniej obawiam się, że będziemy musieli składać częste wizyty w tej jaskini, a każda będzie tak samo niebezpieczna jak ta. Johna Petty’ego spotkałem bardzo przelotnie, a to, co zobaczyłem w twoim umyśle, składa się bez wątpliwości na obraz skończonego okrutnika. Wiem, że on ma to miejsce pod obserwacją, ale uwierz mi, nie powinno nas to powstrzymywać. Tym razem zostaniemy tylko do zmroku - tylko tyle, ile mi trzeba na zbadanie maszyn. W samochodzie jest jedzenie; możemy je ugotować, jak się trochę zdrzemnę. Spać będę oczywiście

w samochodzie. Ale najpierw maszyny!
Wszędzie zalegały wielkie maszyny, jak trupy na pobojowisku, w ciszy obracające się w proch. Piece hutnicze, olbrzymie prasy, tokarki, piły, niezliczone obrabiarki, rząd przy rzędzie, ciasno upakowane, kilkusetmetrowe ciągi maszyn; około trzydziestu procent nie do użytku, dwadzieścia procent częściowo sprawnych, a reszta sprawna przynajmniej na początku.
Stałe, nie oślepiające światło pogrążało świat w półcieniach, a oni przechadzali się po dolinie o potrzaskanym betonowym dnie, lawirując pomiędzy wzgórzami maszyn. Jommy zastanawiał się na głos:
- Tu jest więcej, niż sobie wyobrażałem - wszystko, czego mi było trzeba. Z samego złomu mógłbym zbudować wielki okręt kosmiczny - a oni używają tego wyłącznie jako środka do wabienia slanów w pułapkę.
Skupił uwagę na jej umyśle.
- Powiedz mi, czy jesteś pewna, że do tego miasta są tylko dwa wejścia?
- W spisie z biurka Kiera Graya są podane tylko dwa, a żadnych innych nie znalazłam.
Milczał, ale nie ukrywał przed nią treści swych myśli.
- To głupio z mojej strony powracać do twoich przeczuć, ale nie lubię porzucać myśli o potencjalnych zagrożeniach, dopóki nie sprawdzę wszystkich możliwości, jakie się z tym wiążą.
- Jeśli istnieje tajne wejście, znalezienie go zajęłoby nam wiele godzin - podpowiedziała Kathleen. - A gdybyśmy znaleźli jedno, nie moglibyśmy mieć pewności, że nie ma innych, a więc nie czulibyśmy się bezpieczniej. Nadal uważam, że powinniśmy stąd natychmiast odejść.
Jommy zdecydowanie pokręcił głową.
- Nie pozwalałem ci przedtem zobaczyć tego w moich myślach, ale nie chcę się stąd ruszać głównie dlatego, że dopóki się nie ucharakteryzuje twojej twarzy i nie ukryje pod peruką twoich czułków - a to naprawdę trudna robota - najbezpieczniej nam obojgu będzie właśnie tutaj. Policjanci pilnują wszystkich autostrad; większość z nich wie, że szukają slanki, i mają twoją fotografię. Skręciłem z głównej drogi w nadziei, że zdołam cię odnaleźć, zanim zrobią to oni.
- Twój wóz może latać, prawda? - zapytała. Jommy uśmiechnął się markotnie.
- Jeszcze siedem godzin do zmroku, a w dzień co chwila wpadalibyśmy na jakiś samolot. Wyobrażasz sobie, co by przekazali przez radio piloci na najbliższe lotnisko ujrzawszy samochód lecący w powietrzu. A jeśli polecimy wyżej, powiedzmy na sto kilometrów, z pewnością zobaczy nas statek patrolowy bezczułkowych slanów.

Pierwszy z brzegu dowódca natychmiast zorientuje się, z kim ma do czynienia, przekaże naszą pozycję i zaatakuje. Mam uzbrojenie wystarczające, żeby go zniszczyć, ale nie będę w stanie zniszczyć tych następnych kilkudziesięciu statków - przynajmniej nie tak szybko, by zapobiec ugodzeniu samochodu tyloma potężnymi ciosami, że sam wstrząs nas zabije. A poza tym nie mogę dobrowolnie uwikłać się w sytuację, w której mógłbym zostać zmuszony do zabicia kogoś. Zabiłem tylko trzech ludzi w życiu i z każdym dniem upływającym od tego incydentu moja niechęć do likwidowania ludzi narastała, aż do teraz, kiedy jest jedną z najpotężniejszych sił we mnie - tak potężną, że cały plan odnalezienia zwyczajnych slanów oparłem na analizie tej dominującej cechy mojej osobowości.
Jego umysł owionęła leciutka niczym podmuch powietrza myśl dziewczyny:- Masz sposób na znalezienie zwyczajnych slanów? - zapytała. - Tak - skinął głową. - Jest naprawdę bardzo prosty. Wszyscy zwyczajni slani, jakich kiedykolwiek znałem - mój ojciec, matka, ja sam i teraz ty - byli życzliwymi, miłymi osobami. I to wobec ludzkiej nienawiści, ludzkich usiłowań, by nas zniszczyć. Nie mogę uwierzyć, że my czworo jesteśmy wyjątkami. Właśnie dlatego musi istnieć jakieś rozsądne wytłumaczenie wszystkich tych okropnych uczynków, które się przypisuje zwyczajnym slanom.
Uśmiechnął się przelotnie.
- Zapewne nawet posiadanie własnych poglądów na ten temat nie pasuje do mojego wieku i stopnia rozwoju. Tak czy siak, obawiam się, że jak dotychczas moje rozważania zakończyły się kompletnym fiaskiem. I nie wolno mi wykonać żadnego innego posunięcia w tej grze, dopóki nie podejmę dalszych kroków obronnych przeciw slanom bezczułkowym.
Patrzyła na niego uważnie; skinęła potakująco głową.
- Rozumiem już, dlaczego musimy tu zostać - powiedziała.
Dziwne, ale żałował, że znów poruszyła ten temat. Przez ułamek sekundy (ukrył przed nią tę myśl) miał przeczucie straszliwego niebezpieczeństwa. Tak straszliwego, że rozsądek je odrzucił. Pozostało po nim niewyraźne zawirowanie, jak za płynącym statkiem - i sprawiło, że powiedział:
- Nie oddalaj się nigdzie od samochodu i zachowuj czujność umysłu. W końcu nawet przez sen potrafimy wykryć człowieka z odległości pięciuset metrów.
Jak na ironię nie zabrzmiało to ani trochę uspokajająco.
Początkowo Jommy Cross tylko drzemał. Na kilka minut chyba się częściowo przebudził, bo chociaż oczy miał zamknięte, wyczuwał koło siebie jej umysł i to, że czyta jedną z jego książek. A raz, tak lekki był jego sen, w jego świadomości zrodziło się pytanie:
- Główne oświetlenie - czy pozostaje włączone cały czas?

Musiała delikatnie wniknąć do jego umysłu z odpowiedzią, bo nagle wiedział, że światła palą się przez cały czas, od kiedy tu przybyła, i musiało tak być już od stuleci.
W jej myślach pojawiło się pytanie, a jego mózg odpowiedział:- Nie, nie będę jeść, dopóki się trochę nie prześpię.A może to tylko pamięć czegoś, o czym poprzednio rozmawiali? Nie zasnął jeszcze tak naprawdę, bo gdzieś z głębi jego wnętrza wytrysnęła osobliwa, przyjemna myśl. To cudownie, że udało mu się odnaleźć innego slana, taką niesamowicie piękną dziewczynę.
I takiego przystojnego młodzieńca.
Czy to była jego myśl, czy jej? Zastanowił się sennie.
Moja, Jommy.
Cóż to za pełnia szczęścia, móc spleść umysł z innym rozumiejącym umysłem tak bezgranicznie, że dwa strumienie myśli zdają się jednym, a pytania, odpowiedzi i cała rozmowa zawierają od razu wszystkie subtelne brzmienia, których chłodne medium słów nie jest w stanie nigdy przekazać.
Czyżby się zakochali? Czy dwoje młodych mogło się tak po prostu spotkać i pokochać, wiedząc zarazem, że na świecie mogą być miliony slanów, a pośród nich także liczni mężczyźni i kobiety, których może wybraliby w innych okolicznościach?
To coś więcej, Jommy. Przez całe nasze życie byliśmy samotni w świecie obcych ludzi. Znalezienie wreszcie kogoś ze swoich to radość szczególna i spotkanie później wszystkich slanów świata to już nie będzie to samo. Teraz mamy dzielić swe nadzieje i zwątpienia, niebezpieczeństwa i sukcesy. A ponad wszystko spłodzimy dziecko. Jak widzisz, Jommy, ja już całą siebie przestawiłam na nowy sposób życia. Czy to nie jest prawdziwa miłość?
Pomyślał, że to miłość, i poczuł się ogromnie szczęśliwy. Ale gdy zasnął, szczęście jakby gdzieś znikło - pozostała tylko ciemność, przerodziła się w otchłań, a on zaglądał w jej niezgłębioną czeluść.
Przebudził się przerażony. Jego zwężone, czujne oczy omiotły spojrzeniem miejsce, gdzie przedtem siedziała Kathleen. Odchylany fotel był pusty. Wyćwiczony umysł Jommy'ego, choć nadal w okowach snu, wybiegł w przestrzeń.
- Kathleen!Kathleen podeszła do drzwi samochodu. - Patrzyłam trochę na ten metal, próbując sobie wyobrazić, co z tego najbardziej ci się przyda. - Przerwała z uśmiechem i poprawiła się: - Co nam się przyda.
Jommy Cross przez chwilę leżał zupełnie bez ruchu, wybiegając umysłem w przestrzeń, starannie przeczesując otoczenie, rozżalony, że choć na chwilę wyszła z samochodu. Odgadł, że pochodziła ze środowiska o mniej napiętej atmosferze niż on. Miała swobodę ruchu i - poza niezbyt częstymi zagrożeniami - stałe punkty odniesienia, na których mogła polegać. W jego własnej ponurej egzystencji groźba

śmierci za najdrobniejsze rozproszenie uwagi stanowiła zawsze aktualny składnik rzeczywistości. Każdy ruch musiał zawierać wkalkulowane ryzyko.
Do tej zasady Kathleen będzie musiała się przyzwyczaić. Śmiałość przy wykonywaniu zadania w obliczu niebezpieczeństwa to jedno, lekkomyślność to zupełnie co innego.
Kathleen powiedziała radośnie: - Zrobię coś do jedzenia przez ten czas, kiedy ty szybko wyciągniesz sobie kilka rzeczy, które chcesz zabrać. Na dworze musi już być ciemno.
Jommy zerknął na swój chronometr i przytaknął. Dwie godziny do pomocy. Ciemność skryje ich lot.
- Gdzie jest najbliższa kuchnia? - zapytał powoli.
- O, tam, zaraz… - Machnęła ręką wskazując długi ciąg drzwi.
- Jak daleko?
i- Około trzydziestu metrów. - Zmarszczyła czoło. - Słuchaj, Jommy, czuję, jaki jesteś troskliwy. Ale jeśli mamy stanowić zespół, to kiedy jedno z nas coś robi, drugie musi robić co innego.
Obserwował niespokojnie, jak odchodziła, zastanawiając się, czy pozyskanie partnera dobrze wpłynie na jego nerwy. On, który uodpornił się na wszelkie mogące mu zagrozić niebezpieczeństwa, powinien teraz przywyknąć do myśli, że ona także będzie musiała ryzykować.
Zresztą w danym momencie nie istniało żadne zagrożenie. W kryjówce panowała cisza. Znikąd nie dochodził żaden dźwięk, żaden - poza Kathleen - poszept myśli. Myśliwi, naganiacze i ustawiacze zapór drogowych, które oglądał przez cały dzień, na pewno są już teraz w domu i śpią albo gotują się do snu.
Widział, jak Kathleen wchodzi w drzwi, i oszacował, że jest do nich raczej około pięćdziesięciu metrów. Właśnie wychodził z samochodu, kiedy dobiegła go jej myśl niesiona dziwną, ostrą, naglącą wibracją.
- Jommy… ściana się otwiera! Ktoś…
Jej myśl urwała się raptownie i Kathleen zaczęła przekazywać słowa mężczyzny:
- No, no, czyż to nie nasza Kathleen? - mówił John Petty z chłodną satysfakcją. - I to już w pięćdziesiątej siódmej kryjówce, którą odwiedziłem. Byłem w nich wszystkich osobiście, jakże by inaczej, ponieważ tylko kilku ludzi oprócz mnie umie powstrzymać swój umysł od ostrzeżenia cię o swoim nadejściu. A poza tym nikomu nie można do końca zawierzyć przy tak ważnym zadaniu. Co sądzisz o psychologicznym aspekcie wbudowania tych tajnych wejść w kuchniach? Najwyraźniej nawet slany muszą niekiedy ulec potrzebom swoich żołądków.
Posłuszny szybkim dłoniom Jommy’ego samochód skoczył do przodu, a on pochwycił odpowiedź Kathleen, spokojną i niespieszną:

- A więc znalazł mnie pan, panie Petty. - I dalej, szyderczo: - Czy mam zatem błagać pana o litość?
Lodowata odpowiedź popłynęła przez jej umysł do Jommy'ego Crossa:
- Litość nie jest moją mocną stroną. Poza tym nie ociągam się, kiedy nadarza się długo oczekiwana okazja.
- Jommy, szybko!
Strzał poniósł się do niego echem z mózgu Kathleen. Na jedną okropną chwilę jej umysł powstrzymał niesamowitym wysiłkiem śmierć, którą niosła kula pogrążająca się z trzaskiem w jej mózgu.
- Och, Jommy, a mogliśmy być tacy szczęśliwi… Żegnaj, najdroższy…
Zrozpaczony, pogonił z przerażeniem za ostatnią iskrą życia, błyskawicznie gasnącą w jej umyśle. I nagle pomiędzy jego umysłem a Kathleen wyrosła mroczna ściana śmierci.

15

Jommy Cross nie myślał o niczym, nie czuł nienawiści, smutku, nadziei - istniał tylko jego umysł odbierający wrażenia i nadzwyczajnie sprawne ciało, działające jak doskonała maszyna organiczna. Hamulec do końca; samochód stanął. Cross ujrzał Johna Petty'ego stojącego tuż za skurczonym ciałem Kathleen.
- Wielkie nieba! - wyrwało się z powierzchni umysłu mężczyzny. - Jeszcze jeden!
Strzelił: kula pistoletowa skrzesała iskrę na nieprzenikalnym opancerzeniu samochodu. Zdumiony nieskutecznością swej broni szef tajnej policji cofnął się. Okrzyk wściekłości wykrzywił jego usta. Przez chwilę posępne oblicze i napięcie, z jakim jego ciało zdawało się oczekiwać na nieuniknioną śmierć, jakby uosabiały ślepą nienawiść człowieka do wdzierającego się wszędzie wroga - slana.
Jedno dotknięcie przycisku i zostałby zdmuchnięty w nicość. Ale Jommy Cross nie poruszył się, nie odezwał ani słowem. Siedział sztywno, a jego dusza twardniała i lodowaciała. Popatrzył obojętnie na mężczyznę, a potem na ciało Kathleen. I wreszcie nadbiegła beznamiętna myśl, że jako jedyny posiadacz tajemnicy energii atomowej nie może sobie pozwolić na miłość, na normalne życie. W całym tym świecie tak sobie nienawistnych ludzi i slanów pozostała mu tylko nieubłagana pilność jego wyższego przeznaczenia.
Z tajnego wejścia zaczęli wybiegać następni ludzie, mężczyźni z pistoletami maszynowymi, które bezowocnie ujadały w stronę jego samochodu. I nagle wyczuł pośród nich dwa ekrany, co wskazywało na obecność dwóch bezczułkowych slanów. Po chwili poszukiwań wzrokiem wykrył jednego z nich, w momencie gdy tamten wcisnąwszy się do kąta nadawał szeptem zwięzły meldunek przez naręczny nadajnik. Słowa przebiegały wyraźnie po powierzchni jego umysłu:
- …model 7500 na podwoziu pięciometrowym… Ogólny typ fizyczny

7, głowa 4, broda 4, usta 3, oczy brązowe typ 13, nos l, policzki 6... koniec.

Mógł ich wszystkich zmiażdżyć, całą tę upiorną sprzedajną ekipę. Ale żadna myśl o zemście nie mogła wtargnąć do wyziębłego, transcendentalnego przestworu jego mózgu. W tym szalonym wszechświecie liczyło się wyłącznie bezpieczeństwo tajemnicy okrywającej jego broń i wynikające z tego oczywiste wnioski.

Cofnął samochód i odjechał z szybkością, jakiej ich nogi nie mogły sprostać. Miał przed sobą koryto podziemnego strumienia zasilającego ogrody. Zanurkował w nie, rozszerzając swymi dezintegratorami na przestrzeni kilkuset metrów nierówne łożysko stworzone przez naturę. Potem skręcił w dół, pozwalając wodzie napłynąć jego śladem i zakryć tunel, a potem w górę, by woda nie musiała wypełniać zbyt wielkiej przestrzeni.

W końcu wyrównał i pomknął przez podziemną ciemność. Nie mógł jeszcze skierować się ku powierzchni; wiedział, że bezczułkowi slani polecili swym krążownikom czekać właśnie na taką okazję.

Pokrywa czarnych chmur wisiała nad pogrążonym we śnie światem, kiedy Jommy Cross wynurzył się wreszcie ze zbocza góry. Odczekał chwilę, a potem z drobiazgową dokładnością podciął wylot tunelu grzebiąc go pod tonami spadających skał - i wzbił się w powietrze. Po raz drugi włączył odbiornik dostrojony do częstotliwości slanów bezczułkowych i tym razem w samochodzie rozległ się męski głos:

- ...teraz przybył Kier Gray i przejął ciało. Wygląda na to, że organizacja gadów po raz kolejny dopuściła do zlikwidowania osobnika swojego gatunku nie czyniąc nic, by go ocalić; nie zauważono nawet żadnej próby działania. Już czas, żebyśmy wyciągnęli właściwe wnioski z ich porażek i przestali dopuszczać możliwość oporu z ich strony jako czynnik mogący wpłynąć na realizację naszych planów. Tym niemniej pozostaje nadal nieobliczalne zagrożenie, jakie przedstawia sobą istnienie tego mężczyzny, Crossa. Należy w tym miejscu jasno stwierdzić, że nasze działania wojenne przeciwko Ziemi trzeba zawiesić do chwili zlikwidowania Crossa.

Dlatego właśnie dzięki jego dzisiejszemu niespodziewanemu pojawieniu się na scenie uzyskaliśmy znaczny postęp w pewnej istotnej sprawie. Mamy opis jego samochodu i dokonaną przez eksperta analizę jego typu fizycznego. Może się teraz dowolnie ucharakteryzować, ale nie jest w stanie zmienić struktury kostnej swojej twarzy, a nawet natychmiastowe zniszczenie samochodu nie usunie śladów. Modelu 7500 sprzedano tylko kilkaset tysięcy sztuk. Ten był z pewnością skradziony, ale można go odszukać.

Dowództwo akcji powierzono Joannie Hillory, która przeprowadziła bardzo szczegółowe studium tego gada. Pod jej kierownictwem

wywiadowcy spenetrują każdy dystrykt na każdym kontynencie. Na Ziemi muszą istnieć zakątki, do których nie dotarliśmy: dolinki, obszary prerii, a szczególnie rejony rolnicze. Takie miejsca należy wyizolować i założyć w nich komórki policji.
Gady nie mogą się z nim w żaden sposób skontaktować, ponieważ kontrolujemy wszystkie środki łączności. A poczynając od dziś nasi obserwatorzy będą zatrzymywać i sprawdzać każdą osobę o parametrach fizycznych twarzy odpowiadających jego charakterystyce.
To go wyłączy z obiegu. Zapobiegnie także możliwości znalezienia przez niego gadów i da nam czas potrzebny na nasze poszukiwania. Niezależnie od tego, ile to potrwa, musimy zlokalizować siedzibę tego niebezpiecznego slana. Nie możemy dopuścić do porażki. Tu Kwatera Główna, koniec komunikatu.
Pędzące powietrze zawodziło i gwizdało, rozcinane karoserią samochodu mknącego poniżej skłębionych czarnych chmur. A więc rozpoczęcie wojny przeciw światu ludzi było teraz ściśle uzależnione od jego własnego losu; wyrok odroczono na czas nieokreślony - i dla niego, i dla świata. Ci metodyczni slani oczywiście go znajdą. Przedtem im się nie udało, bo zadziałał nieznany czynnik - jego broń - ale to już wiedzieli; poza tym taki czynnik nie wpłynie na ich gorączkowe poszukiwania.
Przez kilka minut rozważał możliwość napaści na swoją dolinę i w końcu ustalił jeden czynnik działający na jego korzyść, jedną niewiadomą. Owszem, znajdą go. Ale ile czasu im to zajmie?

16

Zajęło im to cztery lata; w dniu, w którym organizacja slanów bezczułkowych uderzyła z zaskakującą, niewyobrażalną gwałtownością, Jommy Cross miał już od dwóch miesięcy dwadzieścia trzy lata. Owego dusznego, niemile upalnego dnia zszedł powoli po schodach werandy i zatrzymał się na dróżce dzielącej ogród na dwoje. Snuł łagodne, ciche myśli o Kathleen i swych od dawna nieżyjących rodzicach. A nie powodował nim żal ani nawet smutek, lecz głębokie, filozoficzne poczucie ogromu tragedii życia.
Ale żadna introspekcja nie była w stanie przytępić jego zmysłów. Postrzegał otoczenie z nadnaturalną, nieludzką wyrazistością. Z dokonujących się w nim przez owe cztery lata przemian właśnie owa percepcja wszystkiego najwyraziściej wskazywała na zbliżanie się dojrzałości. Nic nie uchodziło jego uwadze. Fale ciepła tańczyły na tle niższych partii odległej o trzydzieści kilometrów góry, gdzie ukryty był jego statek kosmiczny. Ale żadne zawirowania cieplne nie mogły przesłonić obrazu w oczach, które w ułamku sekundy postrzegały wielokrotnie więcej niż oko ludzkie. Szczegóły przenikały, a tam,

gdzie jeszcze przed kilkoma laty widziałby nieczytelne plamy, nieostre nawet dla jego wzroku, powstawał stabilny, jasny obraz.
Rój muszek przemknął obok Babuni klęczącej przy klombie. Słabiutkie fale życiowe maleńkich owadów połaskotały superczułe receptory w jego mózgu. Gdy tak stał, poszept dźwięków z oddali dobiegł do jego uszu. Smużka myśli przyćmiona odległością musnęła umysł. I tak, pomimo niesamowitej złożoności, powstawał stopniowo w jego mózgu kalejdoskop życia doliny, istna symfonia wrażeń układających się pięknie w spójną całość.
Kobiety i mężczyźni przy pracy, bawiące się dzieci, śmiech, jadące ciągniki, ciężarówki, samochody - mała wiejska społeczność witająca kolejny dzień w starym, tradycyjnym stylu. Spojrzał ponownie na Babunię. Jego umysł wsączył się na moment do jej bezbronnego mózgu, a taka była jego moc czytania myśli, że przez tę chwilę czuł to tak, jakby stała się jeszcze jedną częścią jego ciała. Z mózgu Babuni pomknął do jego umysłu kryształowo czysty obraz czarnej ziemi, na którą patrzyła. Wysoki kwiat bezpośrednio przed jej oczyma zamajaczył w jej i w jego umyśle. Gdy tak patrzył, w polu widzenia pojawiła się jej dłoń, trzymająca małego, czarnego żuka. Triumfalnie zmiażdżyła owada, a potem, zadowolona z siebie, wytarła o piach zaplamione palce.
- Babuniu! - odezwał się Cross. - Czy ty nie potrafisz stłumić swoich morderczych instynktów?
Stara dama podniosła ku niemu wzrok, a na jej miłej, pomarszczonej twarzy malowała się wojownicza zadziorność, wspomnienie po dawnej Babuni.
- Bzdura! - parsknęła. - Już przez dziewięćdziesiąt lat tłukę te diablątka, a przedtem moja matka to samo im robiła, hę, hę, hę!
Zaniosła się zdziecinniałym, starczym chichotem. Cross lekko zmarszczył brwi. Pod względem fizycznym w klimacie zachodniego wybrzeża Babunia kwitła, ale z hipnotycznej rekonstrukcji jej umysłu nie był zadowolony. Oczywiście miała swoje lata, ale ciągłe używanie przez nią pewnych zdań, na przykład o tym, co kiedyś robiła ona, a przed nią jej matka, brzmiało zbyt mechanicznie. Wpisał jej to pojęcie przede wszystkim po to, by wypełnić olbrzymią lukę, jaka powstała po wyrwaniu z korzeniami jej własnych wspomnień, ale któregoś dnia będzie musiał spróbować na nowo.
Zaczął się odwracać i właśnie w tym momencie do jego mózgu zakołatało ostrzeżenie, ostra pulsacja odległych myśli z zewnątrz: - Samoloty! - myśleli ludzie. - Tyle samolotów!
Minęło już wiele lat, od kiedy Jommy Cross zaszczepił mieszkańcom doliny sugestię hipnotyczną, by każdy, kto zauważy coś niezwykłego, sygnalizował to podświadomością, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Owoce ówczesnej zapobiegliwości nadchodziły teraz jako

ostrzeżenie, fala za falą, od dziesiątek umysłów.
A potem zobaczył samoloty: kropeczki nurkujące sponad góry, zdążające z grubsza w jego kierunku. Jego umysł strzelił ku nim jak atakująca mangusta, sięgając do mózgów pilotów. Owo pierwsze rozpoznawcze wejrzenie napotkało sztywno postawione ekrany mentalne bezczułkowych slanów. W pełnym biegu porwał z ziemi Babunię i wpadł do domu. Zatrzasnęły się drzwi z dziesięciopunktowej stali, a w tym samym momencie wielki, błyszczący odrzutowiec transportowy z wojskiem na pokładzie osiadł jak wielki ptak pomiędzy kwiatkami w ogrodzie Babuni.
Cross myślał w napięciu: „Samolot na każdym podwórku. To znaczy, że nie wiedzą dokładnie, w którym domu jestem. Ale teraz nadlecą statki kosmiczne, żeby dokończyć robotę. I to bardzo dokładnie dokończyć!”.
No tak - on także był dokładny i stało się oczywiste, że teraz kiedy go do tego zmuszono, musi forsować swój plan do granic możliwości. Czuł absolutną pewność i nie miał żadnych wątpliwości.
Wątpliwości i konsternacja opadły go w minutę później, kiedy spojrzał na swój podziemny wideoekran. Pancerniki i krążowniki pojawiły się, owszem, ale nie tylko one - towarzyszył im jeszcze inny statek. Statek! Potwór, wypełniający połowę ekranu; jego kolisty kadłub rozciągał się na całą dolną ćwiartkę nieba. Kilometrowej średnicy okrąg, dziesięć milionów ton metalu, spływający w dół lżej niż powietrze, jak spłaszczony nieważki balon, gigantyczny, niewyobrażalnie groźny już przez samo wrażenie nieograniczonej potęgi.
I nagle ożył! Z pancernej burty trysnął snop białego ognia o stumetrowej średnicy… i szczyt góry, lita skała, spłynął pod tym okropnym ciosem.
Góra, gdzie ukryty był jego statek, jego życie - niszczona kontrolowaną energią atomową!
Cross stał bez ruchu na dywanie pokrywającym stalową podłogę tego stalowego laboratorium. Ze wszystkich stron dobijały się do jego mózgu smużki ludzkich bezładnych myśli. Postawił swój ekran ochronny i rozpraszający go harmider zewnętrznych głosów ustał, jak nożem uciął. Za jego plecami słabo jęknęła przerażona Babunia. Gdzieś dalej, w górze, ciosy młotów spadały na prawie niezniszczalny domek, ale stłumione odgłosy opętańczego łoskotu nie zdołały go rozproszyć. Teraz był sam, w świecie osobistej ciszy, w świecie szybkich, niezakłóconych myśli.
Jeżeli zdecydowali się na użycie energii atomowej, to czemu nie zasypali go bombami? Tysiące zsynchronizowanych myśli pośpieszyło, by dać prostą odpowiedź. Potrzebowali jego doskonałej formuły energii atomowej. Ich metoda nie stanowiła wykorzystania formuły znakomitej raczej bomby wodorowej z dawnych lat, opartej na

ciężkiej wodzie, uranie i reakcji łańcuchowej. Cofnęli się do jeszcze wcześniejszego stadium, do prymitywnego rozwinięcia zasad‘7d cyklotronu. Tylko to mogło tłumaczyć takie rozmiary statku. To był ważący dziesięć milionów ton akcelerator, mogący rozsiewać dziki, śmiercionośny strumień energii; bez wątpienia liczyli na wykorzystanie jego ruchomości, aby zmusić Crossa do wydania bezcennego sekretu.
Odwrócił się błyskawicznie do pulpitu sterowniczego, który biegł wzdłuż całej tylnej ściany laboratorium. Pstryknął przełącznik. Ożyły wskaźniki. Tańczące wskazówki opowiedziały o losie statku ukrytego tam, pod rozpływającą się górą, statku tętniącego mechanicznym życiem, wkopującego się teraz automatycznie głębiej pod ziemię i równocześnie zmierzającego jak po sznurku w stronę laboratorium.
Jedna z gałek zmieniła pozycję i cały rząd wskazówek za przezroczystymi szybkami skoczył z zera do pierwszej kreski podziałki, nieruchomiejąc tam z lekkim drżeniem. One także zdały relację - relację o atomowych miotaczach wysuwających się z ziemi, gdzie tak długo pozostawały w ukryciu - a gdy Cross ujął precyzyjny przyrząd, urządzenie celownicze, dwadzieścia dział o niespotykanej sile rażenia poruszyło się z doskonałą synchronizacją.
Cieniutkie jak włos kreseczki nasunęły się na olbrzymi kadłub statku, którego nie sposób było nie trafić. I zatrzymały się. Co zamierzał osiągnąć w walce z tymi bezlitosnymi nieprzyjaciółmi? Nie chciał strącić tej potwornej maszyny na ziemię. Nie chciał stworzyć sytuacji, w której slani i ludzie mogliby rzucić się do zawziętej walki o zawładnięcie wrakiem. Miał pewność, że ludzie walczyliby zawzięcie i nieustraszenie. Ich wielkie samobieżne działa mogły przecież miotać pociski zdolne przebić każdy metal, jakim dysponowali slani. A gdyby któryś z owych statków uzbrojeniem przewyższających technicznie wynalazki człowieka kiedykolwiek wpadł w ludzkie ręce, w mgnieniu oka ludzie mieliby swoje statki kosmiczne i rozpętałaby się piekielna wojna. Nie, tego nie chciał.
Wolał nie niszczyć statku także dlatego, że nie chciał zabić bez-czułkowych slanów na jego pokładzie. Bo jakby na to nie patrzeć, slani bezczułkowi reprezentowali prawo i porządek, które on sam respektował. Zasługiwali na litość także dlatego, że należeli do wspaniałej i zdecydowanie mu bliskiej rasy.
Wobec takich ustaleń znikło wahanie. Cross wycelował baterię zsynchronizowanych miotaczy w sam środek kolosalnego cyklotronu. Nacisnął kciukiem guzik spustowy. Ponad nim kilometrowe koło statku zatoczyło się niczym słoń rażony potwornym ciosem. Kołysało się wściekle jak okręt na wzburzonym morzu, a kiedy na moment pochyliło się zawrotnie w jedną stronę, przez ziejącą dziurę dojrzał błękitne niebo - i zrozumiał, że zwyciężył.

Przeciął ogromną spiralę od końca do końca. Teraz w każdym jej zwoju powstał przeciek bezlitośnie rozpraszający energię. Żadna wiązka atomów, choćby nie wiadomo jak rozpędzona, nie mogła przelecieć przez to sito nie odkształcona. Potęga cyklotronu została złamana - ale wszystkie implikacje płynące z pojawienia się tego kolosa pozostały. Zmarszczywszy brwi Cross obserwował, jak statek na moment niepewnie zawisł w miejscu. Powoli zaczął się wycofywać, najwyraźniej z pełną mocą płyt antygrawitacyjnych. Wznosił się wyżej i wyżej, tym mniejszy, im bardziej się oddalał.
Na wysokości stu kilometrów nadal był większy od pancerników wiszących dziobami w kierunku zielonej, prawie nietkniętej doliny. A implikacje płynące z całego zajścia stały się teraz wyraźniejsze, poważniejsze i śmiertelnie groźne. Sposób przeprowadzenia ataku wykazał, że już wiele miesięcy wcześniej musieli wykryć jego działalność w tej dolinie.
Najwyraźniej czekali, aż będą w stanie przypuścić jeden zorganizowany, tytaniczny atak, aby wykurzyć go na zewnątrz, gdzie mogliby go tropić w dzień i w nocy za pomocą przyrządów i w końcu przez samą przewagę liczebną i w uzbrojeniu zlikwidować go i zdobyć jego sprzęt.
Cross zwrócił się spokojnie do Babuni.
- Zostawiam cię tutaj. Wypełnij moje polecenia co do joty. Za pięć minut od teraz, zamykając za sobą wszystkie metalowe drzwi, wejdziesz na górę drogą, którą zeszliśmy. Potem zapomnisz o tym laboratorium. Możesz o nim spokojnie zapomnieć, bo i tak ma zostać zniszczone. Jeśli będą cię przesłuchiwać, zachowuj się jak zdziecinniała staruszka, ale poza tym bądź normalna. Pozostawiam cię w obliczu tego zagrożenia, bo pomimo moich środków bezpieczeństwa nie mam już pewności, czy wyjdę z tego z życiem.
Odczuwał chłodne, bezosobowe zainteresowanie faktem, że nadszedł moment działania. W zamierzeniach slanów bezczułkowych ten atak na niego mógł stanowić tylko część obszerniejszego projektu obejmującego ich długo odraczaną napaść na Ziemię. Zaplanował wszystko na każdą ewentualność najdokładniej, jak potrafił; choć zdarzyło się to o wiele lat za wcześnie, teraz musiał już popychać sprawę do granic swych sił. Uciekał i nie mogło być odwrotu - bo za nim czyhała tylko nagła śmierć!
Statek Crossa wynurzył się dziobem z małej rzeczułki i długą, stromą świecą pomknął ku przestrzeni kosmicznej.- Co ważne, nie powinien stać się niewidzialny, póki slani nie zobaczą na własne oczy, że wymknął się z doliny, bo inaczej zrównają ją z ziemią w bezowocnych poszukiwaniach. Ale najpierw musiał zrobić coś innego.
Ustawił przełącznik we właściwej pozycji i wbił wzrok w tylny wideoekran, który pokazywał oddalającą się za rufą dolinę. W

licznych punktach owego zielonego dywanu (policzył je błyskawicznie) tryskały w górę białe płomienie dziwnych, plamistych ogni. Tam, w dole, każda broń, każda atomowa maszyna obracała swą moc przeciw sobie. Płonęły komory spalania, płynął metal stopiony niszczycielską erupcją energii.
Kiedy kilka sekund później odwracał się z posępnym uśmiechem, nad doliną wisiała jeszcze biała łuna. Niech sobie teraz grzebią w tym umęczonym, poskręcanym metalu. Niech ich uczeni harują, by przywrócić do życia sekret, którego pożądali tak rozpaczliwie, że aby go zdobyć, ujawnili się tam, gdzie ludzie mogli zobaczyć część ich potęgi. We wszystkich wypalonych kryjówkach w dolinie nie znajdą absolutnie nic!
Zniszczenie wszystkiego, co przedstawiało tak olbrzymią wartość dla napastników, zajęło kilkanaście sekund, ale to wystarczyło, by go dostrzegli. Cztery czarne jak noc pancerniki zrobiły równocześnie zwrot w jego stronę - a potem zawisły niezdecydowanie, gdy uruchomił mechanizm czyniący jego statek niewidzialnym.
W jednej chwili stało się jasne, że tamci mają detektory energii atomowej: ich statki bezbłędnie ruszyły za nim. Dzwonki alarmowe sygnalizowały, że inne jednostki odcinają mu drogę z przodu. Tylko niedoścignione silniki atomowe uratowały go przed potężną flotą; było tam tyle jednostek, że nawet nie próbował ich policzyć, a wszystkie, którym udało się do niego zbliżyć, kierowały miotacze tam, gdzie wskazywały ich przyrządy. Chybili, bo w tym samym momencie, kiedy go wykryto, odskoczył poza zasięg ich najcięższych dział.
Jego całkowicie niewidzialny statek pędząc z szybkością wielu kilometrów na sekundę zmierzał na Marsa! Jednym skokiem przedostał się przez pola minowe, ale teraz nie stanowiło to już problemu. Niszczycielskie pole dezintegracyjne wybiegające z burt jego wielkiej maszyny pożerało miny, nim zdążały eksplodować, i zarazem likwidowało każdą falę świetlną, która jakimś czujnym oczom mogłaby ujawnić jego jednostkę pomykającą teraz w pełnym blasku Słońca.
Była tylko jedna różnica. Miny ulegały likwidacji, zanim stykały się ze statkiem. Światło, mające naturę falową, mogło zostać zniszczone tylko w ułamku sekundy, kiedy dotknęło statku i zaczęło się odbijać. W samym momencie odbicia jego prędkość malała, a cząsteczki, z których się w zasadzie składało, wydłużały się zgodnie z prawem kontrakcji Lorentza-FitzGeralda - i w tym momencie prawie zupełnego bezruchu dezintegratory unicestwiały wściekłą nawałnicę promieni słonecznych.
Ponieważ światło musiało najpierw dotknąć ścian pojazdu, a te absorbowały je równie łatwo jak zwykle, wideoekrany działały po staremu. Niewidzialny statek pędził przed siebie, niezauważalny dla

niczyich oczu, a przez cały czas do wnętrza docierał dokładny obraz wszystkiego, co się działo na zewnątrz. Można było odnieść wrażenie, że statek tkwi nieruchomo w przestrzeni międzyplanetarnej, i przeczył mu tylko fakt stałego powiększania się rozmiarów Marsa. Z odległości dwóch milionów kilometrów wyglądał jak olbrzymia świecąca półkula wielkości widzianego z Ziemi Księżyca; rósł jak nadmuchiwany balon, aż wreszcie jego ciemna bryła utraciwszy czerwony odcień wypełniła połowę nieba.

Kontynenty nabrały kształtów; potem góry, morza, niesamowite przepaści, nagie i usłane skałami równiny. Obraz sposępniał, zestraszniały wszystkie niegościnne cechy tej starej, zniszczonej erozją planety. Mars widziany z odległości pięćdziesięciu tysięcy kilometrów przez elektryczny teleskop wyglądał jak zgrzybiały, zasuszony człowiek, kościsty, brzydki, oziębły, po starczemu zapluty, słowem - niesłychanie odpychający.

Ciemny obszar Mare Cimmerium wyglądał jak potworne zębate morze. Spokojnie, omalże bez śladu fal rozlewały się jego wody pod wiecznie błękitnym niebem, ale nigdy żaden statek nie mógł pruć tej spokojnej toni. Ciągnące się kilometrami poszczerbione skały sterczały nad powierzchnią wody. Nie było widać żadnych kresek czy kanałów - tylko morze i wystające skały. Wreszcie Cross dostrzegł miasto przedstawiające pod swym olbrzymim szklanym dachem przedziwnie migotliwy widok; potem mignęło drugie i trzecie.

Zanurkował w przestrzeń daleko, daleko obok Marsa, na wyłączonych silnikach, a żadna część jego statku nie emanowała nawet minimalnej ilości energii atomowej. Był to jedynie środek ostrożności. Przy tak olbrzymich odległościach można się było nie obawiać urządzeń wykrywających.

W końcu pole grawitacyjne planety zaczęło hamować jego lot. Z wolna długa maszyna poddała się potężnemu przyciąganiu i zaczęła opadać ku nocnej stronie globu. A był to proces powolny. Ziemskie dni rozciągnęły się na ziemskie tygodnie. Aż w końcu uruchomił napęd, lecz nie atomowy, a płyty antygrawitacyjne, których nie użył ani razu od czasu zainstalowania silników atomowych.

A potem siedział nie śpiąc, dzień za dniem wpatrując się w ekrany, podczas gdy siła odśrodkowa planety łagodziła jego szybkie opadanie. Pięć razy paskudne kule z ciemnego metalu - miny - mknęły w jego stronę. Za każdym razem uruchamiał na kilka sekund pożerające wszystko dezintegratory burtowe - a potem czekał na statki, które mogły wykryć chwilowe użycie energii. Kilkanaście razy włączały się sygnały alarmowe, a na ekranach rozbłyskiwały światełka, ale żaden statek nie zbliżył się na odległość rażenia. Planeta rozrosła się pod nim ogromnie i wypełniła czarnym cielskiem cały horyzont. Po ciemnej stronie globu było niewiele punktów orientacyjnych, jeśli nie liczyć

miast. Jednakże tu i tam kałuże światła wskazywały na jakąś działalność i obecność mieszkańców, i w końcu znalazł to, czego potrzebował. Płomyczek maleńki, jak kropeczka, niczym świeca pełgająca w oddali pośród mroku.
Okazało się, iż jest to mała kopalnia, a światło pochodziło z domku zamieszkanego przez czterech bezczułkowych slanów, nadzorujących pracę całkowicie automatycznych urządzeń kopalni. Było już prawie ciemno, kiedy Cross wrócił na statek zadowolony, że znalazł to, o co mu chodziło.
Kiedy następnej nocy po raz drugi osadził statek w wąwozie prowadzącym do czoła wyrobiska kopalni, otulina czerni spowijała planetę niczym ciemna tkanina. Nie drgnął nawet żaden cień. Żaden dźwięk nie zakłócił ciszy, kiedy Cross posuwał się ku wejściu do kopalni. Ostrożnie wyjął jeden z metalowych pojemników mieszczących jego hipnotyzujące kryształy, wcisnął ów wyglądający jak szkło, atomowo niestabilny obiekt w szczelinę skalnej bramy, zerwał osłonę ochronną... i odskoczył, zanim jego własne ciało zdążyło zadziałać na wolno reagujący przedmiot. Przyczaił się w cieniach wąwozu. Czekał.
Po dwudziestu minutach drzwi domku otworzyły się. Strumień światła z wewnątrz oświetlił sylwetkę wysokiego młodego mężczyzny. Potem drzwi się zamknęły; w dłoni skrytej w cieniach postaci błysnęła latarka, zamigotała wzdłuż drogi, którą szedł tamten, i w końcu wydobyła z kryształu błysk odbitego światła.
Zdumiony mężczyzna podszedł bliżej i pochylił się, by obejrzeć szkiełko. Po powierzchni-jego niedbale ekranowanego mózgu przebiegały wyraźne myśli:
- Zabawne! Dziś rano tego kryształka tu nie było. - Wzruszył ramionami. - Widocznie jakiś kamień się obsunął, a kryształek siedział za nim.
Zagapił się na kryształ, nagle zaniepokoiwszy się jego czarem. Do jego czujnego umysłu wtargnęło podejrzenie. Rozpatrywał sprawę na zimno, z żelazną logiką. I kiedy z wąwozu strzeliła ku niemu paraliżująca wiązka Crossa, odskoczył pod osłonę wnęki. Padł nieprzytomny tuż za progiem jaskini.
Cross skoczył do przodu; po kilku minutach miał już mężczyznę daleko w głębi wąwozu, dalej od kopalni, niż mógł sięgnąć jakikolwiek dźwięk. Ale nawet przez te pierwsze kilka minut jego umysł wnikał przez zdruzgotany ekran mentalny tamtego, szperając.
Była to powolna robota, bo poruszanie się w nieprzytomnym umyśle przypominało chodzenie pod wodą, tak opornie to szło. Ale nagle znalazł to, czego szukał; korytarz pozostawiony przez świadomość struktury kryształu.
Błyskawicznie podążył mentalną ścieżką aż do jej odległego końca w

skomplikowanych strukturach pnia mózgu. Rozbiegało się tu przed nim bezładnie tysiąc rozpraszających się na wszystkie strony ścieżek. Zawzięcie, z bezpieczną, a zarazem desperacką szybkością pognał nimi, ignorując te bez wątpienia niewłaściwe. A potem raz jeszcze, niczym włamywacz, który otwiera sejf i przez nasłuchiwanie cichutkiego pstryknięcia trybików osiągnął kolejny etap rozwiązywania kombinacji, raz jeszcze otworzył przed sobą kluczowy korytarz.

Osiem kluczowych ścieżek, piętnaście minut i już miał kombinację - miał mózg.

Pod wpływem jego zabiegów mężczyzna nazwiskiem Miller westchnąwszy ożył. I natychmiast zatrzasnął ekran mentalny.

- Bądź rozsądny - powiedział Cross. - Opuść ekran. Ekran opadł; zaskoczony bezczułkowy slan gapił się na niego w ciemności, a przez jego umysł przemknęło niedowierzanie.

- Wielkie nieba, zahipnotyzował mnie - wystękał ze zdumieniem. - Jak ci się to, do cholery, udało?

- Tej metody mogą używać tylko zwyczajni slani, zatem wyjaśnienia byłyby bezcelowe - odparł chłodno Cross.

- Zwyczajny slan! - powiedział powoli tamten. - A więc to ty jesteś Cross!

- Zgadza się.

- Przypuszczam, że wiesz, w co się pakujesz - ciągnął Miller. - Ale nie rozumiem, co spodziewasz się uzyskać przez zdobycie nade mną kontroli.

Nagle umysł Millera uświadomił sobie dziwaczność i niesamowitość konwersacji w ciemnym wąwozie, pod czarnym, ukrytym za mgłą niebem. Widoczny był tylko jeden z dwóch księżyców Marsa, rozmyty biały kształt, majaczący w oddali na rozległym nieboskłonie.

- Jak to jest - powiedział pośpiesznie - że mogę z tobą gadać, a nawet się spierać? Myślałem, że hipnoza działa otępiające.

- Hipnoza - wszedł mu w słowo Cross, nie przerywając przeszukiwania mózgu tamtego - jest nauką, która kojarzy wiele czynników. Pełna kontrola pozwala podmiotowi na pozornie zupełną swobodę, tyle tylko, że jego wola jest całkowicie opanowana z zewnątrz. Ale dość tego, nie mam czasu na gadanie.

Jego głos stwardniał, a umysł wycofał się z mózgu tamtego.

- Masz jutro wolny dzień. Pójdziesz do biura statystycznego i ustalisz nazwiska i obecne miejsca pobytu wszystkich mężczyzn o takiej jak moja strukturze fizycznej.

Przerwał, bo Miller zachichotał cicho. Jego umysł i głos powiedziały: - Wielkie nieba, chłopie, mogę ci to od razu powiedzieć. Wszyscy zostali zlokalizowani, kiedy kilka lat temu przyszedł twój rysopis. Są stale pod obserwacją; wszyscy są żonaci i… - zawiesił głos.

- No, dalej! - rzucił Cross ironicznie.
- Mężczyzn, którzy cię przypominają w najdrobniejszych szczegółach, jest razem dwudziestu siedmiu, zaskakująco wysoki odsetek.
- Dalej!
- Jeden z nich ma żonę, która w zeszłym tygodniu doznała poważnego urazu głowy w wypadku statku kosmicznego. Odbudowują jej mózg i czaszkę, ale…
- Ale to zajmie parę tygodni - dokończył za niego Cross - a facet nazywa się Barton Corliss. Pracuje w fabryce statków kosmicznych koło Cimmerium i jeździ tak jak ty do miasta co cztery dni.
- Na takich, co potrafią czytać w myślach - powiedział ponuro Miller - powinny być wyroki z natychmiastowym wykonaniem. Na szczęście nakryją cię odbiorniki Porgrave'a - dokończył nieco radośniej.
- Co takiego? - odezwał się ostro Cross. Już przedtem zauważył w umyśle Millera coś o czytaniu myśli, ale nie zajął się tym dokładniej. Poza tym musiał wtedy prześledzić inne, ważniejsze rzeczy.
- Nadajnik Porgrave'a nadaje myśli, a odbiornik Porgrave'a je odbiera - powiedział chłodno Miller, a jego myśli potwierdziły każde słowo. - W Cimmerium są umieszczone co dwa metry; są we wszystkich budynkach, mieszkaniach, wszędzie. To nasze zabezpieczenie przeciw szpiegom gadów. Jedna niedyskretna myśl i koniec!
Cross milczał. W końcu odezwał się: - Ostatnie pytanie. I chcę żeby twój umysł zdradził mnóstwo myśli na ten temat. Z detalami.
- Tak?- Jak bliski jest atak na Ziemię? - Podjęto decyzję - zaczął precyzyjnie Miller - że wobec niepowodzenia ze zlikwidowaniem ciebie i zdobyciem twego sekretu panowanie nad Ziemią stało się sprawą najwyższej wagi, a to, by zapobiec na przyszłość zagrożeniom z jakiejkolwiek strony. Do tego celu mobilizuje się ogromne odwody statków kosmicznych; flota zbiera się w kluczowych punktach, ale dzień ataku, choć zapewne ustalony, nie został podany do wiadomości.
- Co zaplanowali zrobić z ludźmi?
- Do diabła z ludźmi t - wycedził chłodno Miller. - Kiedy stawką jest nasze własne istnienie, nie możemy się martwić o ludzi.
Ciemność wokoło jakby zgęstniała, a nocny chłód zaczął chyba przenikać nawet jego podgrzewaną odzież. W miarę rozpatrywania ukrytego znaczenia słów Millera, Cross z każdą chwilą coraz dosadniej odczuwał ich sens. Wojna!
- Temu atakowi można zapobiec tylko z pomocą zwyczajnych slanów - powiedział bezbarwnym głosem. - Muszę ich gdzieś znaleźć - a wyczerpałem już większość możliwości. Teraz wybiorę się w najbardziej prawdopodobne z pozostałych miejsc.
Dzień się dłużył. Słońce lśniło na granatowoczarnym bezkresie nieba jak rozjątrzona rana. Rzucało na ziemię ostre, czarne cienie; te z

upływem czasu stały się krótsze, a potem zaczęły się znowu wydłużać, kiedy Mars zwrócił swe nieprzyjazne popołudniowe oblicze ku natarczywym strugom światła.
Na horyzoncie oglądanym z miejsca, gdzie statek Crossa przyczaił się w wielkim kredowym urwisku, widać było pofalowane wzgórza na tle zacienionego nieba. Ale nawet z jego sześćsetmetrowej wysokości dawało się wyraźnie zauważyć bliskość widnokręgu. Zapadał już zmierzch i wtedy jego cierpliwe oczekiwanie zostało wynagrodzone. Mały, pomalowany w czarne pasy obiekt w kształcie cygara nadpłynął od strony horyzontu miotając ogień z rufy. Promienie zachodzącego słońca lśniły na jego metalicznej powłoce. Pomykał znacznie na lewo od miejsca, gdzie czekał Cross w swej maszynie spoczywającej niczym jakaś drapieżna bestia w tunelu zapuszczonym w głąb pękatego brzucha białej skały.
Około pięciu kilometrów, ocenił starannie Cross. Rzeczywista wielkość dzielącej ich odległości nie powinna zrobić różnicy silnikowi spoczywającemu spokojnie w maszynowni w tyle statku, gotowemu do bezszelestnej emisji potężnej mocy.
A niechby i pięćset kilometrów - ten znakomity generator zaskoczyłby bez wysiłku, bez zgubienia choć cyklu - tyle tylko, że tak tytanicznej mocy nie można było wyzwolić tam, gdzie jej siła mogła dotknąć gruntu i zebrać okrutne żniwo z tej i tak już umęczonej ziemi.
Sześć, siedem, osiem kilometrów; dokonał szybkich poprawek. Potem moc magnetorów pomknęła w przestrzeń i równocześnie zaczął działać ożywiony specjalnym silnikiem wynalazek, który opracował podczas długiej podróży z Ziemi. Fale radiowe, tak podobne do drgań używanej przez niego energii, że tylko nadzwyczaj czułe przyrządy mogły wykryć różnicę, rozbiegły się od automatycznego generatora, który umieścił tysiąc kilometrów dalej. Przez te krótkie chwile cała planeta wzdychała falami energii.
Gdzieś tam bezczułkowi slani muszą już namierzać ośrodek tej zakłócającej fali. Tymczasem użyta przez niego niewielka moc powinna ujść ich uwadze. Szybko, acz delikatnie magnetory zrobiły swoje. Daleki i nadal oddalający się statek zwolnił, jak gdyby napotkał na jakiś opór. Zwolnił, a potem przemożna siła ściągnęła go z powrotem ku kredowemu urwisku.
Nadal korzystając z fal radiowych dla zamaskowania kolejnego użycia mocy Cross bez trudu wciągnął swój statek głębiej do pękatego brzucha skały, poszerzając naturalny tunel wiązką rozpylającej wszystko energii. Potem, jak pająk muchę, wciągnął do swego legowiska mniejszą maszynę.
Po chwili otworzył się właz i w otworze pojawił się mężczyzna. Zeskoczył lekko na dno tunelu i stał przez chwilę, usiłując coś dostrzec pomimo blasku bijącego z reflektora drugiego statku. Z dużą

pewnością siebie podszedł bliżej. Wpadł mu w oko odblask światła od szkiełka na wilgotnej ścianie jaskini.
Zerknął przelotnie na kryształ i w tym momencie uderzyła go sama nadzwyczajność faktu, że w takiej sytuacji jakaś rzecz mogła odwrócić jego uwagę. Kiedy wydłubywał kryształ ze ściany, paraliżujący promień Crossa cisnął nim o ziemię.
Cross natychmiast wyłączył wszystkie urządzenia. Zaskoczył przekaźnik i daleki automatyczny nadajnik fali atomowej rozpłynął się w pożodze własnej energii.
Co do mężczyzny, to tym razem Cross musiał jedynie zrobić fotografię całej jego postaci, nagrać głos i uzależnić go hipnotycznie. Zajęło to tylko dwadzieścia minut; potem Corliss ponownie odleciał w stronę Cimmerium, pieniąc się wewnętrznie na swe zniewolenie, zewnętrznie nie mogąc nic na to poradzić.
Cross wiedział, że z tym, co musi zrobić, zanim odważy się pojawić w Cimmerium, nie wolno się śpieszyć. Wszystko trzeba było przewidzieć, starannie opracować niemal nieskończoną ilość szczegółów. Co cztery dni - w każdy wolny dzień - Corliss przybywał do jaskini; przychodził i odchodził, a w miarę upływu cennych tygodni postępował drenaż jego mózgu ze wspomnień i wszelkich istotnych szczegółów. W końcu Cross był gotowy i w następnym, siódmym wolnym dniu wcielił w życie swoje plany. Jeden Barton Corliss został w jaskini, w głębokim hipnotycznym śnie, drugi wspiął się do małej, pomalowanej w czerwone pasy rakietki i pośpieszył w stronę miasta Cimmerium.
W dwadzieścia minut później z nieba spadł błyskawicznie okręt bojowy i nakrył go potężnym cielskiem opływowej metalowej rakiety.
- Corliss! - odezwał się z odbiornika pokładowego stanowczy męski głos. - Podczas rutynowej obserwacji wszystkich slanów podobnych do gada Jommy'ego Crossa czekaliśmy tu na ciebie i stwierdziliśmy, że spóźniłeś się około pięciu minut. W związku z powyższym udasz się pod eskortą do Cimmerium, gdzie zostaniesz postawiony przed komisją wojskową w celu przesłuchania. To wszystko.

17

W taki oto głupi sposób doszło do katastrofy. Przypadek właściwie możliwy do przewidzenia, tym niemniej stanowiący gorzkie rozczarowanie. Bywało, że Barton Corliss spóźniał się aż o dwadzieścia minut i uchodziło to uwadze obserwatorów. A teraz pięć minut niemożliwego do uniknięcia spóźnienia… i długie ramię losu ugodziło nadzieję świata.
Cross spoglądał posępnie na wideoekrany. Pod nim była skała. Chropowata, pokiereszowana i niesamowicie opustoszała skała. Wąwozy nie przypominały już małych dolinek. Siekły na prawo i lewo jak osaczona dzika bestia. Z plątaniny wyłaniały się potężne kaniony,

wąwozy opadały nagle w niezgłębione otchłanie, a potem strzelały wściekle w niebo groźnymi rafami gór. Gdyby kiedyś zapragnął uciekać, to nietknięte ludzką stopą pustkowie miało być jego drogą, bo żaden porwany statek, choćby olbrzymi i wspaniały, nie miał szans na przedarcie się przez sieć, jaką bezczułkowi slani mogli rozpostrzeć pomiędzy nim a jego niezniszczalną maszyną.
Pewne nadzieje oczywiście pozostawały. Miał pistolet atomowy zbudowany na kształt broni Corlissa, strzelający rzeczywiście wyładowaniami elektrycznymi, dopóki nie został uruchomiony sekretny mechanizm wyzwalający udar energii atomowej. A ślubna obrączka na palcu, wykonana jako najdokładniejsza kopia noszonej przez Corlissa, bardzo różniła się od pierwowzoru, a to tym, że mieściła najmniejszy skonstruowany kiedykolwiek generator atomowy i podobnie jak pistolet była tak zaprojektowana, by się samounicestwić w przypadku próby demontażu. Dwie sztuki broni i tuzin kryształów - i tym miał powstrzymać wybuch wojny nad wojnami?!
Ląd, który umykał teraz pod jego eskortowanym statkiem, wyglądał coraz bardziej dziko. Na dnie owych pierwotnych otchłani zaczęły się pojawiać brudne pasma czarnej, nieruchomej wody, początek szpetnego, nieczystego morza - bo właśnie takie było Marę Cimmerium.
I nagle dojrzał coś, czego nie stworzyła natura. Na górskim płaskowyżu po prawej stronie spoczywał krążownik przywodzący na myśl wielkiego, czarnego, żerującego rekina. Wokół niego zalegał bez ruchu na skale rój trzydziestometrowych kanonierek, ławica kąśliwie wyglądających rybek głębokiego Kosmosu, częściowo skrywająca jeszcze groźniejszą prawdę o lądzie, na którym spoczywały ich twarde brzuchy. Pod przenikliwym spojrzeniem Crossa góra ukazała swe przedziwne oblicze - fortecy skonstruowanej ze stali i głazów. Czarna stal, chytrze wpleciona między czarne głazy; gigantyczne działa wymierzone w niebo.
A tam, tym razem po lewej stronie, następny krążownik z eskadrą statków osłaniających, ciężko spoczywające w prawie niedostrzegalnych łożach. Działa coraz większego kalibru, wszystkie wymierzone w niebo, jak gdyby oczekujące w napięciu na spodziewanego lada moment niesłychanie niebezpiecznego wroga. Tyle konstrukcji obronnych, taka niesamowita ilość broni ofensywnej - przeciw komu? Czy to możliwe, by slani bezczułkowi aż tak obawiali się zwyczajnych, że nawet ta cała potężna broń nie była w stanie stłumić ich lęku przed owymi nieuchwytnymi istotami?
Dwieście kilometrów twierdz, dział i statków! Dwieście kilometrów nieprzejezdnych wąwozów, rozlewisk i przerażająco stromych urwisk. A potem statek Crossa i eskortująca go wielka opancerzona jednostka

wzbiły się ponad wielką górę - a tuż za nią lśniło szklane miasto Cimmerium. Nadeszła godzina jego przesłuchania.
Miasto rozsiadło się wysoko na równinie biorącej początek nad poszarpanym, stromo opadającym brzegiem wąskiej zatoki o ciemnych, nieruchomych wodach. Szkło lśniło w słońcu ognistym białym żarem, który pomykał po jego powierzchni żywymi, płomienistymi rozbłyskami. Nie było to miasto wielkie, na tyle jednak duże, na ile to było możliwe na tym niegościnnym skrawku lądu. Wciskało się z zuchwałą precyzją aż po sam skraj urwiska okalającego szklany dach. W najszerszym miejscu miało pięć kilometrów, w najwęższym nie mniej niż trzy. Według danych, jakie uzyskał od Millera i Corlissa, w jego granicach mieszkało dwieście tysięcy slanów.
Lądowisko znajdowało się tam, gdzie się tego spodziewał. Stanowił je pocięty błyszczącymi nitkami szyn, płaski metalowy obszar przy jednym z wysuniętych krańców miasta, wystarczająco rozległy, by zmieścić okręt bojowy. Mała rakietka Crossa opadła lekko ku jednemu z torowisk i osiadła na metalowym wózku o numerze 9977. W górze wielkie cielsko okrętu odpłynęło ku morzu i przeleciawszy nad wypiętrzoną nad urwiskiem krawędzią szklistego dachu natychmiast znikło z pola widzenia.
Pod nim automatycznie napędzany wózek toczył się po swoich szynach w stronę wielkiej stalowej bramy. Brama samoczynnie otworzyła się i zatrzasnęła za nim.
To co uchwycił jego bystry wzrok w owym pierwszym momencie po wjechaniu do środka, nie zaskoczyło go, ale rzeczywistość znacznie przerosła obraz, jaki znał z umysłów Millera i Corlissa. W sektorze wielkiego hangaru, który ogarniał wzrokiem, musiało się znajdować co najmniej tysiąc statków. Upakowane jak sardynki w puszce, od sufitu aż po dach, każdy na swoim wózku; a każdy, jak wiedział, można było wyprowadzić przez wystukanie odpowiedniego numeru na klawiaturze kontrolnej sektora.
Maszyna zatrzymała się. Cross zszedł obojętnie na dół i skinął lekko głową trzem czekającym na niego slanom. Najstarszy z nich wystąpił naprzód z nikłym uśmiechem na twarzy.
- No to zarobiłeś następną weryfikację, Barton. Spodziewaj się szybkiej, dokładnej roboty - jak zwykle, oczywiście: odciski palców, rentgen, analiza krwi, odczyn chemiczny skóry, mikroskopowa analiza włosów, i tak dalej.
Pod powierzchnią myśli przeciekających z mózgów trzech mężczyzn kryło się oczekiwanie. Ale Cross nie musiał czytać owych myśli. Nigdy przedtem nie był tak czujny, nigdy jego mózg nie pracował tak jasno, tak dokładnie rozpoznając najdrobniejsze różnice w szczegółach.
- Od kiedy to odczyn chemiczny skóry należy do procedury weryfikacji?

Ani mężczyźni nie przeprosili za tę małą pułapkę, ani ich mózgi nie wykazywały żadnego rozczarowania niepowodzeniem. Cross zaś nie odczuł dreszczyku zadowolenia tym pierwszym małym zwycięstwem. Bo niezależnie od tego, co się działo na tym wczesnym etapie, nie miał szans przejść przez dokładną weryfikację. Musiał wykorzystać do granic przygotowania, jakie prowadził przez te ostatnie parę tygodni, analizując informacje z umysłów Corlissa i Millera.
Najmłodszy mężczyzna powiedział: - Weźmy go do laboratorium i załatwimy fizjologiczną część weryfikacji. Zabierz mu pistolet, Prentice.
Cross bez słowa oddał broń.
Potem tamci zamilkli; najstarszy, Ingraham, uśmiechał się wyczekująco, a Bradshaw, najmłodszy, przypatrywał się Crossowi bez zmrużenia szarych oczu. Tylko Prentice chowający do kieszeni jego broń wyglądał obojętnie. Ale to cisza, a nie ich zachowanie, zwróciła uwagę Crossa. Nie było słychać żadnych dźwięków, znikąd nie dochodził nawet szmer rozmowy. W całym hangarze panowała grobowa cisza i przez chwilę wydawało się niemożliwe, by za tamtymi ścianami tętniło życie miasta przygotowującego się do wojny.
Wystukawszy kombinację cyfr przypatrywał się, jak jego statek odjeżdża bezszelestnie na wózku, najpierw poziomo, a potem do góry, w stronę dalekiego sklepienia. Nagle rozległ się cichutki zgrzyt metalu: wózek osiadł na miejscu. Po tym chwilowym nasileniu dźwięków ponownie zapadła cisza.
Śmiejąc się w duchu z tego, jak go obserwowali czyhając na choćby najmniejszy błąd w procedurze, Cross poprowadził ich do wyjścia. Otworzyło się na lśniący korytarz o gładkich ścianach, poprzedzielanych co jakiś czas zamkniętymi drzwiami. Kiedy już było widać drzwi laboratorium, Cross powiedział:
- Mam nadzieję, że zadzwoniliście odpowiednio wcześniej do szpitala, uprzedzając ich, że się spóźnię.
Ingraham stanął jak wryty, a dwaj pozostali poszli w jego ślady. Popatrzyli na niego; Ingraham powiedział:
- Wielkie nieba, czy dziś rano ożywiają twoją żonę? Cross przytaknął z powagą.
- Lekarze mieli ją doprowadzić do granicy świadomości dwadzieścia minut po moim planowym lądowaniu. Do tamtej pory mieli już pracować od ponad godziny. Waszą weryfikację i tę przed komisją wojskową najwyraźniej trzeba będzie odroczyć.
Nie było sprzeciwu. - Wojsko na pewno będzie cię eskortować - powiedział Ingraham.
Bradshaw przemówił krótko do swego naręcznego nadajnika. Cichutka, ale wyraźna odpowiedź dotarła do Crossa:
- W normalnych okolicznościach do szpitala odstawiłby go wojskowy

patrol. Ale tak się składa, że mamy do czynienia z najgroźniejszym osobnikiem, jakiego znał świat. Cross ma dopiero dwadzieścia trzy lata, ale dowiedziono, iż zagrożenie i przeszkody przyspieszają dojrzałość ludzi i slanów. Możemy więc przyjąć, że mamy do czynienia z całkowicie dorosłym slanem zwyczajnym, dysponującym bronią i potęgą o niewiadomych możliwościach. Gdyby Corliss rzeczywiście był Crossem, to zbieżność powrotu pani Corliss do świadomości z tak istotną chwilą świadczy o przygotowaniu na wszystkie możliwe ewentualności, szczególnie na podejrzenia w momencie lądowania. Już na wstępie spotkało go niepowodzenie przez to, że ma się poddać badaniu. Tym niemniej sam fakt, że po raz pierwszy przy naszych weryfikacjach osobników podobnych do Crossa zaistniała konieczność odroczenia badań, wymaga, by eksperci przeszkoleni w weryfikacji wstępnej nie odstępowali go ani na sekundę. Dlatego macie kontynuować nadzór i czekać na dalsze rozkazy. Pojazd naziemny czeka przy wylocie windy numer jeden.
Kiedy wyszli na ulicę, Bradshaw powiedział: - Jeśli on nie jest Corlissem, to w szpitalu będzie zupełnie bezużyteczny i mózg pani Corliss prawdopodobnie dozna trwałych uszkodzeń.
- Ingraham pokręcił głową.
- Mylisz się. Zwyczajni slani potrafią czytać w myślach. W sali operacyjnej będzie w stanie wykonać robotę przy wykrywaniu błędów tak samo dobrze, jak Corliss z pomocą odbiorników Porgrave'a.
Cross dojrzał kątem oka ponury uśmiech na twarzy Bradshawa, który w tym samym momencie odezwał się stłumionym głosem:
- On słyszał, co powiedziałeś, Ingraham. Czy nie przyszło ci do głowy, że obecność urządzeń Porgrave'a powstrzyma Crossa przed używaniem swego umysłu poza bardzo ograniczoną skalą?
- I jeszcze jedno - rzekł Prentice. - Corliss w ogóle idzie do szpitala po to tylko, by poznać, czy coś jest źle, dzięki naturalnemu powinowactwu pomiędzy mężem i żoną. Ale to oznacza także, iż pani Corliss natychmiast pozna, czy on jest, czy nie jest jej mężem.
Ingraham uśmiechnął się posępnie.
- Mamy zatem ostateczny wniosek: jeśli Corliss jest Crossem, to ożywienie pani Corliss w jego obecności może mieć dla niej fatalne następstwa. Właśnie owe następstwa zupełnie wystarczą do ustalenia jego tożsamości, nawet jeśli wszystkie inne testy, jakich dokonamy, dadzą wynik negatywny.
Cross nie odzywał się. Już dawno dokonał drobiazgowej analizy problemu odbiorników Porgrave'a. Stanowiły zagrożenie, ale były tylko maszynami. Jego panowanie nad własnym umysłem powinno zredukować niebezpieczeństwo.
Rozpoznanie przez panią Corliss stanowiło odrębny problem. Powinowactwo pomiędzy wrażliwym mężem i jego wrażliwą żoną nie

ulegało wątpliwości, a nie mógł dopuścić do zniszczenia umysłu tej slanki. W jakiś sposób musi ocalić jej poczytalność, ale ocalić także i siebie.
Samochód gładko pomykał po tonącym w kwiatach bulwarze. Jezdnia była ciemna, kręta, z wyglądu szklista. Przewijała się pomiędzy rozłożystymi drzewami skrywającymi na poły budynki stojące po obu stronach wzdłuż zacienionych chodników. Niskie budowle zadziwiały go swym pięknem, artystycznym rozmachem form. Przechwycił co nieco na temat ich wyglądu z umysłów Millera i Corlissa, lecz ów sukces architektonicznego geniuszu przerósł jego oczekiwania. Po twierdzy trudno spodziewać się piękna; wieże działowe budowano zazwyczaj raczej pod kątem funkcjonalności, a nie jako architektoniczne poematy.
A tutaj pełniły swe funkcje w sposób godny podziwu. Wyglądały jak prawdziwe domy, część prawdziwego miasta, zamiast stanowić po prostu grubą pancerną tarczę dla leżącego pod ziemią miasta właściwego. Raz jeszcze ogrom przedsięwzięć obronnych wykazywał, jakim respektem darzono tu zwyczajnych slanów. Świat ludzi miał zostać zaatakowany z powodu trwogi slanów bezczułkowych - i to już był szczyt tragicznej ironii.
Jeśli mam rację, pomyślał Cross, i zwyczajni slani żyją pośród slanów bezczułkowych, tak jak ci ostatni żyją pośród ludzi, to wszystkie przygotowania czyni się przeciw wrogowi, który już przeniknął szeregi obrony.
Samochód zatrzymał się w niszy, skąd wchodziło się do windy. Winda opadała w dół równie błyskawicznie, jak poprzednia wyjeżdżała na górę z hangaru. Cross obojętnie wyjął z kieszeni jeden z metalowych sześcianów na kryształy i cisnął do pojemnika na śmieci, wpasowanego dla wygody w jeden z kątów kabiny. Zauważył, że slani śledzą jego ruchy.
- Mam tuzin tych przedmiotów, ale najwyraźniej mogę pomieścić wygodnie w kieszeni tylko jedenaście. Ciężar pozostałych wciskał mi w bok ten jeden.
Tym, który pochylił się i podniósł mały przedmiot, był Ingraham.
- Co to jest?
- Powód mojego spóźnienia. Wyjaśnię to później komisji. Wszystkie są takie same, więc ten jeden nie zrobi różnicy. Ingraham popatrzył uważnie na sześcian i kiedy już miał go otworzyć, winda się zatrzymała. Zdecydowanym ruchem wcisnął kostkę do kieszeni.
- Zatrzymam to - powiedział. - Wychodź pierwszy, Corliss. Cross bez wahania wyszedł na szeroki marmurowy korytarz. Wyszła mu naprzeciw kobieta w białym kitlu.
- Zostaniesz poproszony za kilka minut, Barton. Zaczekaj tu. Znikła w drzwiach, a Cross wyczuł myśl na powierzchni umysłu Ingrahama.

Odwrócił się, bo starszy slan przemówił:
- Tak się przejmuję tą sprawą pani Corliss, że czuję, iż zanim pozwolimy ci tam wejść, Corliss, powinniśmy dokonać prostej próby, której nie stosowaliśmy już od lat, bo wygląda niepoważnie, a poza tym mamy inne równie skuteczne testy.
- Co to za próba? - zapytał oschle Cross.
- Bo widzisz, jeśli jesteś Crossem, to powinieneś nosić perukę, żeby zakryć czułki slana. Jeśli jesteś Corlissem, naturalna wytrzymałość twoich włosów powinna nam umożliwić podniesienie cię z podłogi i ledwo to poczujesz. Peruka, sztucznie przytwierdzona, zapewne nie wytrzyma obciążenia. Zatem dla dobra twojej żony chcę cię prosić, żebyś pochylił głowę. Zrobimy to delikatnie, przykładając siłę stopniowo.
Cross uśmiechnął się.
- Proszę bardzo! Przekonajcie się sami, że to prawdziwe włosy.
Oczywiście były prawdziwe. Już dawno temu odkrył sposób na rozwiązanie tego problemu: gęsty płyn, który po nałożeniu u podstawy włosów stopniowo twardniał w cienką warstwę gumowatej substancji o wyglądzie ciała, wystarczającą do pokrycia zdradzających go czułków. Przez delikatne poruszanie włosami tuż przed zakończeniem utwardzania, powstawały maleńkie kanaliki doprowadzające powietrze do cebulek włosowych.
Częste usuwanie owej substancji i długie okresy pozostawiania włosów i skóry głowy w normalnym stanie okazały się wystarczające do utrzymania głowy w jak najlepszym zdrowiu. Jak sądził, coś podobnego musieli przez te wszystkie lata stosować zwyczajni slani. Niebezpieczne pozostawały tylko okresy „odpoczynku”.
Po chwili Ingraham powiedział zgryźliwie: - Na dobrą sprawę niczego to nie dowodzi. Jeśli Cross by tu kiedyś przyszedł, to nie da się złapać na czymś tak prostym. O, idzie lekarz. Myślę, że możesz iść, Corliss.
Sala była duża, szara i pełna pracujących cicho urządzeń. Pacjentki nie było widać, ale stała tam długa metalowa skrzynia, jakby trumna o opływowych kształtach, jednym końcem zwrócona w stronę drzwi. Drugiego końca Cross nie widział, ale domyślał się, że z tamtej strony wystaje głowa kobiety.
Do górnej części pojemnika przytwierdzony był jakiś układ z baniastą przezroczystą kolbą; wybiegały z niej rurki wpadające do „trumny”, a przez nie i przez ową pękatą butlę płynął obfity, jednostajny strumień krwi. Tuż za wystającą głową kobiety stał pulpit, ciasno wypełniony przyrządami pomiarowymi. Palące się na nim lampki świeciły z ledwie dostrzegalną niestabilnością, jak gdyby to jedna, to druga reagowała na jakieś niewiadome obciążenia. Za każdym razem lampka, której to dotyczyło, walczyła zawzięcie o nadrobienie niezauważalnej utraty jasności.

Z miejsca, gdzie kazał mu stanąć lekarz, Cross widział głowę kobiety na tle szemrzących urządzeń. Nie, nie jej głowę; widział tylko kompletnie spowijające jej głowę bandaże i to właśnie pod ich białą otuliną znikał pęk przewodów wychodzących z pulpitu kontrolnego.

Jej umysł był nie osłonięty, unieruchomiony, więc Cross wniknął ostrożnie w ten jego rejon, po którym przepływały w śmiertelnie wolnym tempie cząstkowe myśli.

Rozumiał od strony teoretycznej to, czego dokonali slańscy chirurdzy. Połączenia nerwowe mózgu z ciałem zostały całkowicie przerwane prostym układem krótkich spięć. Sam mózg, utrzymywany przy życiu promieniami szybko odbudowującymi tkanki, podzielono na dwadzieścia siedem sektorów; dzięki takiemu uproszczeniu wykonano błyskawicznie olbrzymią liczbę zabiegów naprawczych.

Fala myślowa Crossa pośpieszyła poprzez owe robocze „przerwy” i „złącza”. Stwierdził, że błędów jest mnóstwo, lecz wszystkie o wyraźnie drugorzędnym znaczeniu, tak znakomicie wykonano zabiegi chirurgiczne. Każdy sektor tego potężnego mózgu właściwie reagował na lecznicze działanie promieni odbudowujących tkanki. Bez wątpienia pani Corliss otworzy oczy jako przytomna, utalentowana młoda kobieta i rozpozna w nim oszusta.

Pomimo iż czas naglił, Cross zastanawiał się: przed laty mógł hipnotyzować ludzi bez użycia kryształów, choć trwało to znacznie dłużej; czemu więc nie miałoby się to udać ze slanka? Była nieprzytomna, a jej ekran mentalny nie działał.

Początkowo zbytnio był świadom odbiorników Porgrave’a i zagrożenia, jakie sobą przedstawiały. Ale potem wywołał u siebie wibracje zmartwienia, które powinny być normalne u Corlissa niezależnie od rozwoju sytuacji i z jego mózgu zniknęły resztki obaw. Ruszył do dzieła z gorączkowym pośpiechem.

Uratowała go sama metoda przeprowadzania zabiegów chirurgicznych. Normalnie ukształtowany mózg slana zająłby mu wiele godzin: tyle milionów ścieżek do zbadania, lecz żadnej wskazówki, od której zacząć. Ale tu, w umyśle podzielonym przez mistrzowskich chirurgów na dwadzieścia siedem naturalnych sektorów, zbiór komórek mieszczący siłę woli łatwo było rozpoznać. W ciągu minuty dotarł do ośrodka sterującego i dzięki sile fal myślowych zdobył nad nim kontrolę.

Teraz mógł już założyć słuchawki odbiorników Porgrave’a, zauważając jednocześnie, że Bradshaw ma już na uszach inną parę. To dla mnie, pomyślał posępnie. Ale na powierzchni umysłu młodego slana nie zauważył podejrzliwości. Najwyraźniej aparaty Porgrave’a nie mogły rozszyfrować myśli w postaci nieomal czystej siły fizycznej, kompletnie pozbawionej obrazów. Potwierdzało to jego własne próby.

Kobieta drgnęła mentalnie i fizycznie, a niezborna myśl z jej umysłu

zadudniła jako dźwięk w słuchawkach Crossa:
- Walka… Okupacja…
Słowa miały sens o tyle, że była dowódcą wojskowym, lecz nie starczyło ich, by coś zrozumieć. Milczenie, a potem znowu:
- Czerwiec… stanowczo czerwiec… Można będzie załatwić sprawę przed zimą i uniknie się niepotrzebnych ofiar podczas mrozów i ewakuacji… Zatem ustalone… dziesiątego czerwca…
Dzięki hipnozie potrafiłby naprawić błędy w jej mózgu w dziesięć minut, ale zajęło to godzinę i kwadrans ostrożnej współpracy z chirurgiem i ich aparatem wibracyjno-ciśnieniowym. I przez cały czas, niemal w każdej chwili, powracał myślą do jej słów.
A więc dziesiąty czerwca to dzień ataku na Ziemię. Według ziemskiej rachuby czasu teraz był czwarty kwietnia. Dwa miesiące! Miesiąc na drogę powrotną i miesiąc… na co?
Gdy pani Corliss zapadała spokojnie w sen pozbawiony marzeń, znał już odpowiedź. Nie wolno mu już było zmarnować ani jednego dnia na szukanie zwyczajnych slanów. Zapewne później uda się podjąć ten ślad, ale teraz, jeśli zdoła z tego wyjść…
Zachmurzył się w duchu. Za kilka minut poddany zostanie fizycznej weryfikacji przez osobników należących do najokrutniejszej, najdokładniejszej i najskuteczniejszej rasy w Układzie Słonecznym. Mimo udanej próby spowodowania zwłoki, mimo początkowego sukcesu, czyli umieszczenia kryształu w rękach jednego z eskortujących go slanów, mimo to wszystko szczęście odwróciło się od niego. Ingraham nie zaciekawił się wystarczająco, by wyjąć z kieszeni pojemnik z kryształem i otworzyć go. Musi teraz podjąć następną próbę, ale to już ostateczność. Niezależnie od tego, jak się do tego weźmie, każdy slan po takiej drugiej próbie nabierze tylko podejrzeń.
Myśl urwała się w połowie. Jego umysł wyciszył się do poziomu nasłuchu, bo z radia Ingrahama przemówił ledwie dosłyszalny głos, a po powierzchni jego mózgu zaczęły przebiegać słowa:
- Nawet jeśli nie dokończyliście weryfikacji fizycznej, macie natychmiast doprowadzić do mnie Bartona Corlissa. To unieważnia poprzednie rozkazy.
- Dobrze, Joanno - odpowiedział dość głośno Ingraham. Odwrócił się. - Zostaniesz natychmiast doprowadzony do pełnomocnika wojskowego, Joanny Hillory.
To Prentice jak echo powtórzył myśl Crossa. Wysoki slan powiedział: - Joanna jako jedyna z nas spędziła wiele godzin z Crossem. Została mianowana pełnomocnikiem ze względu na to doświadczenie i jej późniejsze badania dotyczące jego przypadku. Nadzorowała prowadzone na światową skalę i uwieńczone powodzeniem poszukiwania jego kryjówki oraz przewidziała bezskuteczność ataku dokonanego przy użyciu cyklotronu. Poza tym spisała obszerny raport

omawiający w najdrobniejszych szczegółach godziny spędzone w jego obecności. Jeśli jesteś Crossem, ona rozpozna cię w ciągu minuty.
Cross milczał. Nie miał sposobu zweryfikowania twierdzenia wysokiego slana, ale podejrzewał, że może być zgodne z prawdą.
Po wyjściu z sali zabiegowej po raz pierwszy zdołał rzucić okiem na miasto Cimmerium, to prawdziwe, podziemne. Stanąwszy w drzwiach ujrzał dwa korytarze; jeden z nich prowadził z powrotem do windy, którą tu przybyli, drugi ku szerokiej tafli wysokich, przezroczystych drzwi. Za nimi roztaczał się widok na bajkowe miasto.
Mawiano na Ziemi, że tajemnica materiałów, z których wzniesiono ściany Wielkiego Pałacu, zaginęła. Ale tu, w tym ukrytym mieście slanów bezczułkowych, najwyraźniej przetrwała - i nie tylko.
Ujrzał tam ulicę o miękkich, zmiennych barwach, wspaniałe urzeczywistnienie odwiecznego marzenia architektów: budynki doskonałe stylowo i zarazem żywe życiem właściwym muzyce. Było to… i tu zabrakło mu słowa, bo żadne z mu znanych nie pasowało; było prześwietnym architektonicznym odpowiednikiem najdoskonalszych utworów muzycznych.
Już na zewnątrz, na ulicy, odciął swój umysł od tego zalewu piękna. Musiał się skupić na mieszkańcach miasta. A było ich tysiące - w budynkach, na chodnikach, w pędzących samochodach. Tysiące mózgów w zasięgu umysłu, który zauważał najdrobniejsze szczegóły i szukał teraz choćby jednego jedynego zwyczajnego slana.
I nie znalazł. Ani śladu niedyskretnego myślowego szeptu, ani jednego umysłu, w którym nie tkwiłoby przekonanie, że jego właściciel jest slanem bezczułkowym. Nie do końca szczelne ekrany mentalne ostatecznie i zdecydowanie ujawniały zawartość ich mózgów. Jego koncepcja, że oni tu muszą być, legła w gruzach, a wraz z nią i jego życiowe plany. Zwyczajni slani, gdziekolwiek byli, mieli zabezpieczenia odporne na penetrację slana, nie do pojęcia przez rozum. Ale z drugiej strony logika podpowiadała, że nie zwykli obywatele produkowali dzieci potworki. Tak się składało, że fakty świadczyły o czymś wręcz przeciwnym. Jakie fakty? Pogłoski? Lecz czy istniało tu jakieś inne wytłumaczenie?
- No to jesteśmy na miejscu - powiedział cicho Ingraham.
- Idziemy, Corliss - dodał Bradshaw. - Panna Hillory zaraz cię przyjmie… bez świadków!
Podłoga pod stopami wydawała mu się dziwnie twarda, gdy pokonywał te kilkadziesiąt metrów idąc ku otwartym drzwiom. Wnętrze królestwa Joanny było obszerne i przytulne, i wyglądało raczej na prywatny gabinecik niż na pomieszczenie biurowe. Na półkach stały książki, pod jedną ze ścian mała szafka elektrycznego segregatora, a dalej sofa utrzymana w pastelowych kolorach i fotele pneumatyczne; podłogę pokrywał dywan o długim włosie. No i w

końcu stało tam wielkie lśniące biurko, a za nim siedziała dumna, uśmiechnięta młoda kobieta.
Cross nie oczekiwał, że Joanna Hillory się postarzała - i nie mylił się. Kolejne pół wieku mogłoby przydać zmarszczek owym policzkom o gładzi aksamitu, lecz na razie wystąpiła tylko jedna zmiana - i to w nim samym. Wiele lat temu na tę wspaniałą kobietę spoglądał slański chłopiec; teraz jego oczy postrzegały ją ze spokojem znamionującym dojrzałość.
Ze zdumieniem zauważył pałający w jej oczach entuzjazm, zupełnie nie pasujący do sytuacji. Skupił się. Skoncentrowana siła jego penetrującego psychikę zmysłu wywołała raptowną przemianę wyrazu jej twarzy i oto ujrzał, jak pojawia się na niej uczucie triumfu i szczera radość. Jego mózg czujnie naparł na jej ekran mentalny, sondując maleńkie okienka, wchłaniając każdy myślowy przeciek, analizując wszystkie echa - i z każdą sekundą narastało zdumienie. Jej uniesienie momentalnie przeszło w cichy śmiech, a potem opadł ekran mentalny. Umysł Joanny Hillory stał przed nim otworem, wystawiony na jego niczym nie ograniczone wejrzenie. Równocześnie uformowała się w nim myśl:
- Patrz głęboko, Johnie Thomasie Cross, i dowiedz się najpierw, że wszystkie odbiorniki Porgrave'a w tym gabinecie i w pobliżu zostały wyłączone. Wiedz również, że jestem jedynym twoim przyjacielem na świecie, i że rozkazałam cię tu przyprowadzić, aby zapobiec weryfikacji fizycznej, której nie zdołałbyś przejść. Obserwowałam cię przez aparaty Porgrave'a i wreszcie przekonałam się, że to ty. Ale prędko, przeszukaj mój umysł, upewnij się co do mojej dobrej woli, a potem musimy działać błyskawicznie, żeby uratować ci życie!
Mózg Crossa nie był ani ufny, ani łatwowierny. Płynęły chwile, a on wciąż sondował zakamarki jej umysłu, poszukując źródeł motywacji jej działania, a tylko one mogły wytłumaczyć ten cud. Wreszcie powiedział cicho:
- A więc uwierzyłaś w ideały piętnastolatka, zaraziłaś się ogniem od młodego egotyka, który miał do zaoferowania tylko…
- Nadzieję! - dokończyła. - Przyniosłeś mi nadzieję, na moment zanim osiągnęłam etap, na którym większość slanów twardnieje do granic wyznaczonych przez samo życie. „A ludzie?" zapytałeś, „co będzie z ludźmi?". Przez to pytanie, a i przez całą resztę, doznałam nieodwracalnego wstrząsu. Celowo podałam twój fałszywy rysopis. Mogłeś się zastanawiać dlaczego. Uszło mi to, bo nikt się u mnie nie spodziewał kwalifikacji eksperta od fizjologii. Ekspertem oczywiście nie byłam, ale potrafiłam cię doskonale narysować z pamięci, a rysunek stawał się z dnia na dzień coraz lepszy. Uznano za rzecz normalną, że zaczęłam badać sprawę Crossa, podobnie jak i to, że objęłam większość kierowniczych stanowisk mających jakikolwiek

związek z tobą. Przypuszczam, że równie normalne było, iż… Pytająco zawiesiła głos, a Cross powiedział poważnie:
- Bardzo mi przykro, ale nic z tego. Spojrzała mu prosto w oczy szarymi oczyma.
- Kogo innego poślubisz? - spytała. - Małżeństwo jest nieodzownym składnikiem normalnego życia. Oczywiście o twoim związku ze slanka Kathleen Layton nie wiem nic oprócz tego, że byłeś przy jej śmierci. Ale małżeństwo z kilkoma kobietami, częstokroć równocześnie, nie jest niczym niezwykłym w historii slanów. No tak, chodzi ci oczywiście o mój wiek.
- Uważam - rzekł po prostu Cross - że piętnaście czy dwadzieścia lat różnicy nie stanowi najmniejszej przeszkody do zawarcia małżeństwa między długowiecznymi slanami. Tym niemniej tak się składa, że mam misję do spełnienia.
- Żona czy nie żona - powiedziała Joanna Hillory - od tej chwili masz towarzyszkę w tej misji, zakładając, że uda się nam przepchnąć cię żywcem przez tę weryfikację fizyczną.
- Nie ma problemu - Cross machnął ręką. - Potrzebowałem tylko czasu i sposobu na umieszczenie pewnych kryształów w rękach Ingrahama i reszty. Ty załatwiłaś mi jedno i drugie. Będzie nam jeszcze potrzebny ten paralizator z szuflady twego biurka. Potem wzywaj ich pojedynczo.
Jednym płynnym ruchem ręki wyciągnęła pistolet z szuflady.
- Ja będę strzelać - powiedziała. - Co teraz robimy?
Cross zaśmiał się cicho ze skwapliwości Joanny Hillory i naszła go dziwna zaduma nad obrotem wypadków, nawet teraz, gdy miał już pewność. Przez całe lata żył w opanowaniu, z zimną determinacją. Nagle udzieliła mu się część jej ognia. Oczy mu zabłysły.
- I nie będziesz żałowała tego, co robisz, choć zanim skończymy, twoja wiara może zostać wystawiona na ciężkie próby. Atak na Ziemię nie może dojść do skutku. Nie teraz, dopóki jeszcze nie wiemy, co można zrobić oprócz użycia siły, żeby powstrzymać tamtych nieszczęśników. Powiedz mi, czy jest jakiś sposób, żebym się dostał na Ziemię? Wyczytałem coś w umyśle Corlissa o planie przerzucenia na Ziemię wszystkich podobnych do mnie slanów. Czy to się da zrobić?
- Da się. Decyzja zależy wyłącznie ode mnie.
- A zatem nadszedł czas na szybkie działanie - rzekł poważnie Cross. - Muszę się dostać na Ziemię. Muszę iść do pałacu. Muszę się spotkać z Kierem Grayem.
Kształtne usta rozchyliły się w uśmiechu, ale śliczne oczy wcale nie zdradzały rozbawienia.
- A jak zamierzasz się dostać do pałacu? - zapytała cicho. - Przecież otaczają go zasieki, bunkry i systemy alarmowe.
- Matka często opowiadała o ukrytych przejściach pod pałacem -

odparł Cross. - Dokładne lokalizacje różnych wejść będzie pewnie znała wasza maszyna statystyczna.
- Maszyna… - powtórzyła jak echo Joanna i natychmiast zamilkła. Odezwała się po chwili: - Owszem, „statystyczka” to wie. Ona wie mnóstwo rzeczy. Chodź ze mną.
Podążał za nią, gdy w sąsiednim pomieszczeniu chodziła pomiędzy gęsto ustawionymi rzędami wielkich, grubych, lśniących metalowych płyt. Cross wiedział, że są w Biurze Statystycznym, a owe płyty to elektryczne segregatory, ujawniające zawarte w nich informacje po naciśnięciu guzika, podaniu nazwiska, numeru i hasła. Nikt nie wiedział - tak poinformował go mózg Corlissa - ile danych znajdowało się w tych szafkach. Zostały przywiezione z Ziemi, a pochodziły jeszcze z najwcześniejszych dni slanów. Na pytającego czekały tu biliony faktów. Wśród nich była na pewno cała historia siedmioletnich poszukiwań niejakiego Johna Thomasa Crossa - poszukiwań, którymi kierowała Joanna Hillory z gabinetu mieszczącego się w tym właśnie budynku.
- Coś ci pokażę - powiedziała.
Stał przypatrując się, jak naciskała płytki adresowe „Samuela Lanna” a potem „Mutacje naturalne”. Potem jej palce szybko przebiegły po klawiaturze, ekran się rozjarzył i wyświetlił tekst:
„Wyjątki z dziennika Samuela Lanna. 01.06.2071. Dzisiaj znowu obejrzałem troje niemowląt i nie ma wątpliwości, że mamy tu do czynienia z nadzwyczajną mutacją. Widziałem już ludzi z ogonami. Badałem idiotów, kretynów i potworki, których tyle się ostatnio zdarzało. Obserwowałem te zdumiewające i okropne modyfikacje organiczne, którym ulegają ludzie. Ale to jest przeciwieństwo tych koszmarów. To jest doskonałość.
„Dwie dziewczynki i chłopak. Cóż za doniosły i wspaniały zbieg okoliczności. Gdyby nie to, że jestem zimnokrwistym racjonalistą, idealna trafność tego, co się stało, uczyniłaby mnie zagorzałym wyznawcą w świątyni metafizyki. Dwie dziewczynki dla rozmnożenia gatunku i chłopak jako partner dla nich. Będę musiał oswoić ich z tą koncepcją”.
„02.06.2071” zaczęła maszyna, ale Joanna pośpiesznie nacisnęła kasownik, wystukała na klawiaturze numer, co wywołało datę „07.06.2073”.
„Jakiś cholerny głupi pismak puścił dzisiaj artykuł o dzieciach. Ten nieuk oświadczył, że poddałem działaniu maszyny ich matkę, podczas gdy ja tej kobiety nie znałem, zanim urodziły się dzieci. Będę musiał namówić ich rodziców, żeby przenieśli się gdzieś na drugi koniec świata. Wszystko może się zdarzyć, dopóki tacy ludzie chodzą po ziemi - zabobonne, uczuciowe osły”.
Joanna Hillory wybrała następny zapis: „31.05.2088”.

„Ich siedemnaste urodziny. Dziewczęta całkowicie zaakceptowały sugestię współżycia z bratem. W końcu moralność jest rzeczą wyuczoną. Chciałbym, żeby doszło do tego związku, mimo że w zeszłym roku znalazłem tamtych innych młodzików. Uważam, że to nierozsądne - czekać, aż ci ostatni podrosną. Krzyżowanie możemy zacząć później”.
Pod datą 18.08.2090 pojawił się taki tekst: „Obie dziewczynki miały trojaczki. Cudownie. W tym tempie reprodukcji okres, w którym przypadek mógłby ich zniszczyć, ulegnie redukcji do wyliczalnego minimum. Pomimo, że tu i tam pojawiają się kolejne osobniki ich gatunku, ciągle wpajam dzieciom przekonanie, że ich potomkowie zostaną władcami świata…”.
Gdy już wrócili do gabinetu, Joanna Hillory stanęła przed nim i powiedziała:
- Widzisz teraz, że nie ma i nigdy nie było maszyny produkującej slanów. Wszyscy slani są naturalnymi mutantami. - Przerwała; po chwili podjęła szybko: - Najlepsze do twoich celów wejście do pałacu jest zlokalizowane w sektorze rzeźby, cztery kilometry w głąb terenu chronionego; jest zawsze jasno oświetlone i leży na wprost luf pierwszej linii ciężkich umocnień. Poza tym pierwszych czterech kilometrów chronią gniazda karabinów maszynowych i patrole czołgów.
- A co z moim pistoletem? Czy oddadzą mi go na Ziemi?
- Nie. Plan przerzucenia na Ziemię podobnych do ciebie mężczyzn zakłada, że zostaną rozbrojeni. Poczuł na sobie jej pytające spojrzenie i zmarszczył brwi.
- Jakim typem człowieka jest według waszych danych Kier Gray?
- Jak na człowieka, jest nadzwyczaj zdolny. Nasze tajne prześwietlenia zdecydowanie wykazują, że jest człowiekiem, jeśli o to ci chodzi.
- Myślałem o tym pytając, ale twoje słowa potwierdzają to, co mówiła Kathleen Layton.
- Odbiegliśmy od tematu. Co z umocnieniami? Pokręcił głową z cierpkim uśmiechem.
- Kiedy stawka jest wysoka, ryzyko musi jej dorównywać. Pójdę oczywiście sam. Tobie przypadnie olbrzymia odpowiedzialność. - Spojrzał na nią poważnie. - Musisz zlokalizować jaskinię, w której jest mój statek, i doprowadzić maszynę na Ziemię przed dziesiątym czerwca. Trzeba będzie także wypuścić Corlissa. A teraz zawołaj tu Ingrahama.

18

Rzeka wydawała się Crossowi szersza niż wówczas, kiedy widział ją po raz ostatni. Niecierpliwie spoglądał ponad pięciuset metrami wodnej kipieli. Na szybki prąd kładły się ścieżki światła i ciemności - refleksy

wiecznozmiennych cudobłysków pałacu. Późno wiosenny śnieg zalegający zarośla, pod osłoną których Cross ściągał ubranie, zimno połaskotał jego gołe stopy, gdy rozebrawszy się wstał wreszcie, gotowy do akcji.

Sprowadził umysł do stanu prawie całkowitej pustki. Naszła go ironiczna refleksja, że nagi mężczyzna przeciw całemu światu to dość żałosny symbol energii atomowej, którą władał. Dawniej zawsze miał pełno broni, a i tak nie używał jej, kiedy mógł. A teraz ta obrączka na palcu z jej maleńkim generatorem atomowym o żałosnym kilkudziesięciocentymetrowym zasięgu - jedyny produkt wieloletnich żmudnych prac, który odważył się zabrać ze sobą do fortecy.

Drzewa na przeciwległym brzegu rzucały cienie sięgające połowy hurtu. Plamy ciemności kładły się na groźnie wezbraną wodę, która zniosła go kilkaset metrów w dół rzeki, zanim płynąc na grzbiecie, mocnymi wyrzutami ramion dotarł w końcu na bezpieczną płyciznę.

Leżał tam przez chwilę, a jego umysł przeprowadzał rekonesans, badając myśli nadbiegające od dwóch strzelców obsługujących zamaskowane pośród drzew karabiny maszynowe. Ostrożnie przemknął pod osłoną kępy krzewów i wciągnął ubranie. Potem zaległ, cierpliwie, niczym stary tygrys podchodzący swą ofiarę. Musiał przeciąć otwartą przestrzeń, a było za daleko na hipnotyzowanie. Moment ich nieuwagi przyszedł nagle. Cross pokonał pięćdziesiąt metrów w czasie niewiele przekraczającym trzy sekundy.

Pierwszy mężczyzna nawet nie wiedział, co go poraziło. Drugi poderwał się, odwrócił, a na jego długiej, chudej twarzy zjawiło się napięcie, upiorne w przechodzącym przez listowie migotliwym świetle. Ale ciosu w szczękę, który powalił go na ziemię, nikt nie zdołałby uniknąć czy zablokować. Po piętnastu minutach bezkryształowej hipnozy opanował ich wolę. Piętnaście minut! Ośmiu na godzinę. Uśmiechnął się ironicznie. To zdecydowanie wykluczało możliwość hipnotycznego opanowania pałacu obsadzonego blisko dziesięcioma tysiącami ludzi. Zatem tylko najważniejsi. Musiał ich pozyskać.

Przywrócił dwóch więźniów do przytomności i wydał im rozkazy. Po cichu podnieśli swe karabiny maszynowe i ruszyli za nim. Znali każdy centymetr terenu. Wiedzieli, kiedy przejeżdżają tędy patrole czołgów dokonujące nocnych objazdów. W ludzkiej armii nie było lepszych żołnierzy od gwardii pałacowej. Po dwóch godzinach miał już dwunastu doskonale wyszkolonych komandosów, poruszających się jak cienie, współpracujących błyskawicznie, bez słów; z rzadka tylko padały rzucane półgłosem komendy.

Po następnych trzech godzinach miał łącznie siedemnastu ludzi oraz pułkownika, kapitana i trzech poruczników. A przed nim rozciągał się długi szpaler przepięknych rzeźb, tryskające fontanny i oślepiające

jasne światła, które oznaczały zarazem jego cel i koniec pierwszego łatwego etapu akcji.
Kiedy Jommy Cross zaległ ze swoją maleńką armią w cieniach zagajnika, niebo na wschodzie zasnuwała już mgiełka, pierwszy zwiastun wstającego świtu; zapuściwszy wzrok ponad szerokim na kilkaset metrów jasno oświetlonym terenem dojrzał po przeciwnej stronie czarną ścianę lasu: tam ukryto bunkry.
- Tak się parszywie składa - szepnął pułkownik - że nie ma szans, by ich wykołować. Dokładnie tu kończy się obszar działania naszej jednostki. Przekraczanie bez przepustki którejkolwiek z dwunastu linii umocnień jest zabronione, a nawet z przepustką wolno to robić tylko w dzień.
Cross zmarszczył brwi. Stosowane tu środki ostrożności przekraczały jego oczekiwania, a orientował się, że ich obostrzenie wprowadzono niedawno. Jakkolwiek nikt nie wierzył w niesamowite opowieści wieśniaków o rozmiarach statków, które wzięły udział w ataku slanów na jego dolinę, i nikt nawet nie podejrzewał, że. mogły to być statki kosmiczne, to akcja ta spowodowała wzrost napięcia i czujności, co mogło pokrzyżować teraz jego plany.
- Kapitanie!
- Tak jest! - Wysoki oficer podczołgał się do niego.
- Kapitanie, jest pan najbardziej podobny do mnie. Dlatego proszę zamienić swój mundur na moje ubranie, a potem pan i cała reszta powrócicie na wasze normalne pozycje.
Patrzył, jak odczołgują się i znikają w ciemnościach. Potem powstał i przybrawszy sztywną postawę kapitana wkroczył na oświetlony teren. Dwa, pięć, dziesięć metrów… Widział fontannę, o którą mu chodziło, lśniącą bryłę zwieńczoną pióropuszem rozpylonej wody. Ale zbyt intensywne było to sztuczne oświetlenie, zbyt liczne umysły wokoło, natłok pomieszanych wibracji, niewątpliwie zakłócających tę jedną falę myślową, ku której wybiegał jego umysł - jeśli ta cholerna rzecz w ogóle tu jeszcze była po tych kilkuset latach. A jeśli jej tu nie było, to niechaj Bóg zachowa go w swojej opiece!
Dwanaście metrów, piętnaście, dwadzieścia… i wtem do wytężonego mózgu Crossa dobiegł szept, najcichsza z cichych wibracja myślowa:
- Do każdego slana, który przedrze się aż tutaj: niedaleko stąd jest tajne wejście do pałacu. Pięciokwiatowy wzór na białej fontannie położonej na pomoc od tego miejsca jest zamkiem szyfrowym, który działa drogą radiową na ukrytą klapę. Kombinacja brzmi…
Wiedział, że tajemnica tkwi w fontannie - a raczej wiedziała maszyna statystyczna - ale nic ponadto. A teraz… Szorstki, wzmocniony głos huknął spomiędzy drzew:
- Stój! Kto idzie, do cholery?! Czego tu szukasz?! Wracaj do swojego dowódcy, uzyskaj przepustkę i wróć rano. Ruszaj stąd, ale już!

Stał już przy fontannie, czując pod zwinnymi palcami kwiatowy wzór, a marmurowy cokół zasłaniał trochę jego ciało i ruchy przed mnóstwem wytrzeszczonych, podejrzliwych oczu. Nie mógł sobie pozwolić na utratę choćby odrobiny energii wkładanej w intensywne skupienie. Pod wpływem koncentracji na tym jednym celu kombinacja zadziałała i nadbiegła kolejna myśl od następnego nadajnika Porgrave'a:
- Klapa jest już otwarta. Znajdziesz tam nadzwyczaj wąski tunel wpadający pod ziemię w całkowitej ciemności. Wlot jest pośrodku zespołu postaci na koniach, trzydzieści metrów na północ. Odwagi!
Odwagi mu nie brakowało. Brakowało mu czasu. Trzydzieści metrów na pomoc, w stronę pałacu, w stronę owych groźnych bunkrów. Cross zaśmiał się oschle. Musiał przyznać starożytnemu budowniczemu tajnego wejścia, że do ćwiczenia swej pomysłowości wybrał diabelnie paskudne miejsce. Szedł dalej, chociaż szorstki głos znów się pieklił:
- Hej, ty tam! Zatrzymaj się natychmiast, albo otwieramy ogień! Wracaj do swojego rejonu i oddaj się w ręce żandarmerii, bo jesteś aresztowany. Wykonać!
- Mam bardzo ważną wiadomość! - wrzasnął Cross wyraźnie, naśladując głos kapitana najlepiej, jak potrafił bez uprzednich ćwiczeń. - Nadzwyczajne okoliczności!
- Nie ma okoliczności, które by uzasadniały takie skandaliczne pogwałcenie regulaminu. Natychmiast wracaj do swojego rejonu! Ostrzegam po raz ostatni!
Spojrzał na mały, czarny otwór pod nogami i poraziło go przerażenie, pierwszy raz w życiu przeszywająca klaustrofobia, czarna i straszna jak sam tunel u jego stóp. Powierzyć życie ciasnej króliczej norze, możliwe że tylko po to, by go żywcem pogrzebała jakaś chytrze skonstruowana przez ludzi pułapka! Nie można wykluczyć, że znaleźli to wejście, tak jak już odkryli wiele innych tajnych przejść slanów.
Raptownie sprawa stała się pilna. Od strony drzew nadpłynął strumień syczących pulsacji, cichutkie szepty owionęły jego mózg niczym delikatne materialne przedmioty. Ktoś mówił:
- Sierżancie, weźcie go na celownik!
- Ale co z konnymi pomnikami, panie majorze? Szkoda by je było porypać!
- Celuj najpierw w nogi, a potem w głowę!
To rozwiązywało jego dylemat. Z zaciśniętymi zębami, wyprostowanym, usztywnionym ciałem, wyrzuciwszy ręce nad głowę skoczył jak nurek padający nogami do przodu i tak precyzyjnie wpasował się we wlot tunelu, że minęło parę sekund, zanim jego ubranie otarło się o pionowe ściany.
Tunel był gładki jak szkło; Cross zdążył przelecieć olbrzymią odległość, nim ściany zaczęły odchylać się od pionu. Tarcie wzrosło;

minęło jeszcze kilka chwil, a potem poczuł, że zjeżdża wyraźnie pod kątem malejącym z sekundy na sekundę. Zapierająca dech prędkość zmniejszyła się znacznie. Dojrzał z przodu nikłą jasność i nagle wjechał do nisko sklepionego, słabo oświetlonego korytarza. Lekko jeszcze nachylony tor ruchu raptownie przeszedł w poziomy; podróż dobiegła końca, a on leżał oszołomiony na plecach i w oczach miał świetlny wir.
Kilkanaście krążących nad nim świateł, zacieśniwszy stopniowo krąg, przeobraziło się w pojedynczą słabą żarówkę rozpraszającą wokół mętną poświatę: nikłe, omalże bezużyteczne światło, które liznąwszy sufit wtapiało się w mrok nie sięgając podłogi. Cross podniósł się na nogi i stwierdził, że patrzy na napis umieszczony na ścianie dostatecznie wysoko, by obejmowało go górne oświetlenie. Wytężył wzrok i zaczął czytać:
„Jesteś teraz cztery kilometry pod ziemią. Tunel za tobą został zablokowany płytami ze stali i betonu uruchomionymi przez twój przelot. Dotarcie stąd do pałacu zajmie ci godzinę. Wstęp do samego pałacu jest slanom surowo zabroniony. Miej się na baczności.” Poczuł w gardle łaskotanie; starał się nie kichnąć, ale w końcu musiał, kilka razy, aż łzy pociekły mu po policzkach. Tu gdzie teraz stał, mrok był gęstszy niż w miejscu wejścia do korytarza. Długi, ginący w przedzie rząd sufitowych świateł nie płonął już tak jasno jak przed laty. Przesłaniała je warstwa kurzu.
Cross schylił się w półmroku i delikatnie przeciągnął dłonią po podłodze. Zalegała tam miękka, gruba warstwa kurzu. Wytężył oczy, wypatrując przed sobą śladów stóp, które zdradziłyby, że korytarza niedawno używano. Dojrzał tylko kurz, co najmniej dwu-centymetrowy; musiał osadzać się wiele, wiele lat.
Niezliczone lata upłynęły od czasu umieszczenia tu tego napisu zwiastującego niejasne zagrożenie; ale na razie istniało bardziej realne niebezpieczeństwo: ludzie wiedzą już, gdzie szukać ukrytego wejścia. Zanim je odnajdą, musi, nawet wbrew prawu, dostać się do pałacu i dotrzeć do Kiera Graya!
Znajdował się w świecie ciszy, cieni i podstępnie dławiących palców kurzu, które nieprzerwanie sięgały ku jego gardłu, by potem - niedorzeczny paradoks - łaskotać miast dusić. Przechodził przez wiele drzwi, wiele korytarzy i wielkich, okazałych komnat.
Nagle rozległo się za nim ciche metaliczne pstryknięcie. Odwróciwszy się błyskawicznie zobaczył, że na podłogę, po której dopiero co przeszedł, nasuwa się płynnie gruba metalowa płyta, przegradzając korytarz gładką, twardą ścianą. Znieruchomiał i na chwilę przeistoczył się w czułą maszynę odbierającą bodźce z otoczenia. Oto długi, wąski korytarz, który zaraz przed nim kończył się ślepo; nad głową przyćmione światła, a pod stopami podłoga zasłana grubą warstwą

grząskiego pyłu. W ciszę wdarło się brutalnie następne pstryknięcie. Ściany zgrzytnąwszy metalicznie drgnęły i sunąc powoli na niego zaczęły się do siebie zbliżać.
Jakiś automat, ocenił, bo nigdzie w pobliżu nie wyczuwał najcieńszej choćby nici myślowej. Na zimno zbadał możliwości pułapki i wkrótce przy samym końcu każdej ze ścian odkrył niszę. Miały gdzieś po dwa metry wysokości. Płytkie zagłębienie, wystarczająco duże, by zmieściła się w nim połowa ciała człowieka. Kształt każdej z nisz odwzorowywał jego kontur.
Cross uśmiechnął się ponuro. Za kilka minut ściany się zejdą, a wtedy dla niego zostanie miejsce tylko tam, gdzie spotkają się i połączą nisze. Chytra pułapka!
Wprawdzie energia atomowa z obrączki na palcu mogłaby zapewne otworzyć mu drogę przez ściany czy stalową płytę, lecz jego zadanie wymagało, by ta pułapka zadziałała skutecznie do pewnego momentu. Zbadał dokładniej nisze. Tym razem z jego obrączki błysnęło dwukrotnie wściekłe wyładowanie, rozpylając kajdanki, które czekały w odpowiednich miejscach na ręce bezradnej ofiary, i wycinając dość miejsca, by zapewnić mu swobodę ruchów.
Kiedy ściany dzieliło już tylko pół metra, na całej długości podłogi rozwarła się dziesięciocentymetrowa szczelina i wchłonęła niewielki kopczyk kurzu. Kilka minut później ściany spotkały się ze szczękiem.
Chwila ciszy… A potem dyskretnie zaszumiały silniki i dało się odczuć szybki ruch w górę. Jazda trwała wiele minut; w końcu prędkość zmalała i ruch ustał. Ale gdzieś pod nim nadal szumiały silniki. Kolejna minuta; teraz klitka, w której stał, zaczęła się powoli obracać. Na wysokości jego twarzy pojawiła się szczelina i stopniowo poszerzyła do rozmiarów kwadratowego otworu; wyjrzawszy przezeń zobaczył jakiś pokój.
Szum ustał. Kiedy Cross badał wzrokiem wnętrze pomieszczenia, panowała znowu cisza. Pośrodku mocno wypolerowanej podłogi stało biurko; w tle było widać ściany wyłożone orzechową boazerią. Kilka krzeseł, segregatorów i krawędź sięgającego od podłogi do sufitu regału z książkami dopełniały widoku tej części niewielkiego pokoju o urzędowym wyglądzie, jaką mógł dojrzeć przez kwadratowy otwór.
Rozległy się kroki. Do pokoju wszedł mężczyzna i zamknął za sobą drzwi. Był to człowiek o wspaniałej postawie; skronie miał już przyprószone siwizną, a na twarzy pierwsze zmarszczki. Ale na całym świecie nie było nikogo, kto by nie rozpoznał tych przenikliwych oczu, owej pociągłej twarzy, surowości wpisanej trwale w linię wąskich nozdrzy i zarysu szczęki. Była to twarz zbyt twarda, zbyt zdecydowana, by uchodzić za miłą. Lecz było to zarazem oblicze szlachetne. Oblicze kogoś stworzonego do władania ludźmi. Kiedy oczy o przeszywającym wejrzeniu badały jego twarz, Cross poczuł się,

jakby dokonywano na nim sekcji. W końcu dumne usta wykrzywił, ledwie widoczny szyderczy uśmieszek.
- Zatem dałeś się złapać - przemówił Kier Gray. - Nie popisałeś się sprytem.
Wystarczyły owe słowa. Bo wraz z nimi nadbiegły powierzchniowe myśli, a te myśli stanowiły warstwę rozmyślnie utrzymywaną ponad ekranem mentalnym równie szczelnym, jak- jego własny. Najprawdziwszym, rzeczywistym ekranem, nie jakąś tam dziurawą osłoną slana bezczułkowego. Kier Gray, przywódca ludzi, to jednocześnie, w jego własnym przekonaniu…
- Zwyczajny slan!
Cross wyrzucił z siebie tylko te dwa wybuchowe słowa i natychmiast wartki strumień jego myśli zastygł w lód spokojnych skojarzeń. Przez te wszystkie lata Kathleen Layton żyła obok Kiera Graya i nawet nie podejrzewała prawdy. Oczywiście brakowało jej doświadczenia z ekranami mentalnymi, a sprawę gmatwał dodatkowo John Petty mający podobny typ osłony - bo Petty z pewnością był człowiekiem. Jakże sprytnie dyktator naśladował ludzki sposób utajniania myśli! Cross otrząsnął się psychicznie i zdecydowany tym razem wywołać reakcję powtórzył:
- Zatem… pan jest slanem!
Twarz tamtego wykrzywił ironiczny grymas.
- Trudno to uznać za właściwą nazwę dla osobnika bez czułków, który nie może czytać w myślach, ale owszem, jestem slanem. - Przerwał, a po chwili podjął z ożywieniem:
- Od setek lat my, którzy znamy prawdę, istnieliśmy po to, by nie dopuścić do tego, że bezczułkowi slani przechwycą władzę nad światem ludzi. Cóż bardziej naturalnego nad to, że powinniśmy znaleźć drogę do opanowania ludzkiego rządu? Czyż nie jesteśmy najinteligentniejszymi istotami na Ziemi?
Cross przytaknął. To rzeczywiście miało sens. Zresztą sam już doszedł do tego dzięki własnym przemyśleniom. Od kiedy ustalił, że zwyczajni slani nie sprawują potajemnie rządów nad bezczułkowymi, stało się oczywiste, iż muszą zarządzać ludzkością, pomimo negującej tę możliwość opinii Kathleen i zdjęć rentgenowskich dokonywanych przez bezczułkowych slanów, które wykazywały, że Kier Gray ma ludzkie serce i inne narządy nie takie jak u slanów. Jednakże nadal tkwiła gdzieś tu niesamowita tajemnica. Pokręcił w końcu głową.
- Nadal nie wszystko rozumiem. Spodziewałem się odkryć, że zwyczajni slani rządzą bezczułkowymi. Wszystko oczywiście pasuje także przy tym zmienionym układzie. Ale po co ta wymierzona przeciw slanom propaganda? A ten statek slanów, co przed laty przeleciał nad pałacem? Dlaczego zwyczajnych slanów tropi się i zabija jak szczury? Dlaczego nie porozumiecie się z bezczułkowymi?

Przywódca spojrzał na niego poważnie.
- Sporadycznie próbowaliśmy ingerować w antyslańską propagandę, a jedną z takich prób był właśnie statek, o którym wspomniałeś. Z pewnych szczególnych względów zostałem zmuszony do sprowadzenia go na bagna. Ale pomimo tego pozornego niepowodzenia spełnił swoje główne zadanie: miał przekonać bezczułkowych slanów zdecydowanie szykujących się do ataku, że wciąż jesteśmy siłą, z którą trzeba się liczyć.
To właśnie jawna słabość srebrzystego statku przekonała bezczułkowych slanów. Wiedzieli, iż nie możemy być aż tak niezaradni, i dlatego zawahali się i pogubili.
Zawsze się tak niefortunnie składało, że w różnych częściach świata zabijano pewną liczbę slanów zwyczajnych. Są oni potomkami slanów, którzy rozproszywszy się po Wojnie Katastrofalnej nigdy nie nawiązali łączności z organizacją slanów. Po wejściu na scenę slanów bezczułkowych było już oczywiście za późno, by cokolwiek uczynić. Nasi wrogowie mogli zakłócać wszelkie środki łączności, jakimi dysponowaliśmy.
Naturalnie robiliśmy, co w naszej mocy, by nawiązać kontakt z zagubionymi. Ale jedynymi, którym się to rzeczywiście udawało, byli ci przybywający do pałacu, żeby mnie zabić. Przygotowaliśmy dla nich liczne łatwe do odnalezienia podziemne przejścia. Moje przyrządy powiedziały mi, że ty przybyłeś trudniejszą drogą, przez jedno z dawnych wejść. Bardzo odważna akcja. Przyda się nam kolejny śmiały młodzieniec w naszej małej organizacji.
Cross patrzył na niego spokojnie. Kier Gray najwyraźniej nie domyślał się jego tożsamości ani nie wiedział, jak bliska była godzina ataku slanów bezczułkowych. Tym większa stała się waga chwili, w której powiedział:
- Zdumiewa mnie to, że dał się pan tak łatwo złapać przez zaskoczenie.
Uśmiech raptownie zniknął z twarzy Kiera Graya. Głosem pełnym napięcia powiedział:
- Twoja uwaga jest niezwykle istotna. Uważasz, że to ty mnie złapałeś! Albo jesteś głupcem, a tę możliwość wyklucza twoja oczywista inteligencja, albo też pomimo twego pozornego uwięzienia, nie jest ono nim w rzeczywistości. A na świecie jest tylko jeden mężczyzna będący w stanie unicestwić twardą stal kajdanek znajdujących się w tym pojemniku.
Sroga twarz zdumiewająco się odprężyła, ostre rysy zatarły, a cała siła biła teraz z jego oczu. Oczu rozszerzonych dogłębną, entuzjastyczną radością. Odezwał się cicho, nieomal szeptem:
- Chłopie kochany, udało ci się! Pomimo że nie mogłem ci udzielić żadnej pomocy… Nareszcie energia atomowa w swej najdoskonalszej

formie!
Teraz jego głos zabrzmiał głośno, czysty i triumfalny: - Johnie Thomasie Cross, witam cię i witam odkrycie twego ojca. Chodź tu, siadaj… poczekaj, zaraz cię wydobędę z tej cholernej trumny! Możemy tu spokojnie pogadać w tej mojej prywatnej kryjówce. Nie wpuszcza się tu nigdy żadnych ludzi.
Cudowność tego wszystkiego narastała z każdą upływającą chwilą. Jakże kolosalne znaczenie miało ścieranie się w skali światowej owych potężnych sił. Zwyczajni slani i ludzie nic nie wiedzący o swoich władcach, przeciw slanom bezczułkowym, którzy pomimo swej wspaniałej wszechobecnej organizacji nigdy nie odgadli okrytej tajemnicą prawdy.
- Twoje odkrycie, że slani są naturalnymi mutantami, a nie produktem maszyny - powiedział Kier Gray - naturalnie nie jest dla mnie nowością. Jesteśmy mutacją człowieka. Siły tej mutacji działały długo, zanim nadszedł ów wielki dzień, gdy Samuel Lann dostrzegł u niektórych mutantów cechy doskonałości. Teraz, z perspektywy czasu jest aż nadto oczywiste, że natura szykowała się do kolosalnego przedsięwzięcia. Alarmująco wzrosła liczba kretynów; ogromnie powiększył się odsetek osobników niepoczytalnych. Najbardziej zdumiewająca w tym wszystkim była szybkość, z jaką pajęczyna sił biologicznych rozprzestrzeniała się po powierzchni Ziemi, uderzając wszędzie z taką samą siłą.
Zakładaliśmy zawsze zbyt pochopnie - mówił dalej - że nie istnieje międzyosobnicza spójność, że rasa ludzka nie jest całością połączoną niesłychanie subtelnym odpowiednikiem strumienia krwi i nerwów, przepływającym od człowieka do człowieka. Oczywiście istnieją inne możliwości wyjaśnienia, dlaczego można sprawić, by miliardy ludzi robiły to samo, myślały tak samo i tak samo odczuwały, jeśli dostarczy się im jednego dominującego bodźca, jednakże przez całe stulecia slańscy filozofowie deliberowali nad możliwością, iż takie mentalne powinowactwo jest skutkiem nadzwyczajnej jednorodności, zarówno fizycznej, jak i umysłowej.
Od setek, a zapewne i tysięcy lat narastały napięcia. A potem na przestrzeni jednej zdumiewającej ćwiartki tysiąclecia zdarzyło się ponad miliard anormalnych urodzeń. Sparaliżowało to wolę ludzkości jak jakiś kataklizm. Fakty zaginęły pośród fali terroru, która popchnęła świat do wojny. Wszystkie usiłowania odkurzenia prawdy były tłamszone przez niesamowitą masową histerię - nawet teraz, tysiąc lat później. Tak, tak, powiedziałem: tysiąc lat. Tylko my, zwyczajni slani, wiemy, iż bezimienny okres trwał w rzeczywistości pięćset piekielnych lat. A także to, że slańskie dzieci odkryte przez Samuela Lanna urodziły się tysiąc pięćset lat temu.
O ile nam wiadomo, tylko nieliczne spośród tamtych

ponadnormalnych urodzeń cechowały podobieństwa. Większość była koszmarnym niepowodzeniem i tylko z rzadka zdarzała się doskonałość. Ale o wyróżniających się dzieciach także by zapomniano, gdyby nie to, że Samuel Lann zdołał rozpoznać, czym są w rzeczywistości. Natura zdała się na prawo wielkich liczb. Nie istniał żaden z góry powzięty plan. To co zaszło, wyglądało po prostu na reakcję wywołaną niezliczonymi czynnikami destruktywnymi, które przyprawiały ludzi o szaleństwo, bo ani ich ciała ani umysły nie mogły wytrzymać presji nowoczesnej cywilizacji. A że owe czynniki były mniej więcej takie same, to nietrudno zrozumieć, iż wiele niedoróbek natury musiało cechować ogólne podobieństwo, bez zbytniej doskonałości w szczegółach.
Przykładem nadzwyczajnej siły owego biologicznego potopu oraz fundamentalnej jedności ludzkiego gatunku niechaj będzie fakt, iż prawie wszyscy slani urodzeni w ciągu pierwszych kilkuset lat przychodzili na świat jako trojaczki lub co najmniej bliźniaki. Obecnie takich mnogich porodów zdarza się bardzo niewiele. Regułą jest pojedyncze dziecko. Potop wytracił impet. Natura dokonała swej części dzieła, pozostawiając jego kontynuację rozumowi. I właśnie wtedy pojawiły się trudności.
Podczas okresu bezimiennego na slanów polowano jak na dzikie zwierzęta. Współczesność nie zna przykładów zawziętości takiej jak ta, z którą ludzie zwalczali ową rasę, obciążaną przez nich odpowiedzialnością za katastrofę. Skuteczna organizacja była w takich warunkach niemożliwa. Nasi praojcowie próbowali wszystkiego: podziemnych kryjówek, chirurgicznego usuwania czułków, przeszczepiania ludzkich serc w miejsce własnych, podwójnych, używania skóropodobnej substancji do pokrywania czułków. Wszystko okazało się bezskuteczne.
Podejrzliwość przekraczała wszelkie granice. Ludzie donosili na sąsiadów, którzy musieli poddawać się badaniom lekarskim. Policja dokonywała nalotów na podstawie choćby cienia podejrzeń. Największe trudności sprawiały narodziny dzieci. Nawet w tych przypadkach, kiedy rodzicom udawało się skutecznie maskować, przyjście na świat dziecka zawsze stanowiło niezwykle groźny okres i niestety często sprowadzało śmierć na całą rodzinę. Stopniowo uświadamiano sobie, że nasz gatunek nie zdoła przetrwać. Rozproszone po świecie niedobitki slanów skoncentrowały ostatecznie uwagę na opanowaniu owej siły mutacji. W końcu udało im się odkryć metodę formowania dużych cząsteczek, z których składają się geny. Okazało się, że to wszechobecna siła życiowa panuje nad genami, tak jak geny z kolei panują nad stanem narządów i ciała. Pozostawało zatem eksperymentować. Zajęło to dwieście niebezpiecznych lat. Nie można było wystawiać na ryzyko bezpieczeństwa gatunku, choć

jednostki narażały życie i zdrowie. W końcu odkryto, jak złożone grupy molekuł mogą wpływać na kształt narządu w przeciągu jednego lub więcej pokoleń. Zmieniało się układ takiej grupy i konkretny organ ulegał zmianie, żeby pojawić się w dawnej formie po wielu pokoleniach. W ten właśnie sposób zmieniono podstawowe cechy budowy slanów, pozostawiając dobre, istotne dla przetrwania, a eliminując inne, które okazały się niebezpieczne. Zmodyfikowano geny odpowiedzialne za czułki, przemieszczając zdolność czytania myśli w głąb mózgu, z takim zabezpieczeniem, by nie pojawiła się ponownie, nim przeminie wiele pokoleń…

- Zaraz, zaraz! - żachnął się Cross. - Kiedy zacząłem szukać zwyczajnych slanów, rozum podpowiedział mi, że włączyły się w organizację slanów bezczułkowych. Czy pan chce powiedzieć, że bezczułkowi slani staną się w końcu zwyczajnymi?

Kier Gray przytaknął rzeczowo.

- Nim upłynie pięćdziesiąt lat, posiądą zdolność czytania myśli, jakkolwiek na razie umiejętność ta będzie umiejscowiona w ich mózgach. Ostatecznie powrócą oczywiście i czułki. Jeszcze nie ustaliliśmy, czy potrafimy wprowadzić jakąś zmianę na stałe.

- Ale dlaczego w ogóle pozbawiono ich zdolności do czytania w myślach, szczególnie w tych decydujących latach? - zapytał Cross. Usłyszał poważną odpowiedź:

- Widzę, że nadal nie wyczuwasz twardych realiów, w jakich przyszło żyć naszym przodkom. Zdolność i umiejętność czytania w myślach zostały im odebrane po to, aby ich psychologiczne reakcje wyglądały autentycznie. Inaczej zachowywali się nie wiedząc, że są slanami, inaczej zachowywaliby się wiedząc to. I co się stało?

My, ich przywódcy, przekształciliśmy tyle narządów charakterystycznych dla slanów, aby zabezpieczyć ich przed drapieżnością ludzi, że zachowywali się, jak gdyby zależało im tylko na tym, by po wsze czasy pozostać spokojnym ludkiem wegetującym potulnie w zapadłych rejonach świata. Prawda zapewne mogłaby ich pobudzić, lecz nie dość szybko. Odkryliśmy, że slani są z natury przeciwni wojnie, gwałtom i morderstwom. Używaliśmy wszystkich możliwych argumentów, ale wszystko, do czego udało się doprowadzić przekonywaniem, to ogólne wrażenie, że dopiero gdzieś za sto lat zaczną myśleć o jakimś działaniu.

Pod żadnym pozorem nie można było dopuścić, by trwali w takim odrętwieniu. Cały okres istnienia ludzkości można porównać do lontu zapalającego bombę. Życie tliło się powoli przez miliony lat; potem ogień dosięgną! bomby - a ta eksplodowała. Teraz jest już pewne, że ludzie znikną z powierzchni ziemi wskutek bezpłodności, która zaczęła się już na wielką skalę pojawiać, jakkolwiek nie rzuca się to jeszcze w oczy. Człowiek przejdzie do historii wraz z małpoludem

jawajskim, neandertalskim dzikusem i prymitywnym kromaniończykiem. Bez wątpienia winą za bezpłodność, która to spowoduje, ludzie obciążą slanów, a kiedy ją odkryją, ruszy kolejna olbrzymia fala zajadłych prześladowań i terroru. Na jej przyjęcie mogłaby się odpowiednio przygotować tylko najpotężniejsza organizacja, rozprzestrzeniona z maksymalną szybkością w warunkach stałej presji i zagrożenia.

- I dlatego - powiedział cicho Cross - tępiliście bezczułkowych… zabezpieczonych slanów z zajadłością, która początkowo ich zdumiewała, a potem spowodowała równie okrutną reakcję. Od tamtej pory nieustannie byliście ostrogą ich ekspansji i wędzidłem tego ich sztucznie wznieconego okrutnego ducha. Ale czemu nie powiedzieliście im prawdy?

Przywódca uśmiechnął się ponuro.

- Próbowaliśmy tego, ale wytypowani przez nas powiernicy uznawali to za podstęp, a ich rozum natychmiast doprowadzał ich do naszej kryjówki. Musieliśmy ich wszystkich zlikwidować. Trzeba będzie zaczekać do czasu, kiedy powróci ich zdolność czytania w myślach.

A teraz, po tym, co mi powiedziałeś, widzę że musimy działać szybko. Twoje kryształy hipnotyzujące mogą rzeczywiście stanowić ostateczne rozwiązanie problemu ludzkiego antagonizmu. Kiedy tylko skupimy dość umiejących się nimi posługiwać slanów, nareszcie zdołamy się uporać z tym kłopotem. Co zaś do nadchodzącego ataku…

Sięgnął do przycisku na biurku i nacisnął go.

- To przywoła kilku moich kolegów. Musimy się natychmiast naradzić.

- To slani mogą bezpiecznie obradować w Wielkim Pałacu? - zapytał powoli Cross. Kier Gray uśmiechnął się.

- Mój drogi, opieramy nasze działania na ograniczeniach pojedynczych ludzi…

- Chyba nie rozumiem…

- To całkiem proste. Przed laty mnóstwo ludzi wiedziało sporo o licznych tajnych wejściach do pałacu. Jedno z moich pierwszych posunięć doprowadziło do utajnienia owej wiedzy, najszybciej, jak się dało. Następnie ludzi posiadających jakieś informacje na ten temat rozesłałem do innych części świata. Tam rozrzuceni po różnych podrzędnych agendach rządowych, zostali fachowo zlikwidowani. - Ponuro pokręcił głową. - To nie zajęło wiele czasu. A kiedy raz rzecz utajniono, sam ogrom tego pałacu - no i ścisły nadzór wojskowy każdej alejki - zapobiegają ponownemu odkryciu tajnych wejść. Rzadko kiedy jest w pałacu mniej niż stu slanów. Większość z nich ma czułki, aczkolwiek kilku bezczułkowych - tak jak ja potomków ochotników do pierwszych zakończonych powodzeniem doświadczeń i transformacji genów - owych kilku zawsze znało prawdę i należało do naszej małej organizacji. Oczywiście możemy się posługiwać

osobnikami mającymi czułki i potrafimy zapewnić im bezpieczeństwo nawet poza pałacem, ale osiągnęliśmy etap, na którym wystarczy nam garstka slanów z czułkami, po to by inni wiedzieli, jacy będą ich potomkowie za kilka pokoleń. W końcu nie chcemy, żeby tamci zaczęli nagle panikować.
- A Kathleen? - zapytał cicho Cross. Kier Gray zmierzył go długim, uważnym spojrzeniem i w końcu powiedział:
- Kathleen stanowiła eksperyment. Chciałem się przekonać, czy ludzie wychowujący się od dziecka ze slanami nie uświadomią sobie przypadkiem, iż łączą ich więzy krwi. Kiedy ostatecznie stało się jasne, że nie da się tego osiągnąć, postanowiłem umieścić ją tu, w tych sekretnych komnatach, gdzie mogłaby czerpać korzyści ze współpracy z innymi slanami i pomagać we wszystkich sprawach, jakie trzeba było załatwiać. Okazała się jednak odważniejsza i bardziej pomysłowa, niż przypuszczałem… Ale wiesz przecież o tej eskapadzie.
Słowo „eskapada" było najłagodniejszym określeniem olbrzymiej tragedii, jakie zdarzyło się Crossowi słyszeć. Najwyraźniej ów mężczyzna był jeszcze bardziej oswojony ze śmiercią niż on sam. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, Kier Gray dorzucił:
- Moja żona, która była zwyczajną slanka, padła ofiarą tajnej policji w trochę innych, choć równie ponurych okolicznościach, z tą różnicą, że w jej przypadku przybyłem na miejsce zajścia znacznie później… - Tu przerwał. Na dłuższą chwilę zastygł w fotelu z przymrużonymi oczyma, a w jego zachowaniu nie było ani śladu cynicznej obojętności. Nagle odezwał się:
- A teraz, kiedy już ci tyle powiedziałem - na czym polega tajemnica ojca?
- Później mogę to wytłumaczyć dokładniej - powiedział Cross. - W skrócie wygląda to tak: ojciec odrzucił pojęcie masy krytycznej, na którym oparto pierwsze bomby. Tamten sposób dawał dostęp do energii atomowej lawinowo, w formie eksplozji, ciepła, co miało pewne zastosowanie w medycynie i przemyśle. Jednakże panowanie nad nią w celu bezpośredniego użycia jest prawie niemożliwe. Ojciec odrzucił tę zasadę po części dlatego, iż energia w takiej postaci była dla slanów bezużyteczna, po części zaś dlatego, że miał pewną teorię.
Odrzucił także zasadę ciężkiego cyklotronu, choć to właśnie cyklotron ostatecznie dał mu co najmniej w części jego wspaniałą koncepcję. Opracował centralne jądro złożone z pozytonów, po czym rozciągnął je jak cieniutki drucik. Jądro bombardował, lecz nie bezpośrednio - co porównać można z kometą zbliżającą się do Słońca po bardzo wydłużonej orbicie - otóż owo „słońce" bombardował „kometami" elektronów poruszających się z prędkością światła.
„Słońce" zakrzywiało tor lotu „komet" i wyrzucało je w „przestrzeń" - i tu podobieństwo Jest rzeczywiście bardzo duże - gdzie następne

dodatnio naładowane jądro, które możemy nazwać „Jowiszem”, przyciągało „komety” rozpędzone już do prędkości światła i odrzucało je z orbit z prędkością nadświetlną. Przy takiej prędkości każdy elektron staje się materią o znaku ujemnym, sile niszczącej absolutnie niewspółmiernej do jej „rozmiarów”. W obecności owych ujemnych cząstek normalna materia traci spójność, natychmiast przybierając postać pramaterii. Potem…

Przerwał i podniósł wzrok, bo otworzyły się drzwi. Weszło trzech mężczyzn ze złotymi czułkami slanów we włosach. Kiedy go ujrzeli, opadły ich ekrany mentalne; w następnej chwili Cross opuścił swój. Pomiędzy nimi dokonała się błyskawiczna wymiana: nazwiska, życiorysy, specjalności - wszelkiego rodzaju dane niezbędne dla sprawniejszego przebiegu posiedzenia. Ów proces olśnił Crossa, który poza przelotnym kontaktem z Kathleen i obcowaniem z rodzicami w dzieciństwie nie miał żadnych punktów odniesienia i tylko ogólnie sobie wyobrażał, jak skuteczna może być taka wymiana.

Był tak przejęty, że kiedy drzwi się ponownie otworzyły, dał się zaskoczyć.

Do pokoju weszła wysoka dziewczyna. Miała płomienne oczy, wyrazistą, dojrzałą, subtelnie rzeźbioną twarz o delikatnej karnacji. Spojrzawszy na nią zmartwiał. Nerwy napięły mu się jak postronki, a chłód spowił ciało. Lecz mimo to wraz z narastającym zdumieniem olśniła go precyzyjnie logiczna myśl, że powinien był wszystko pojąć, znając metodę, jaką naprawiano na dalekim Marsie strzaskaną głowę pani Corliss. Powinien był to wiedzieć od chwili, w której odkrył, iż Kier Gray jest zwyczajnym slanem. Znając pałacowe układy nienawiści i zawiści powinien był odgadnąć, że tylko śmierć i tajemny powrót do życia mogły skutecznie i ostatecznie zabezpieczyć Kathleen przed zagładą z ręki Johna Petty’ego.

W tym właśnie momencie ciągu jego myśli ciszę przerwał głos Kiera Graya, pełen wyrazu głos kogoś, kto skrycie cieszył się na tę chwilę od lat:

- Jommy, chcę ci przedstawić Kathleen Layton-Gray, moją córkę.

Spis treści

1. 3
2. 8
3. 13
4. 19
5. 23
6. 25
7. 28
8. 35
9. 44

10. 50
11. 58
12. 62
13. 65
14. 68
15. 74
16. 75
17. 82
18. 91